

# *Sny o Ninie*

Wojciech Karolak

**„Czy znasz strach zasypiania? Ciało ogarnia przerażenie, gdyż  
ziemia się rozstępuje i zaczyna się sen”.**

*Fryderyk Nietzsche*

## Prolog

Artur wszedł do mieszkania, po dłuższej chwili mocowania się z kluczami. Chłopak zachwiał się i oparł o szafę w przedpokoju. Zamknął za sobą drzwi, nie martwiąc się o zamki. Chciał, żeby go znaleźli. Nadal przytrzymując się gładkiego drewna zdjął buty, niemal upadając przy tym trzy razy, po czym powiesił przemoczoną, skórzaną kurtkę na oparciu krzesła w kuchni. Za oknami, naznaczonymi kroplami deszczu, szalała wichura. W radiu, które grało na imprezie, z której wyszedł pośpiesznie, równie wyuczonym, co wymuszonym tonem spiker oznajmił, że nad Łodzią przechodził orkan. Artur podczas pijackiego spaceru z Widzewa na Śródmieście nawet nie zauważył szalejącego wiatru, który łamał drzewa i zrywał trakcje tramwajowe. W jego głowie panował o wiele większy zamęt.

Ona nie żyła. Od trzech miesięcy. Jej obecność ograniczała się do cmentarza wspomnień, z którego, jak w dniu Sądu Ostatecznego, wstawały po kolei szkielety wizji przeszłości, oblekające się nieznosnie wyraźnymi ciałami snów. Pijany młodzieniec myślał o Jej ciemnozłotych włosach, które porudziały od zaschniętej krwi, jak jesienne liście, kiedy zadziwiająco pewnie bazgrał ołówkiem na samoprzylepnej kartce. Wyłuskiwał z pamięci szczegóły Jej zielonych tęczówek. Artur wiedział dobrze, co chce zrobić i jakimś cudem, nie rozmyślił się. Być może była to zasługa alkoholu? Ponurej pogody za oknem? Może po prostu zrozumiał, że tak trzeba i nie ma innego wyboru. Jednak było to niemożliwe. Nawet pijany do stopnia zataczania się i bełkotu, chłopak nadal wierzył w to, że nie wierzył w nic. Dla Artura nie było Boga ani przeznaczenia. Życie powstało przez przypadek, jest rządzone przez przypadek, a ten z kolei nie ma przyczyny, więc nie jest niczemu winien. Ona także zginęła przez przypadek. Wszystkie ich wspólne decyzje, splecione takimi, a nie innymi okolicznościami ślepego losu prowadziły do Jej śmierci. Powinno mieć to dobre strony, bo Artur nie czuł się odpowiedzialny za tę tragedię i nie winił za nią nikogo. Umarła w wypadku, zdarzeniu losowym, który nie ma żadnego znaczenia, bo nic nie ma znaczenia ani celu. Jej śmierć miała jednak, w jakiś niewytłumaczalny sposób, znaczenie. Zmieniła wszystko. I tamten właśnie przypadek, doprowadził do tego przypadku. Wszystko wpływa na nasze decyzje. Wszystkie wydarzenia i okoliczności. Wszystko, z czym się stykamy, zmienia nas nieodwracalnie. Bez wyjątku.

Młodzieniec wysunął najwyższą szufladę ładnej, zdobionej szafki i pogrzebał w niej chwilę. W końcu, obok stetoskopu, pęsety i imadła, znalazł niewielką, srebrną folijkę. Z niewzruszoną miną i delikatnym uśmiechem pod nią, Artur przeszedł do łazienki i zapalił światło. Chłopak usiadł ciężko na czarno – białych płytkach, jakby wrócił z wyczerpującej podróży lub po bardzo długim dniu pracy. Etacie, trwającym całe życie. Pijany młody człowiek podwinął lewy rękaw granatowego swetra, po czym wyjął z folijki jednorazowy skalpel i przycisnął ostrze do nadgarstka. Nie zwracał uwagi na wibrujący telefon. Przeciął skórę wzdłuż naczyń. Następnie tkankę podskórną. Z rany zaczęła lać się krew przyjemnie ciepłą strużką najpiękniejszej czerwieni, jaką Artur widział w swoim życiu. Ciecz nie trysnęła, więc tętnica pozostała nietknięta, jednak rozmiar kałuży, która zaczynała już obejmować jego lewe udo, zadowolona mężczyznę, który odłożył ostrze i ze zwiwnym,

bladym uśmiechem, oparł się o wannę. Czerwony kwiat na posadzce łazienki rozkwitał coraz szerzej, kiedy Artur osunął się na bok, wpadając twarzą we własną krew.

## Rozdział 1

Nie słyszał dźwięku otwieranych drzwi. Dopiero siarczyste „kurwa mać” wyrwało Artura z odrętwienia. Głos należał do Łukasza – sąsiada z mieszkania obok, a zarazem przyjaciela niedoszłego samobójcy oraz, zrządzeniem losu, ratownika medycznego. Kiedy silne ręce potrzęsły leżącym Arturem, ten skulił się, rozmazując krew na płytkach i brudząc nią ubranie. Nie chciał wracać. Ciemność już prawie ogarnęła jego umysł swoimi miękkimi, wyczekującymi ramionami. Przebudzenie przyniosło jedynie ból i perspektywę dalszego cierpienia.

- Pozwól mi odejść. – Zapłakał drżący chłopak. – Proszę, pozwól mi odejść.

- Nie mogę. – Odparł Łukasz, rozrywając opakowanie z bandażem i biorąc się za opatrywanie rozciętego nadgarstka.

Artur nie walczył. Nie miał sił unieść choćby dłoni, a co dopiero szarpać się z silnym ratownikiem. Młodzieniec domyślił się, że jego znajomi, zaniepokojeni nagłym wyjściem i brakiem odpowiedzi na telefony oraz SMS-y, powiadomili sąsiada, aby sprawdził czy wszystko w porządku.

- Halo? Potrzebna karetka do osoby po próbie samobójczej. – Łukasz mówił do słuchawki telefonu komórkowego zdyszczanym, rozedrganym głosem. – Na podłodze jest około litra krwi, opatrzyłem ranę. Tak, jestem pewien. Poszkodowany miał na klatce piersiowej kartkę: „Kochani Rodzice, to nie Wasza wina. Kocham Was bardzo, Artur.”

Półprzytomny młodzieniec dalej drżał, ale już nie od płaczu. Zaakceptował fakt, że ta próba była nieudana. Nie żałował jej. Chociażby dlatego, że w tamtej chwili nie czuł absolutnie nic, oprócz klucia w rozciętej ręce. Ból ten był znośny i w pewien sposób również oddalał myśli Artura od zabarwionej czerwienią rzeczywistości dookoła niego. Łukasz usiadł na kafelkach obok przyjaciela i położył rękę na jego ramieniu.

- Słyszysz mnie?

- Tak. – Odpowiedział słabo Artur.

- Coś ty zrobił... - Ratownik westchnął ciężko.

Chłopak nie odezwał się. Co mógł odpowiedzieć? Że zrobił dokładnie to, czego chciał? Że nie zgadzał się, aby jego życiem i śmiercią kierowały wydarzenia niezależne od niego? Że od trzech miesięcy, bardziej niż kiedykolwiek, jego życie zamieniło się w powolną agonię, powodowaną własnymi obserwacjami, których nie sposób było zignorować? Że od koszmarnych dni uciekał w jeszcze bardziej koszarne sny, które co noc były inne, ale zawsze dotyczyły tylko Jej? Pewnie mógł, a nawet powinien to powiedzieć, ale nie miał siły ani ochoty. Krew na podłodze jeszcze nie wystygła i w tej ciepłej kałuży Artur czuł się, w niewytłumaczalny, masochistyczny sposób, dobrze. W końcu, z korytarza dobiegł odgłos

windy i do mieszkania weszło dwóch ratowników, którzy niewzruszeni całą sceną, podnieśli zakrwawioną postać, zmienili jej opatrunek na nadgarstku i zaciągnęli do karetki pogotowia. W błyskach kogutów i wyjących syrenach nie było nic dramatycznego ani romantycznego. Sygnały te były jedynie przygnębiającym zwiastunem niechcianego ocalenia.

Światła na izbie przyjęć szpitala drażniły oczy Artura. Chłopak siedział na leżance, czekając aż dwóch chirurgów, którzy pełnili tej nocy dyżur, skończą wypełniać kartę informacyjną i zdecydują się go zszyć.

- On studiuje u nas. Postarajcie się nie robić z tego afery. – Powiedział cicho jeden z ratowników, na co lekarze przytaknęli zmęczonymi głowami.

- No dobra, cerujemy. – Poinformował wreszcie chirurg, po czym razem ze swoim kolegą zabrali Artura do pokoju zabiegowego. – Pokaż, co tam żeś zmajstrował.

Lekarz odwinął bandaż. Skrzep przykleił materiał do rany, a przy jego zrywaniu, chłopak odruchowo zadrżał.

- No nieźle. Dwa i pół centymetra, cięcie wzdłuż torów... Porusz palcami. Dobra, ścięgnię są całe, tętnica też. Zestaw do szycia poproszę. – Perorował chirurg, zakładając jałowe rękawiczki.

- Znieczulenie? – Zapytał asystujący.

- Wygląda na znieczulonego. – Zaśmiał się operator. – Wytrzyma.

Szycie rany nie należało do przyjemnych doznań. Każde ukłucie igły i przeciąganie nici przez otwory przyprawiały Artura o grymasy bólu. Proces ten można byłoby porównać do ludzkiego życia, jako całości. Każda nasza decyzja miała swoje konsekwencje, które należało przecierpieć, z godnością lub bez niej, aby w końcu przeszłość mogła się zbliznić i ustąpić lepszej przyszłości. Powstałe w nas przez lata szramy nie szpecą lecz przypominają nam o błędach i wyciągniętych z nich lekcjach, układając się w niepowtarzalną historię, z której nikt nie ma prawa nas rozliczać, oprócz nas samych. – *Pierdolenie*. – Skarcił się w myślach skrzywiony młodzieniec.

- No dobra, zrobione. – Oświadczył chirurg. – Poczekaj na krześle przy wejściu, chłopaki zabiorą cię do psychiatryka obok.

- Ale... Ja studiuje na Umedzie... Nie mogę iść do psychiatry. – Bąknął Artur.

- Skoro tutaj studiujesz, w dodatku na wydziale lekarskim, powinieneś wiedzieć, że takie są protokoły w przypadku samookaleczenia. Lekarz chwilę z tobą pogada i pójdiesz do domu. - Chłopak nie spierał się. Znał biurokrację Funduszu Zdrowia, równie zniechęconą przez lekarzy, co konieczną. Ogarnęła go rezygnacja. I bezsilność. Artur nienawidził bezsilności nawet bardziej niż życia.

- Był już pan kiedyś w szpitalu psychiatrycznym? – Zapytała lekarka w szpitalu psychiatrycznym, wyraźnie niezadowolona z faktu, że musi rozmawiać z podpitym studentem, użalającym się nad sobą, w środku nocy. Dochodziła godzina trzecia.

- Tylko na zajęciach, na trzecim i czwartym roku.

- Dlaczego jest pan ironiczny? – Odparła kobieta, coraz bardziej zirytowana całą sytuacją.

- Nie jestem ironiczny. – Powiedział Artur, lekko zdziwionym głosem.

- Owszem, jest pan.

- Przepraszam. – Młodzieniec nie czuł wewnętrznej potrzeby tłumaczenia temu babsztylowi, czym jest ironia.

- Proszę współpracować. My również chcemy mieć to już za sobą. – Powiedziała druga lekarka, dużo cieplejszym tonem. – Rozumiem, że nie leczył się pan psychiatrycznie?

- Nie.

- Czy to pierwsze pana samookaleczenie?

- Pierwsze i mam nadzieję, że ostatnie. – Powiedział Artur, przyjmując potulną postawę. Wiedział, co należy odpowiadać, aby jak najszybciej go stąd wypuścili. W całym beznadziejnym świecie, znajdował w tamtej chwili jedno miejsce, w którym mógł poczuć się nieco mniej źle – swoje łóżko, na którym być może znowu znajdzie Jej włos, który zaplecie na gumce do włosów i schowa do szafki.

- Planował pan próbę samobójczą? – Kontynuowała Miła Pani Doktor, podczas gdy Jędzowata Pani Doktor z Syndromem Niedopchnięcia skrobała coś zawzięcie na karcie obserwacyjnej.

- Nie planowałem. To był impuls.

- Czy uważa pan, że alkohol pełnił jakąś rolę w tym wydarzeniu?

- Na pewno. Trzeźwy nigdy bym czegoś takiego nie zrobił, naprawdę. – Dukał Artur, starając się błędzić wzrokiem po blacie biurka, pomiędzy papierami i pudełkiem spinaczy, sprawiając wrażenie zawstydzonego.

- Czy ma pan w tej chwili myśli samobójcze?

- Nie... Nie, nie mam. Absolutnie nie. Właśnie w tej chwili bardzo chce mi się żyć. Chcę coś zrobić z tą... Sytuacją. Mój znajomy wspominał kiedyś o psychoterapeutce, jutro... To znaczy dzisiaj rano do niej zadzwonię i umówię się na wizytę. – Kłamał jak z nut chłopak. – Pani doktor... Ja chcę kontynuować studia. Czy uczelnia musi wiedzieć o tym... Wypadku? Czy będę mógł dalej się uczyć? - Lekarki spojrzały po sobie, starając się porozumieć bez użycia słów, co wyraźnie im nie wychodziło. Jak to bywa u kobiet. W końcu Jędzowata Pani Doktor napisała coś jeszcze na karcie, a Miła Pani Doktor uśmiechnęła się delikatnie.

- Teraz jest pan pacjentem, nie studentem. Nawet nie tyle pacjentem, co... Poszkodowanym. Obowiązuje nas ochrona danych osobowych, więc uniwersytet nie otrzyma żadnych informacji o tym incydencie.

- Dziękuję... Bardzo dziękuję. – Odpowiedział przekonująco Artur, starając się wzruszyć. Nie był jednak zdolny do takich uniesień.

- Myślę, że to już wszystko. Proszę tylko tu podpisać. – Miła Pani Doktor podsunęła mu kartkę z opisem wywiadu lekarskiego. Artur wziął długopis i oparł lewą rękę na blacie, krzywiąc się przy tym teatralnie. Nawet Jędzowata Pani Doktor zmięknęła na widok skruszonego studenta, żalującego swojej głupiej decyzji, niezdarnie bazgrzącego swoje nazwisko.

- Dziękuję bardzo. Czy mogę iść do domu? – Zapytał uprzejmie chłopak.

- Na korytarzu czeka na pana kolega. On pana odwiezie. – Odparła Miła Pani Doktor. - Wszystkiego dobrego.

- Dziękuję bardzo. Do widzenia i dobrej nocy. – Powiedział Artur, wychodząc do czekającego na niego Łukasza, który zabrał go do stojącej przed szpitalem taksówki. Ratownik nie zadawał zbędnych pytań. Oddał przyjacielowi klucze do mieszkania, zastrzegając, że drzwi mają zostać otwarte, przynajmniej tej nocy. Artur zgodził się, podziękował szczerze za wysiłek i pomoc Łukasza, który nie mógł rozumieć, że skazał go na kolejną koszmarną noc i nieokreśloną liczbę równie nieznośnych dni.

## Rozdział 2

Weekend upłynął Arturowi dość monotennie. Leżał w łóżku, oglądał filmy i palił papierosy w ogromnych, nawet jak na niego, ilościach. Pierwszego dnia po pamiętnej nocy Łukasz przyszedł zmienić mu opatrunek, potem chłopak zmieniał je już sam. Nadgarstek bolał jak wściekły przy każdym ruchu, jakby chcąc skarcić sprawcę za objaw słabości i głupoty. Młodzieniec miał jednak inny pogląd na doskwierającą ranę, a właściwie, nie miał żadnego. Szczypanie odciągało od Niej myśli, więc było mile widziane. Rodzice Artura uwierzyli w przekazaną przez telefon zmyśloną historyjkę, że chłopak poślizgnął się na płytkach w kuchni, rozbił trzymaną szklankę i zaciął się mocno jednym z ostrych odłamków. Nie mieli zbyt wiele do powiedzenia odnośnie wypadku. Zmartwili się jedynie, aby przez uraz nie narobił sobie zaległości w szkole. Postawa ta była u nich normalna, w swojej nienormalności i młodzieniec wcale o niej nie myślał. Postanowił, że tę samą wersję wydarzeń przedstawi swoim znajomym z grupy dziekańskiej. Wszyscy mieli własne problemy i nie mogło ich zbyt wiele obchodzić, co Artur robił sam w gustownie urządzonej mieszkanie. Z pewnością jeszcze mniej obchodziły ich problemy umysłowe kolegi.

- To nie problemy... - Powiedział do siebie, oparty o balustradę balkonu, wypuszczając dym z ust, który zaczynał drapać gardło dziennym nadmiarem. – Ludzie inteligentni mają większą skłonność do okresowej niestabilności. Są też bardziej podatni na choroby psychiczne. Efekt uboczny wielkości. Każdy dar ma swoje brzemienie. – Perorował zarozumiale Artur. Obserwował przy tym szare nikotynowe kłęby, lecące w górę na spotkanie ze swoimi smogowymi, wielkimi braćmi, którzy zasnuwali łódzkie niebo, nie chcąc dopuścić promieni słonecznych, które oświetliłyby głupotę stojącego na balkonie bufona.

Zgodnie z przewidywaniami Artura członkowie jego grupy bez najmniejszych wątpliwości łyknęli jego kłamstwa odnośnie bandaża na nadgarstku. Rozmowa o jego wypadku zajęła dokładnie trzy minuty, po czym wszyscy zgodnie przeszli do codziennych, dużo bardziej istotnych spraw – obgadywania kolegów i koleżanek z roku oraz opowiadania niesmacznych żartów, których epicentrum znajdowało się w absurdach i ludzkich genitaliach.

- Ten cukrzyk z pierwszej grupy ma dziewczynę. – Rzucił jeden z chłopaków.

- No słyszałem! Widziałem jak chodzi z tą swoją sraką. Wyglądają razem jak para cyrkowych głupków. – Zaśmiał się inny.

- A niech sobie z nią chodzi. Póki ma stopy! – Wypalił kolejny, wzbudzając salwy śmiechu wśród stojących w okręgu osób.

- Jesteście okropni! – Oburzyła się któraś z dziewczyn, czerwieniąc się jednocześnie od powstrzymywania irytującego chichotu.

Artur uwielbiał swoją grupę. Perwersyjne, wulgarne i rasistowskie żarty były ważnym elementem jego robaczywego życia i śmiał się razem z innymi do rozpuku. Nie czuł się jednak wśród nich... Na miejscu. Zawsze odnosił wrażenie, że w pewien sposób do nich nie

pasuje, chociaż nie było ku temu przesłanek. Właściwie zachowywali się, jakby naprawdę go lubili. Młodzieniec nie tłumaczył tego swoją wyższością, bo członkom grupy inteligencji nie można było odmówić. Po prostu czuł się inny. Nie było w tym nawet nic dziwnego, bo Artur nigdzie nie potrafił znaleźć miejsca, w którym wiedziałby, że ma się znajdować. Nigdzie... Tylko obok Niej. Nie jest to przecucie, które da się z czymkolwiek pomylić – to wrażenie wewnętrznego ciepła i akceptacji, przeświadczenie, że to miejsce należy do niego, zostało mu ofiarowane i nic nie zdoła mu go odebrać. Najbardziej zgubne wrażenie, jakiemu może ulec człowiek, w swojej niezmierzonej naiwności.

Zajęcia, trwające do południa, przebiegły bez większych sensacji. Studenci już przed piątym rokiem zauważyli, że uniwersytet ma ich głęboko w dupie, łącznie z asystentami, adiunktami dydaktycznymi, wykładowcami, dziekanem i rektorem, a nawet ministrami edukacji i zdrowia. Podatki opłacały ich naukę, którą kilka lat temu próbowano skrócić do lat pięciu właśnie, jednak pomysł ten okazał się klęską, wobec ilości wiedzy, którą należało przyswoić, aby zostać lekarzem, który po ukończeniu studiów mógłby mieć szansę nie zabić wszystkich pacjentów na dyżurze, pracując za głodową pensję rezydencką. Drugim czynnikiem skazującym plan ministerstwa na niechybną zagładę, było wrodzone studenckie lenistwo i pijaństwo. Tego jednak nikt otwarcie nie przyznawał. Artur jechał tramwajem, pograżony w myślach, otoczony przez szary tłum beznadziejnie identycznych ludzi. Chłodne, pozbawione słońca południe jesiennego miasta nie przeszkodziło homogenatowi bzydczących osób w poceniu się jak konie wyścigowe. Otwarte okna pojazdu parowały, co nie umknęło uwadze rozwrzeszczanym gimnazjalistom, którzy zaczęli je ozdabiać wyobrażeniami włochatych penisów. Jakaś pokryta centymetrową warstwą makijażu „kobieta” trajkotała do telefonu komórkowego we wściekle różowym etui, opowiadając swojej psiapsiółce o tym, jak ostatniej nocy jej chłopak ruchał ją na kuchennym stoliku.

- Boże, Gaba, jakie to było zajebiste. – Zachwycała się. – Jeszcze nigdy nikt mnie tak nie grzmocił. Mówię ci, myślałam, że mi cipę rozerwie. Normalnie stolik pierdolnął pod nami. No serio ci mówię!

Artur kątem oka dostrzegł, jak podniecona blondyna poprawiła wielkie szkła okularów przeciwsłonecznych. Siniaki pod oczami wyglądały obrzydliwie spod makijażu, jak gnijące śliwki. Student miał serdecznie dość tej podróży. Na domiar złego, usłyszał nad sobą chrząknięcie. Starsza pani w wełnianym swetrze, który pewnie dostała od swojej prababci, zanim ta wyruszyła jako akuszerka na boje bitwy u boku Napoleona, stała z miną boksera, trzymając w rękach dwie wielkie torby z zakupami. Chłopak spojrzał na wolne miejsce obok siebie i bez słowa ustąpił siedziska starszycie oraz jej umęczonym siatkom z włoszczyzną i salcesonem.

- Co za maniery. – Bąknęła kobieta, sadzając swoje otyłe dupsko na plastikowym krzeselku, które ugięło się wyraźnie.

Student miał naprawdę dość. Chciał jak najszybciej dojechać do szpitala. Od nocy swojego „wypadku” nie mógł spać. Tarzał się po łóżku, zmieniając pozycje tyle razy, że mógłby spokojnie napisać trzytomowe wydanie Kamasutry dla singli. Krótkie drzemki, w które zapadał, wypełniały koszmary tak dotkliwe, że wyrывał się z nich spocony i zdyszany,

jedynie gdzieś głęboko w duchu przyznając, że wolałby umrzeć, niż znowu zasnąć. – *Argument „wolałbym umrzeć” jest chyba w moim wydaniu mało znaczący.* – Pomyślał Artur, przeciskając się do drzwi tramwaju.

Chłopak nie spodziewał się wrócić do szpitala psychiatrycznego, a już na pewno nie tak szybko. Nie znał jednak żadnych lekarzy w Łodzi, ojca o receptę poprosić nie mógł, bo to wzbudziłoby niepotrzebne pytania i śledztwa matki. Jedynym ratunkiem był młody asystent, z którym Artur miał zajęcia z psychiatrii. Doktor w dniu zaliczenia przedmiotu powiedział mu, że gdyby czegoś potrzebował, może się z nim kontaktować. Student nie wiedział czy psychiatra wyczuł w nim, w jakiś sobie tylko znany sposób, nutę szaleństwa w jego umyśle, czy był po prostu uprzejmym gościem. Nie zastanawiał się nad tym. Był wykończony i marzył jedynie o jednej nocy bez snów, o ośmiu godzinach nicości, unoszenia się w niebycie pod ciepłą kołdrą. - *Kołodra ciepłą jak krew...* - Wszedł więc do budynku, a następnie wdrapał schodami na pierwsze piętro, szukając odpowiedniego napisu na drzwiach. Artur starał się nie zwracać uwagi na błakające się po korytarzach cienie, mamroczące pod nosem, wodzące chudymi palcami po ścianach lub wpatrujące się w niego spode łba wypranymi ze świadomości oczami. Napatrzył się na pacjentów podczas zajęć, nasłuchiwał się przerażających historii tych, którzy byli zdolni rozmawiać. Nie miał ochoty na więcej. Właściwie, nie miał cierpliwości na więcej. Chłopak znalazł w końcu odpowiednie drzwi. Zapukał i nacisnął na klamkę.

- Wejdz, siadaj! – Powiedział z wiecznie przyklejonym do twarzy uśmiechem doktor Karcz. – Coś słabo wyglądasz. Co cię sprowadza? Chcesz kawy?

- Dzień dobry, panie doktorze. Nie dziękuję. – Odparł Artur, kładąc plecak pod ścianą gabinetu i zajmując miejsce naprzeciwko rozmówcy. – Mam mały problem i pomyślałem, że mógłby mi pan pomóc.

- Postaram się. – Uśmiechnął się Karcz. – Mów śmiało!

- Od dłuższego czasu nie mogę spać. Zaczyna być to widoczne, jak pan doktor zauważył, poza tym, zaczynam mieć trudności ze skupieniem uwagi. Nie sprzyja to nauce, a sam pan doktor rozumie. Piąty rok, robi się poważnie. Nie chciałbym narobić sobie zaległości. - Karcz odchylił się na chwilę na oparciu fotela bawiąc się przy tym długopisem, który wirował w jego palcach, rozmywając się w oczach Artura w niewyraźną pomarańczową smugę.

- Próbowalesz liczyć owce? Pić ciepłe mleko? Nie palić przed snem? – Zapytał pół żartem, pół serio psychiatra.

- Próbowalem już chyba wszystkiego. Nic mi nie pomaga... To zaczyna być naprawdę frustrujące. Poza tym, nie poprosiłbym pana doktora o wizytę, gdybym sam mógł sobie z tym poradzić. – Chłopak zasłonił ziewnięcie otwartą dłonią.

- Może melatonina?

- Panie doktorze, melatoninę mogę kupić w Rossmanie. Co prawda tam sprzedawcy też noszą fartuchy, ale... - Artur spuścił głowę, przełykając swój własny, zgryźliwy żart. –

Przepraszam. Po prostu chcę się wyspać. Nie proszę o nic mocnego, żadne benzodiazepiny. - Doktor Karcz spojrział przenikliwie w oczy studenta. Na szczęście, z jego twarzy nie zniknął uśmiech. Lub i nieszczęście, ponieważ młodzieniec nie miał pojęcia, co psychiatra mógł myśleć. Mógł przecież dowiedzieć się o niedawnym „wypadku”. Mógł podejrzewać, że nie zrównoważony chłopak szuka innego sposobu na samobójstwo. Oczy lekarza nie wyrażały niczego, jego mimika i gestykulacja również, chociaż spostrzegawczość Artura mogła być przytłumiona przez obezwładniające zmęczenie. Student niemal zadrżał, kiedy Karcz wyciągnął dłoń w kierunku telefonu. Przez moment chciał rzucić się do ucieczki. Wybiec z gabinetu, popędzić do mieszkania, nie zważając na tramwaje i taksówki, po drodze wstąpić do monopolowego i upić się w nadziei, że alkohol przyniesie sen. Nie poruszył się jednak. Zdawał sobie sprawę, że wyczerpane ciało mogło odmówić mu posłuszeństwa, nawet napędzane adrenaliną. Ostatkiem sił Artur powstrzymał się przed odetchnięciem z ulgą, kiedy ręka psychiatry minęła telefon i sięgnęła po bloczek recept.

- Wypiszę ci Zolpidem. Działa szybko, ma mało działań niepożądanych. Pamiętaj tylko, że nie wolno go łączyć z alkoholem, jasne? – Powiedział doktor, tworząc niewyobrażalne hieroglify na białej kartce.

- Oczywiście, pamiętam co nieco z farmakologii. – Uśmiechnął się szczerze młodzieniec. – Dziękuję panu bardzo.

- Trzymaj. – Karcz wręczył Arturowi receptę. – Wykup w aptece i idź spać. Słodkich snów.

## Sen 1

Otworzył oczy. Zobaczył skraj swojego materaca i strzępy kołdry. Pokój był w ruinie. Ściana z oknem, przy której stało biurko przestała istnieć, a wraz z nią część podłogi, ukazując położoną poniżej i na lewo klatkę schodową. Połamane deski pokrywała sadza, a szafka zniknęła. Artur usiadł na łóżku rozglądając się, oszołomiony. Miasto widoczne przez wyrwę w murze również nie wyglądało najlepiej. Dach supermarketu zapadł się, tworząc zbiornik dla deszczu, który lał niemiłosiernie istną ścianą wody. Połamane drzewa i słupy energetyczne opierały się o bloki mieszkalne, dziurawiąc ich ściany i szperając powyginanymi ramionami przez wybite okna. Na ulicach nie widać było absolutnie nikogo, a oprócz łomotu deszczu, nie słychać było żadnego dźwięku. Chłopak wstał i przeszedł do przedpokoju. Całe mieszkanie wyglądało jak po przejściu huraganu lub grupy pijanych kiboli. Rozbite lustra, potłuczone płytki, urwane szafki w kuchni, leżący na zwęglonym dywanie telewizor w salonie. Artur wiedział, że śni. Musiał śnić, bo przecież nie zwariował. Ze zdziwieniem stwierdził, że ten sen wcale nie był zły. Nie przypominał koszmarów, które zwykle go nawiedzały. Upiorny, postapokaliptyczny klimat niesamowitego miasta napełniał spokojem, wyciszał. Chłopak uśmiechnął się i podszedł do niedziałającej lodówki. W środku znalazł miskę soczewicy z ryżem i sosem słodko – kwaśnym. Potrawa była ciepła, nawet gorąca. Młodzieniec, uzbrojony w łyżkę, przeszedł do salonu i położył... Śniadanie? Obiad? Kolację? Posiłek na ławie pokrytej kawałkami szklanej tafli, która kiedyś chroniła drewno blatu przed odparzeniami. Następnie postawił telewizor na komodzie i włączył go. Działał. Jeden kanał, to prawda, ale lepsze to, niż nic. Artur nie lubił jeść w ciszy. Tani film sensacyjny skutecznie umilił mu konsumpcję. Po zjedzeniu, w absurdalnym przypływie zapału, umył nawet naczynia, co zwykle mu się nie zdarzało. Student wszedł do łazienki, zdemolowanej równie dokładnie, jak reszta domostwa. Nie mógł przejrzeć się w rozbitym lustrze, co jedynie dodało uroku temu wysnionemu światu. Artur umył zęby, uczesał się i spryskał perfumami, po czym postanowił wyjść na spacer. Mimo zatrważającej pogody i przeciągu w mieszkaniu, nie czuł zimna, jednak ubrał skórzaną kurtkę na bluzę z kapturem oraz trampki, delikatnie przykryte przez ciemne jeansy. Chłopak już miał przekręcić klucz w drzwiach, kiedy zauważył, że lustro w zdobnej ramie, na lewo od wejścia, było nietknięte. Mimowolnie cofnął się o krok i przejrzał w nim. Artur wyglądał zupełnie normalnie – niczym niewyróżniający się dwudziestodwulatek. Wtedy, kątem oka, dostrzegł za sobą ruch. Drgnięcie tak zwiewne i nieuchwytnie, że wydawało się wstrząsnąć gruzami miasta, które jęknęły trwożnie pękającym tynkiem i spadającymi cegłami. Młodzieniec odwrócił się i spojrzał w stronę salonu. To, co zobaczył, niemal przyprawiło go o zawał. Serce zaczęło walić mu w piersi, kolana ugięły się pod momentalnie przytłaczającym torsem, spocił się na całym ciele, a oczy zaszczyły mu łzami.

- Nina..? – Chciał krzyknąć, ale z ust zdołał wydusić jedynie łamiący się szept.

Stała przed nim, szczupła i niska. Ciemnozłote włosy opadały jej na ramiona, otulone białym sweterkiem. Cienki, czarny paseczek z okrągłą klamerką przytrzymał niebieskie jeansy na wąskich biodrach. Drobne stopy miała ubrane w skarpetki z kotkami. Leciułtko

pyzata twarz uśmiechała się do niego. Wzrok mądrych, zawsze nieco spłoszonych zielonych oczu hipnotyzował i nie dawał możliwości patrzenia na żaden inny element świata z zachwytem, po spojrzeniu w nie choćby jeden raz. Nikt na świecie nie mógł być tak zwyczajny i jednocześnie tak obezwładniająco piękny. Nikogo wcześniej Artur nie potrafił tak kochać. Właściwie, wcześniej chyba po prostu nie kochał. Czyli to jednak był koszmar. Artur od trzech miesięcy widywał Ninę jedynie w koszmarach. Na jawie zdarzało mu się odwracać za kobietami, które ją przypominały. Zdarzało mu się poczuć jej perfumy, przez co szukał jej usilnie w supermarketach i galeriach handlowych. Wyraźnie widywał ją jednak tylko w koszmarach... Ale nie widział jej w nich takiej. Widział ją, jak siedzi w rozbitym samochodzie, jak leży w trumnie lub jak po prostu odchodzi od niego, głucha na jego wołania, które zawsze przeradzały się w potępieńcze, zwierzęce wycie. Teraz stała przed nim, jak dawniej. Patrzyła na niego, jak dawniej. Była, jak dawniej.

- Nina? – Powtórzył młodzieniec, czując jak łzy spływają mu po policzkach. Nie dbał o swoją dumę. Zrobił ku dziewczynie krok. Potem następny.

- Cześć, Arturze. – Powiedziała, a głos ten wypełnił duszę Artura ciepłem, o którego istnieniu już niemal zapomniał. Zawsze mówiła do niego „Arturze”, co u innych ludzi go irytowało, ale Nina potrafiła w pewien magiczny sposób nauczyć go pragnąć tego określenia. Ona cała była magiczna. Chłopak chwycił wysnioną postać w ramiona, która wtuliła się w niego mocno, chciwie, niemal dziecięco, burząc cały tragizm, fatalny romantyzm i zrezygnowanie młodzieńca. Nina była prawdziwa. Musiała być, bo Artur dobrze wiedział, że tylko dla tego momentu chciał, aby Łukasz go uratował.

- Tęskniłam.

Para leżała, przytulona do siebie, na kanapie. Artur bawił się włosami Niny. Napawał się jej zapachem, kształtem, obecnością, całością jej istnienia. Ona zaś oparła mu głowę na piersi, obejmując go za szyję i słuchała bicia jego serca. Nie rozmawiali. Nie musieli rozmawiać. W tych drobnych gestach, spokojnych oddechach i półprzymkniętych powiekach było wszystko, czego kaleki i ze wszechmiar ubogi język nie byłby w stanie wyrazić, nawet przy wielotygodniowych rozmowach. W pewnym momencie, młodzieniec pomyślał, że mają mało czasu. Sen nie mógł trwać wiecznie. To znaczy mógł, ale ten rodzaj snu był pozbawiony snów. Chłopak nie mógł wiedzieć czy takie nocne spotkanie się kiedyś powtórzy. Zadrzał na tę myśl.

- Co się stało? – Zapytała, unosząc urzekające oczy. – Jestem tutaj. Wszystko już dobrze. – Uśmiechnęła się.

- Wszystko w porządku, Maleństwo. Kocham cię. – Powiedział Artur i pocałował ją delikatnie, jak kwiat o kruchych płatkach. – Zobacz, przestało padać. Chodźmy na spacer. – Zaproponował chłopak.

Po wyjściu z klatki schodowej, młodzieniec bardzo się zdziwił. Nina była nadal jedyną osobą w mieście, łącznie z nim, jednak obraz po niewyjaśnionej katastrofie jakby wyparował. Drzewa wróciły na swoje miejsca, okrywając się zielonymi koronami, dziury w

blokach i budynkach wypełniły cegły oraz zaprawa murarska. Murale powróciły na ściany feerią fantastycznych barw. Wszystko było na swoim miejscu. Łącznie z Arturem, który przestał się przejmować wyśnionym światem. Chwyił Ninę za rękę, która szła, jak zwykle, po jego prawej stronie i skierował się do furtki pod wykuszem jednego z bloków. Za nią para skręciła w lewo, w kierunku parku. Słońce świeciło wysoko, susząc powoli wielkie kałuże na chodniku i jezdni.

- Pamiętasz jak miałam wyrywaną ósemkę? – Zapytała Nina.

- Tak. – Uśmiechnął się Artur. – Przyjechałem do ciebie z kwiatami.

- I lodami czekoladowymi.

- Tak, właśnie! Pamiętam, że przykładałem ci zamrożonego kurczaka do policzka.

- Tak było... Prawie odmroziłeś sobie palce, bo jak puszczałeś to mnie bolało.

- Dla ciebie, mógłbym... - Młodzieniec nie dokończył, ponieważ zza rogu budynku przy prostopadłej ulicy wyłoniła się postać. Istota przypominała drgającą, czarną masę, która gotowała się i przelewała, stale utrzymując jedynie dwa świecące jadowitą żółcią punkty, przypominające oczy. Dziwaczny upiór miał na sobie ubrania Artura.

- Co to jest? Co się dzieje? – Zapytał, ale Nina jakby nie dostrzegła intruza. Skonsternowany student nie wiedział co robić, dopóki mroczna postać nie wyciągnęła z kieszeni bluzy pistoletu. Chłopak chciał zasłonić sobą dziewczynę, pchnąć ją za stojący na poboczu samochód, uczynić cokolwiek, aby ją uratować. Jednak to on potrzebował ratunku. Niesamowita istota wycelowała w niego i oddała strzał. Artur chwycił się za pierś. Spomiędzy jego palców zaczęła cieknąć, a następnie kapać krew. Chłopak upadł, nieskończenie zdziwiony, a pod ciemniejącym niebem, zobaczył twarz pochylającej się nad nim Niny.

- Czy to nie dziwne, że nawet twoja podświadomość chce się ciebie pozbyć? – Zapytała lekko zadziornie, niemal uwodzicielsko. Artur nie zdążył odpowiedzieć. Zamknął oczy i uległ ciemności.

## Rozdział 3

Artur obudził się wypoczęty pierwszy raz od dłuższego czasu, przez co na jego zaspanej twarzy zagościł szczery uśmiech. Chłopak przypomniał sobie Jej twarz, którą widział we śnie, poczuł na sobie Jej dotyk i umykający zapach perfum. Wizja minionego snu wypełniła jego ciało ciepłem pogniecionej kołdry. „*Czy to nie dziwne...*” – Głos dziewczyny zabrzmiał ponownie w jego głowie, jak huk wystrzału. Artur zerwał się z łóżka i niemal krzyknął, ale zdołał stłumić głos przyciskając dłoń do otwartych szeroko ust. Nie wiedział czy Łukasz i jego dziewczyna są w domu, a nie chciał ich niepokoić. Pierś paliła go straszliwym bólem. Student pospieszył do łazienki i zdjął podkoszulek. Na jego ciele nie było śladu po wyśnionym postrzale. Nie mogło go tam być. Przecież był to tylko sen. Niesamowicie realny, prawie namacalny, ale jednak napędzany lekami sen. Chłopak wziął kilka głębokich wdechów, żeby uspokoić walące serce. Natychmiast odepchnął od siebie wszystkie myśli związane z nocną marą. Bardzo dobrze zdawał sobie sprawę, że jego analityczny umysł nie dałby mu spokoju, gdyby pozwolił mu swobodnie myśleć. Nie mógł o tym myśleć, bo mógłby nie chcieć do Niej wrócić, a w tamtej chwili oczekiwał tylko kolejnej nocy. Artur poszedł do kuchni, nastawił ekspres do kawy i wyszedł na balkon zapalić papierosa, szykując się, jak co rano, do zajęć na uczelni.

Niczym nie wyróżniający się, szary dzień dostarczył Arturowi wystarczająco dużo materiałów do rozmyślań, które skutecznie wyparły wspomnienia o dziwnej postaci, która przeprowadziła nocny zamach na jego wyśnione życie. Chłopak siedział na krześle w korytarzu ponurego szpitala. Obdrapane z młdąco różowej farby ściany, wypełnione nikłym światłem chmurnego poranka miały w sobie coś klaustrofobicznego, jak jątrząca się rana. Liche łóżka z kroplówkami sączącymi uparcie życie do żył gasnących pacjentów przypominały kościane stelaże, rodem z taniego horroru. Przemęczeni lekarze i pielęgniarki, snujący się wymuszonym, szybkim krokiem przemykali w białych fartuchach, jak opasłe larwy. Artur spoglądał spod grzywki na to robaczywe wnętrze pachnące cierpieniem, przysłuchując się rozmowom swoich znajomych. Konwersacje zabierały go na pijackie spacerunki po klubach i podsuwały opakowania chusteczek, których białe stosy służyły za trumny dla złamanych serc i nieprzyznanych stypendiów. Student mimowolnie zaczął masować skronie, przymykając przy tym oczy. Wszystkie słowa wypełniało to samo, do cna próżne, obrzydliwie pospolite i nieznośnie nieuniknione pragnienie bycia ważnym, które infekowało całą ludzkość, bez żadnych wyjątków. Te wszystkie, mniej lub bardziej, ale jednak wybitne jednostki, posiadające subtelne pasje, które realizowały kosztem ocen z kolokwiów i przypłycały upokorzeniami ze strony profesorów, ci błyskotliwi ludzie o perspektywach ograniczonych jedynie własną małostkowością, przyprawiali Artura o mdłości. Z trudem słuchał kolejnych zdań, uśmiechając się przy tym życzliwie. Chciał uniknąć dźwięku ich głosów, schować się przed nimi, ponieważ doskonale wiedział, że tak naprawdę niczym się od nich nie różnił. On również był, w pewnym sensie, twórczy i nie ograniczał swojej inteligencji do studiów. W głębi duszy zdawał sobie jednak sprawę, że stać go było na znacznie więcej. Nie umiał sprecyzować na co, ale przecucie niewykorzystanego potencjału nie opuszczało go nigdy. Frustrację pogłębiała pustka w kotle pomysłów. Jak

wykorzystać swoje możliwości? Powierzyć się nauce? Nie, to banalne. Zostać wielkim pisarzem? Być może. Tak, to jest coś. No, ale to też już było. Zrewolucjonizować medycynę jakimś przełomowym odkryciem? Jak najbardziej... Tylko po co? W momentach takich jak tamten, Artur dużo bardziej pragnął zagłady ludzkości, masowego mordy, bardziej pragnął krwi, cuchnącej ropy, opadów radioaktywnych i atomowej zimy, niż ratowania życia na bloku operacyjnym lub w ciasnym, pachnącym płynie do dezynfekcji gabinecie. Wszystkich ludzi w grupie dziekańskiej, łącznie z nim, stać było na tak wiele, a tak niewiele wszyscy robili... Tak mało było ludzi w tych ludziach. Ograniczali się więc do zakuwania podręczników... Ograniczali się do zakuwania baz pytań na egzaminy, wyuzdanych i bezwstydnym marzeń o szczęściu, przede wszystkim jednak, do zalewania się w trupa przy każdej możliwej okazji, które to znajdowali coraz częściej. Artura przerażała przyszłość, ponieważ oni byli przyszłością.

- Ciastko? – Zapytała jedna z koleżanek, przysuwając młodzieńcowi pod nos pachnący czekoladą krążek. Wyrwany z zadumy student uśmiechnął się i wziął do ręki smakołyk. Ugryzł i przeżuł przepyszne ciastko, które jednak stanęło mu w gardle. Ona także piekła mu ciastka. Najwspanialsze na świecie ciastka z nadzieniem, które w przepisie było karmelowe, ale on dobrze wiedział, że Ona wypełniała je miłością. Artur z trudem przełknął kęs. Chciało mu się wyć. Coraz częściej chciało mu się wyć, a społeczne normy, które na publiczne wrzaski zapatrywały się dość mało tolerancyjnie, doprowadzały mężczyznę do furii. Uspokoiła go świadomość, że za jakieś czternaście godzin weźmie tabletkę, położy się do łóżka i zaczeka niecierpliwie na kolejne spotkanie z Nią. Może nawet dostanie od Niej ciastko. Młodzieniec zjadł więc do końca wypiek, podziękował jak zawsze rozpromienionej koleżance i zapytał ją o przepis, którego w ogóle nie chciał znać.

Przez resztę zajęć Artur starał się słuchać asystentów, angażować w kolejne, bezsensowne zbieranie wywiadów z pacjentami i unikać rozmów ze znajomymi. Przechodził od jednej sali chorych do drugiej, witany błagalnymi spojrzeniami staruszek i wyniszczonych alkoholików, spragnionych konwersacji. Student z największym trudem wysłuchiwał dygresji, które pacjenci wtrącali bezustannie, odbiegając od tematu swoich dolegliwości, które, jako jedyne, musiały go interesować.

- Oj kochanieńki, astmę to ja mam od czasu, kiedy urodziła mi się wnusia. Śliczna jest jak kwiatusek, syneczku! Moja najukochańsza Anusia, duma babci! Jakie dobre studia wybrała... - Tutaj nastąpiła pauza, ponieważ zasuszonej kobiecie zaczęła kaszleć, rozsiewając bezzębnymi ustami kropelki śliny, przed którymi Artur odruchowo zasłonił się notesem. - *Gównu mnie obchodzi twoja pierdolona wnuczka. Pewnie na kolejnym, utworzonym na siłę kierunku rozdaje choroby weneryczne, jak ty swoją florę bakteryjną, obrzydliwa pierduśnico.* – Młodzieniec przez chwilę nie wiedział czy faktycznie wygarnął pacjentce, czy wulgarna wiazanka pozostała w jego głowie. Był rozdrażniony, zirytowany wlekącym się czasem i gotowy wybuchnąć gniewem, co wzbudziłoby plotki, których nie chciał. Oczywiście nie mógł uchronić się także przed chociaż jedną wymianą zdań z kimś z grupy. Na drugim, ostatnim tamtego dnia seminarium pochylił się do niego siedzący obok Krzysiek.

- Wszystko u ciebie w porządku, ziomeczku? – Zapytał szeptem wysoki chłopak o przeplatanej siwizną, schludnie przystryżonej fryzurze. Jego czoło zdawało się stawać z każdym dniem wyższe, co stanowiło największy kompleks Krzyśka, a zatem i najczęstszy temat żartów jego kolegów.

- Tak, jak najbardziej. Jestem po prostu niewyspany. – Odparł cicho Artur.

- Pewnie zakuwałeś. – Powiedział drwiąco kompan.

- Nie no, co ty. Łukasz wpadł na piwo, graliśmy na konsoli do późna.

- Mhm. – Mruknął Krzysiek. Zdążył przywyknąć do tego, że Artur przynajmniej raz w tygodniu przychodził na zajęcia na kacu. Wytłumaczenie najwyraźniej go zadowoliło, ponieważ odchylił się ponownie na niewygodnym krześle i utkwiał nos w ekranie telefonu, patrząc na obrazki psów.

Koniec zajęć Artur przywitał niczym katolicy powtórne przyjście Chrystusa na Ziemię. Prawie biegiem puścił się w stronę przystanku tramwajowego tłumacząc się, że jest umówiony na siłownię. Grupa pożegnała go entuzjastycznie, jak miała to w zwyczaju, po czym rozeszła się do lekcji tańca, pracy, galerii i sklepów, a być może również i do nauki. Artura nie obchodziło to nic, a nic. Wskoczył przez zamykające się drzwi do tramwaju i zacisnął spoconą dłoń na żółtej poręczy. Uśmiech nie zszedł mu z twarzy, aż do momentu, w którym rzucił kurtkę i buty na podłogę w przedpokoju swojego mieszkania, połknął upragnioną tabletkę i legł na łóżko, osuwając się w miękkie ramiona iluzji i kłamstw.

## Sen 2

Uderzenie wilgoci i chłodu przyprawiło Artura o dreszcze. Siąpiący deszcz delikatną mgiełką otulał jego twarz. Chłopak otworzył oczy i momentalnie zorientował się co do swojego położenia. Był na Widzewie, w pobliżu bloku, w którym Nina wynajmowała pokój. Czarne, nocne niebo było gęste i ciężkie, pomarańczowe światła lamp sączyły zmęczone promienie przez statyczne powietrze. Młodzieniec naciągnął na głowę kaptur bluzy, którą miał pod kurtką i sięgnął do wewnętrznej kieszeni na piersi. Były w niej papierosy i zapalniczka z napisem „Mała, ale ognista”. Chociaż Nina nie pochwałała jego nałogu, ten slogan zawsze ją rozbrajał. Chłopak zapalił, zaciągnął się głęboko i ruszył przed siebie. Uśpione miasto ponownie pozbawione było ludzi. Artur szedł wolno chodnikiem, napawając się mistyczną scenerią. Pamiętał dokładnie, jak wracał tędy do mieszkania w czasach, gdy jeszcze potrafił czuć radość. Właściwie, umiał wtedy nawet czuć szczęście. Odległe zjawy tego enigmatycznego zjawiska, którego pragnie ludzkość, nagle stały się wyraźne, niemal namacalne, jak kot, który siedział na dachu samochodu. Student zatrzymał się, lekko zdziwiony. Obecność innego żywego stworzenia była nowością. Okryty cudownie czarną sierścią zwierzak przyglądał się Arturowi jadowicie żółtymi oczami. Chłopak przytrzymał papierosa w ustach i zaczął unosić dłoń, jednak zatrzymał ją w połowie ruchu. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nie chciał pogłaskać kota. Wydawało mu się to zabronione przez jakiś absurdalny dekalog, podarowany śniącym przez Morfeusza na górze zbawiennych kłamstw. Młodzieniec odwrócił się i kontynuował spacer. Pomiędzy dwoma blokami skręcił w prawo, idąc drogą prowadzącą przez osiedle. Wszystkie okna budynków były ciemne, puste i kojąco pozbawione życia. Artur nie lubił palących się nocą światel w pokojach. Uświadamiały mu one ilość osób, które pchały swoją ubogą codzienność po stromym zboczu losu, z trudem stawiając każdy krok. Myślał wtedy o wszystkich wylanych łzach, o krzykach i stłuczonych naczyniach, o wyjałowionym przez upływ czasu seksie, oparach alkoholu i rozczarowania, od których parowały te przekłete szyby. Kolejny pakiet zatrutych myśli, zajmujących stałe miejsce w jego udręczonym mózgu. Z zadumy wyrwał chłopaka widok jednego światła, którego natura była odmienna od całej reszty. Paliło się ono w pokoju Niny. Młodzieniec zapalił drugiego papierosa i podszedł do drzwi klatki schodowej. Palce drżały mu przy wpisywaniu numeru mieszkania, sam nie wiedział czy z zimna, czy z podniecenia. Niemal natychmiast usłyszał ciche piknięcie, otwierające zamek. Artur wyrzucił niedopałek w wyliniałe krzaki rosnące wzdłuż bloku i zaczął wspinać się na najwyższe piętro.

Czekała na niego za uchylonymi zapraszająco drzwiami. Bosa, w krótkiej chabrowej spódniczce i białej bluzeczce z półksiężycowatym dekoltem, strojna w najcudowniejszy uśmiech i dwa niepewnie płonące ogniki w rozmarzonych oczach. Jedną nogę miała jak zwykle nieco ugiętą, z kolanem skierowanym do środka.

- Cześć, Arturze. – Powiedziała cicho. Artur nie odpowiedział. Zdjął mokre buty i kurtkę, którą powiesił na wieszaku. Chłopak miał, gdzieś z tyłu głowy, ciężącą mu jak ogrom próśb i modlitw na barkach zamęczonego boga świadomość, że znajduje się we śnie. Nina nie musiała myć podłogi po jego wyjściu. Młodzieniec chciał jednak za wszelką cenę dodać temu

lepszemu światu tyle realizmu, ile tylko mógł. Chciał, aby kiedyś wspomnienia tych snów zlały się ze wspomnieniami jawy, zacierając granicę śmierci, szaleństwa i rozpacz. Nina przyglądała się ciekawie Arturowi, unosząc leciutko kącik ust. Chłopak pozostał milczący. Chwycił ją w objęcia i pocałował mocno, namiętnie, tęsknie. Złapał wędrujące wzdłuż jego nogi udo i przyciągnął ku górze. Przycisnął jej drobne ciało do ściany i wplótł palce w jej miękkie włosy. Nina westchnęła, poddając się pieszczotom, chłonąc esencję jego istnienia, którym była ona sama. Artur uniósł kobietę i przeniósł ją do pokoju. Już miał rzucić ją na łóżko, ale zamiast tego położył ukochaną najdelikatniej jak potrafił, jakby była z porcelany. Jakby była tylko snem...

- Nie opuszczaj mnie już. – Szeptala Nina, kiedy kreślił językiem sonety na jej szyi. – Tak bardzo mi cię brakuje. Tu jest tak pusto bez ciebie. Nigdy nie odchodź. Proszę. – Westchnęła, kiedy szlak pocałunków dotarł do jej dekoltu. Artur był cierpliwy, nie spieszył się. Wracał do jej twarzy i szyi, nie mogąc się nimi nasycić. Wtem, chłopaka przeszedł dreszcz. Do jego rozanielonego umysłu wpełzło oślizgłe, natrętne poczucie niebezpieczeństwa i jakiejś nieokreślonej grozy. Nie mógł na nie zareagować. Jej usta pompowały krew w jego żyłach, jej oddech wypełniał mu płuca. Oderwanie się od nich w celu rozejrzenia się po pokoju, który w tamtej chwili nie istniał poza łóżkiem, wydawało mu się zbrodnią, którą należało karać śmiercią. Ktoś wyręczył Artura, chwytając go za włosy i ściągając brutalnie z Niny, wyrывая przy tym całe ich kępy. Chłopak krzyknął, ale dźwięk ten stłumił chrupot i obrzydliwe mlaśnięcie, kiedy w twarz uderzył go gruby, drewniany kij. Młodzieniec zakrztusił się własnymi połamanymi zębami i zaczął kaszleć. Zdażył zobaczyć jeszcze znajomą, straszną postać w jego ubraniach, zanim kolejny cios go oślepił. Kij długo unosił się i opadał, zanim wśród obezwładniającego bólu, rytmicznych trzasków i chrzęstów, Artur usłyszał rozedrgany, bezsilny głos Niny.

- Wróć do mnie. Potrzebuję cię.

## Rozdział 4

Kolejny dzień był wolny od zajęć, co bardzo sprzyjało Arturowi, ponieważ obudził się z potwornym bólem głowy. Gniew i szarpanie w czasie oślepiało, wykrzywiało twarz i utrudniało jakikolwiek ruch z pozycji leżącej. Zaciskając zęby, z cichym sykiem chłopak poszedł do łazienki umyć zęby. Białą pianę z pasty do zębów brudziła czerwień krwi, tworząc mięsisty róż. Młodzieniec tłumaczył to podrażnionymi dziąsłami, bo przecież sny nie mogły wpływać na jawę. Nie miał zresztą siły na zastanawianie się, ponieważ ból głowy skutecznie zaburzał mu myśli. Artur w końcu zebrał się w sobie i postanowił wyjść po tabletki przeciwbólowe, żeby jakoś przetrwać niezaplanowany dzień.

Apteka znajdowała się za łukowatym przejściem pod łącznikiem pomiędzy przeludnionym supermarketem, a opustoszałym biurowcem. Przed sklepem, jak zwykle, skulone w kucki kasjerki paliły tanie papierosy, rozprawiając o chujowej pogodzie, szefie – skurwysynie i klientach – debilach. W brudnych kałużach ich twarze przypominały groteskowe, rozmyte maski pracowitych gnomów. Artur czuł bardzo głęboki niesmak mijając takie osoby. Zdawał sobie sprawę, że okoliczności losu nie zawsze umożliwiają dobrą edukację. Szanował też każdy objaw pracowitości i był daleki od pogardzania jakimkolwiek zawodem. Do szału doprowadzała go jednak świadomość, że ci pozbawieni perspektyw, bezmyślni ludzie, byli o wiele szczęśliwsi od niego. Żmudne wiązanie końca z końcem, polowanie na promocje, aby skromna pensja nie stopniała zbyt szybko, desperackie szukanie wymówek do wieczornego wyjścia z domu, jak najdalej od pijanego męża – wszystko to skutecznie zabijało w człowieku refleksję. Kasjerki nie przejmowały się sensem ludzkiego życia, nie miały potrzeby zrozumienia czegokolwiek, oprócz mechanizmu wydłużania paznokci akrylem i z pewnością nie odczuwały tego przemożnego, paraliżującego bólu kreatywności. Artur wielokrotnie kwestionował słuszość powstania w istocie ludzkiej zmysłu twórczego. Wzbogacanie świata w coś zupełnie nowego, posiadanie analitycznego, spostrzegawczego umysłu oraz pozbawionych kłapek oczu, niosło za sobą przekleństwo ciągłego smutku. Umiejętność dostrzegania wad i nieskończonej ułomności rodzaju ludzkiego, skutkująca głęboką pogardą i niechęcią, kontrastowała z potężną potrzebą dzielenia się sobą z tymi właśnie dumnymi i ograniczonymi ludźmi. Chęć bycia zrozumianym i wysłuchanym zawsze zderzała się z głuchotą i brakiem zrozumienia. - *Myślenie zabija*. – pomyślał Artur, wchodząc do pachnącej, jak wszystkie inne, apteki.

Uzbrojony w paracetamol chłopak udał się w drogę powrotną, zapalając papierosa. Niewielkie pudełko samą obecnością w jego kieszeni, zdawało się ukoić nieco ból głowy. Artur uśmiechnął się lekko, krusząc swoją typową maskę, którą ubierał podczas przechadzek po mieście – wieczny grymas złości i niezadowolenia. Młodzieniec podejrzewał, że ten właśnie wyraz twarzy uchronił go wielokrotnie przed zaczepkami kiboli, meneli i wszelkiego innego robactwa, zamieszkującego nocą łódzkie bramy i podwórka, obok których przechodził wracając z pubów, klubów i domówek. Artur czasami obawiał się, że czeka go alkoholizm. Strach nasilał się, kiedy chłopak uświadamiał sobie, że jego najszcześniejsze wspomnienia łączyły się nierozzerwalnie z alkoholem. Wszystkie, oprócz tych związanych z nią... Student

nagle przypomniał sobie wczorajszy sen, którego wizja przebiła się przez kurtynę bólu w jego mózgu. Jak Ona mogła go potrzebować? Przecież mimo najdzikszych pragnień metafizyki i paranormalności, pozostawała wytworem jego umysłu. Łudząco realnym, zbawiennie ciepłym, ale jednak tworem dręczonych poczuciem straty i zagubienia neuronów. - *Czy ja w końcu do reszty wariuję?* – Zapytał siebie w myślach Artur. Wtem, za jednym z ogrodzeń przy ulicy prowadzącej do osiedla młodzieńca, dostrzegł on ciemny kształt. W smoliście czarnym kłębkę świeciły się jedynie dwa żółte punkty. Chłopak zatrzymał się. Kot przypominał tego ze snu tak bardzo, że Artur zadrżał. Rozejrzył się powoli, chcąc upewnić się, że już nie śni. Samochody jeździły po ulicach. W oddali wyła syrena karetki lub radiowozu. Ludzie spieszyli do swoich spraw. To nie był sen. Chłopak przykucnął, wpatrując się w zwierzę, które spojrzało mu w oczy.

- Kici, kici. – Szepnął niepewnie Artur, wyciągając dłoń. Kot przeciągnął się i ziewnął, po czym miękkiem krokiem podszedł do krat ogrodzenia, przecisnął się pomiędzy nimi i położył łepkę na rękę studenta. Chłopak pogłaskał zwierzątko. Przyjemny dotyk uspokajał, prostował myśli, a wibrujące mruczenie miało w sobie nawet coś, co można było nazwać przyjemnością. Artur wstał i skierował się w stronę osiedla, oglądając się za siebie. Kot szedł za nim.

- Czy tak zdobywa się kota? – Mruknął do siebie. – Gdyby wszystko było tak proste...

Kot podążał za Arturem do furki i klatki schodowej, a następnie do windy oraz mieszkania. Chłopak nie zamierzał go przegonić. Rodzice i znajomi wielokrotnie zachęcali go do kupienia lub zaadaptowania czworonożnego towarzysza. W tamtej chwili ich sugestie wydawały się tak słuszne, jak jeszcze nigdy dotąd. Kocur leżał wygodnie na kanapie, kiedy młodzieniec nalewał mu mleka do jednej miseczki i kroił kielbasę, którą wrzucił do drugiej. Zwierzątko najwyraźniej nie był głodny, bo posiłek nie zainteresował go ani trochę. Za to kiedy Artur wszedł do salonu i usiadł na kanapie, kot wlepił w niego żółte ślepie.

- Co? – Zapytał idiotycznie Artur. – Chcesz się przytulić? – Powiedział, wyciągając ramię w zapraszającym geście. Zwierzątko przyjął ofertę i ostrożnie umościł się na kolanach chłopaka, mrużąc przy tym entuzjastycznie. Student zaczął głaskać kocura, uśmiechając się głupawo. Czuł się nieco zakłopotany obecnością innego żywego stworzenia w swoim mieszkaniu. Zakłopotany, ale w pewien sposób również zadowolony i spokojny.

- Potrzebne ci imię. – Powiedział. Kot uniósł łepkę i spojrzał na swojego nowego gospodarza. Koty przecież nie mają właścicieli, a tylko gospodarzy. – Może... Może Jafar? – Zwierzątko odwrócił głowę, jakby rozczarowany. – No co? Przecież jesteś czarny. – Usprawiedliwił się Artur, zdając sobie jednocześnie sprawę z ubóstwa humorystycznego tego żartu. – Więc może Fryderyk? – Brak reakcji kota świadczył chyba o nieznamości osoby i filozofii Nietzschego. – Ciężko cię zadowolić. – Westchnął chłopak i odchylił się na oparciu, przymykając oczy. Przestał przy tym głaskać kota, który wyraźnie niezadowolony, wbił mu lekko pazurki w udo, w ponagląjącym geście. – Wiem! – Odezwał się zadowolony młodzieniec. – Nazwę cię Ból! – Kocur spojrzał Arturowi w oczy, zamiauczał i ułożył się wygodniej. – Dobrze. Niech będzie Ból. – Uśmiechnął się chłopak, głaszcząc śpiącego na jego kolanach Ból.

## Rozdział 5

Artur jechał zatłoczonym tramwajem, otoczony zobojętniałym tłumem. Trzymał się kurczowo żółtej poręczy pod sufitem, jakby była jedynym elementem, który zapobiegał utonięciu w cuchnącym gardle tej pospolitej tłuszczy. Przystanek, na którym wysiadał zdał mu się wybawieniem. Świeże powietrze, jeżeli można było o takim mówić w Łodzi, owiało jego twarz, zabierając ze sobą odór trosk, który skraplał się z oddechów podróżujących. Chłopak był przed Manufakturą, do której udał się celem oddania krwi w czerwonym autobusie, nazwanym równie profesjonalnie, co pretensjonalnie, „Mobilnym punktem poboru”. Artur regularnie, co sześć miesięcy oddawał krew. Miało to swoje zalety. Opakowanie pysznych czekolad, czasami baton, napój energetyczny lub nawet ręcznik stanowiły wspaniałą rekompensatę za utracony płyn ustrojowy. Student starał się oddawać swojemu rytuałowi w dniach, w których przypadały imprezy. Dzięki osłabieniu, alkohol szybciej uderzał do głowy, co dawało sporą oszczędność. Dzisiaj wieczorem jego grupa dziekańska była umówiona na wspólną zabawę w klubie, który znajdował się w budynku akademika. Imprezy w środku tygodnia przestały kogokolwiek dziwić już w połowie pierwszego roku studiów. Termin był zatem idealny. Artur szedł szybkim krokiem, zbliżając się do autobusu. Dość wczesna godzina skutecznie zapobiegła długiemu oczekiwaniu w kolejce. Młodzieniec wziął formularz od mężczyzny siedzącego na miejscu kierowcy, odszedł kilka kroków i usiadł na ławce, zabierając się do wypełniania dokumentu. Chłopak oddawał krew z jeszcze jednego powodu, o którym nikomu nie wspominał. Lubił wierzyć w to, że płyn, który sączył się z jego żyły do plastikowego woreczka zawierał w sobie esencję jego smutku, jakiś tajemniczy związek chemiczny odpowiedzialny za całą mizantropię, bezsens i wewnętrzną pustkę. Artur zakreślał kolejne kwadraty na kartce papieru czując znajome podniecenie. Pospiesznie podpisał dokument i wrócił do autobusu. Mężczyzna przyjął pismo i przekazał ochotnika w ręce pielęgniarki, która z profesjonalną, wypraną z uczuć twarzą pobrała od niego próbkę krwi. Student rozglądał się po wnętrzu pojazdu. Na dwóch wygodnych fotelach do pobrań siedziały blade jak świeży śnieg młode kobiety. Czuwające przy nich członkinie wampirycznego personelu wywraçały oczami i ukradkiem podśmiewały się z mdlejących dawczyń. Artur już dawno zauważył, że cudza słabość, nawet usprawiedliwiona, napawa ludzi silnych politowaniem, a nawet pewną odrazą. Uczucie wyższości, na jakimkolwiek polu, zawsze dodaje nam animuszu, chociaż najczęściej staramy się to ukryć, oszukać siebie samych i zatuszować własną próżność. Wynik badania próbki Artura był pomyślny, więc chłopak przeszedł do ciasnego pomieszczenia, stanowiącego gabinet lekarski, przyciskając gazik do zgięcia łokciowego. Młoda pani doktor powitała go szczerym uśmiechem i rozpoczęła wywiad, zakładając mu jednocześnie rękaw ciśnieniomierza.

- To pana pierwszy raz? – Zapytała z entuzjazmem w głosie, świadczącym o dopiero ukradkiem zbliżającym się wypaleniu zawodowym i rozczarowaniem polską ochroną zdrowia.

- Nie, oddaję co pół roku od osiemnastki. – Odpowiedział student, karcąc się jednocześnie za dumę w swoim głosie. Nie robił przecież tego dla potrzebujących, ale dla własnej ulgi.

- No proszę. – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej lekarka. – Szkoda, że więcej młodych ludzi nie jest takich jak pan.

Artur spojrział na notującą kobietę z politowaniem. Gdyby tylko wiedziała, jaki jest naprawdę, wyrzuciłaby go z autobusu, posyłając kopniaka i siarczyste przekleństwo na drogę do piekła. Następnie pewnie poprosiłaby kierowcę o papierosa, rozpoczynając tym samym dożywną batalię między swoim własnym idealizmem, a nieubłaganą rzeczywistością.

- Skoro jest pan stałym klientem, nie będę pana długo męczyć. – Zaśmiała się doktor. – Ciśnienie delikatnie podwyższone. Stresuje się pan jeszcze?

- Nie. Zawsze tak mam przed oddawaniem. Nie wiem z czym to się wiąże. – Odparł krótko młodzieniec.

- Cóż, na fizjologię nic się nie poradzi. Nie zatrzymuję dłużej i zapraszam na fotel. – Podsumowała lekarka.

- Dziękuję. – Odpowiedział uśmiechem Artur. Chłopak przeniósł się na krzesło czekając, aż pielęgniarki podniosą pozieleniałą już krwiodawczynię i przeprowadzą ją na siedzisko przy drzwiach autobusu, na którym miała chwilę ochłonąć.

- Zapraszam. – Usłyszał w swoją stronę student, na co poderwał się ochoczo i zajął miejsce na wygodnym fotelu. – Które ramię? – Zapytała pielęgniarka.

- Lewe. – Powiedział bez zastanowienia Artur i zaczął podwijać rękaw bluzki. Zobaczył wtedy bliznę na nadgarstku, o której kompletnie zapomniał, co jeszcze mu się nie zdarzyło. Zmieszany chłopak zsunął materiał, naciągając go nisko i przytrzymując w zaciśniętej pięści. – Właściwie to pomyślałem, że tym razem może jednak prawe. – Poprawił się, posyłając uzbrojonej w igłę kobiecie rozbajający uśmiech.

- Jak pan woli. – Odpowiedziała beznamiętnie wampirzyca. – No to zdrowaś Maryjo... - Wyrecytowała pielęgniarka, wkłuwając igłę w żyłę młodzieńca. – ...I jest. W razie, gdyby się pan źle czuł, proszę mówić. - Artur czuł się cudownie. Patrzył na strumień tej samej, najwspanialszej czerwieni, w której zakochał się dawno temu. Obserwował napętniający się powoli woreczek wyobrażając sobie wszystkich pacjentów, którym jego krew pomoże lub uratuje życie. Leżał wraz z nimi na szpitalnych łóżkach odurzony lekami przeciwbólowymi, dziękując swojemu bezimiennemu wybawicielowi. Był wraz z nimi, kiedy trucizna z jego żył zaczynała infekować ich serca i umysły. Poczucie bezsensu we wszystkim, czemu sens nadać się chciało, beznadzieja życia, marność ludzkiego rodzaju, cierpienie, ból, smutek i złość, ta gotująca się, rozlewająca palącym kisiem złość. Wszystko to wypływało z niego, mając zanieść ocalenie (komu?) i zagładę (komu?). Artur podejrzewał, że gdzieś za tym isticie szatańskim zachowaniem kryło się jego łkające pragnienie bycia zrozumianym. Chłopak nie chciał być na świecie jedynym, który borykał się z takimi trudnościami. Infekując innych swoim zepsuciem, gdzieś tam na Widzewie, Bałutach lub Polesiu, a może nawet na Stokach

lub Chojnach, tworzył sobie towarzysza niedoli. Jeszcze jedno poszarzałe życie, jeszcze jedna zdruzgotana dusza... Student bardzo rzadko łudził się, że jego krew naprawdę ma moc przekazywania jego uczuć. Jeszcze rzadziej wierzył w to, że w końcu znajdzie się ktoś, kto dostrzeże rozwiązanie dla wszystkich jego trosk, że pewnego dnia spotka biorcę swojego zepsucia, a ten poda mu receptę, jakieś remedium, które odmieni jego żalosne życie.

- Niestety, ma pan za niską hemoglobinę. Nie może pan oddać krwi. – Skrzeczący głos pielęgniarki wyrwał Artura z transu. Chłopak spojrział w jej stronę i uchwycił plecy odrzuconego dawcy. Student wyjrzał przez okno. Młody mężczyzna wyszedł z autobusu i odetchnął głęboko dwa razy, po czym uśmiechnął się i wszedł do centrum handlowego. Wyrażna ulga niedoszłego krwiodawcy, ten mimowolny gest utwierdził Artura w jego pesymizmie.

- Nie możemy wierzyć w altruizm, jeżeli uniknięcie ukłucia sprawia nam większą radość niż uratowanie życia. – Szepnął student.

Wchodzącego do mieszkania młodzieńca powitał Ból. Kot siedział w przedpokoju, przyglądając się ciekawie swojemu gospodarzowi.

- Witam. – Powiedział ciepło Artur. – Byłeś grzeczny? – Zapytał głupkowato. Zwierzak zatrząsł uszami i poszedł do salonu, zostawiając pytanie bez odpowiedzi. Chłopak zdjął buty i kurtkę, po czym położył w kuchni pudełko z czekoladami, wyjmując z niego dwie tabliczki. Mimochodem zauważył, że miseczki z jedzeniem dla Bólu pozostały nietknięte. Kot pewnie nadal czuł się trochę obco, co odbierało mu apetyt. Student rzucił słodczyce na łóżko w sypialni i zrobił mały obchód mieszkania, w poszukiwaniu śladów pazurów na meblach. Pobieżnie obejrzał sofę i fotel, drzwiczki szafek i firanki. Ból obserwował go żółtymi oczami, jakby z politowaniem.

- Masz mnie za głupka? – Zapytał chłopak. – Dobra. Uznaję, że jesteś dobrze wychowany i nie znizasz się do poziomu drapania mebli, jak pospolite koty. – Ból miauknął, pewnie zgadzając się ze spostrzeżeniem. Zadowolony Artur wrócił do sypialni i podniósł oparcie łóżka, ustawiając je w pozycji do oglądania filmów na monitorze komputera. Uruchomiwszy maszynę, wybrał w Internecie jedno z dzieł reżyserii Paolo Sorrentino i położył się, zabierając się jednocześnie za pierwszą czekoladę. Do czasu wyjścia na imprezę w akademiku miał jeszcze cztery godziny. W międzyczasie dołączył do niego Ból, który położył się po lewej stronie młodzieńca, spoglądając ukradkiem na jego lewą dłoń. Artur zrozumiał aluzję i zaczął głaskać kota, który mruczał przez chwilę, a następnie zasnął.

Student otworzył oczy. Za oknem było już ciemno. Ból nadal spał pod jego dłonią. Opakowania po czekoladach leżały na jego piersi. Monitor był czarny, głośniki milczały. Artur skonstatował, że musiał zasnąć w trakcie seansu. Spojrział na zegar na ekranie telefonu. Do imprezy pozostała jedna godzina. Chłopak wstał z łóżka, ziewnął i przeciągnął się. Spokojnie włączył muzykę, która miała akompaniować mu przy przygotowaniach. Album „Pure Comedy” zaczął traktować o psującym ludzi kapitalizmie, potrzebie nadmiernej konsumpcji i okrucieństwie stwórcy tej wiecznej farsy. Młodzieniec zdjął koszulkę i przeszedł do łazienki, zamykając za sobą drzwi. Artur spojrział na siebie w lustrze. Nie widząc

niczego, czym mógłby się zachwycić, sięgnął po szczoteczkę do zębów, jednak w połowie ruchu odwrócił dłoń i spojrzał na różową linię na jego nadgarstku. Blizna zagoiła się niezbyt ładnie. Była przerośnięta, z dwoma prostopadłymi śladami po szwach, po każdej stronie. Przy ćwiczeniach na siłowni lub noszeniu zakupów tkanka siniała brzydko. Czasami także swędziała. Swędziała, kiedy myślał o...

- Jak mam na imię? – Usłyszał Artur za swoimi plecami. Chłopak nie mógł się odwrócić. Chciał to zrobić z całych sił, ale jego ciało nie było zdolne do ruchu, albo było zdolne, lecz wyraźnie go nie słuchało. Chłopak uniósł wzrok. W lustrze zobaczył Ból. Kot siedział na koszu z brudnymi ubraniami. – Jak mam na imię? – Powtórzyło zwierzę. Artur nie wierzył w to, co się działo. Kot wyraźnie poruszał pyskiem, przemawiając do niego głosem młodego chłopca, co jedynie dodawało całej sytuacji grozy. Chłopak nie potrafił wykrztusić z siebie słowa. Głos wiązał mu nie w gardle, ale gdzieś nawet niżej, w samym środku przerażonych trzewi. – Jak mam na imię?! – Zapytał ponownie Ból, przebierając przednimi łapkami. Był wyraźnie zirytowany milczeniem studenta. Artur nie miał pojęcia dlaczego, ale był absolutnie pewien, że musi odpowiedzieć. Musiał dać odpowiedź teraz, w tym momencie, bo inaczej stanie się coś bardzo złego, czego nie potrafił wyrazić. – JAK MAM NA IMIĘ?! – Wrzasnął kot, sycząc przy tym i prychając. Młodzieniec włożył do ust palec wskazujący prawej ręki. Przez moment wahał się, jednak poczuł zaciskające się na nim zęby. Chłopak zwiększał nacisk, walcząc z mdłościami i przeszywającym bólem. W końcu zazgrzytała kość. Artur nie ustąpił. Gryzł dalej, czując trące o siebie z obrzydliwym chrzęstem powierzchni, przytrzymując się krawędzi szafki. Krew zalewała mu wargi ciepłymi strużkami. Po długiej jak wieczność chwili, paliczek trzasnął. Student wypluł opuszkę, która wylądowała pomiędzy czerwonymi plamami na bielącej się umywalce. Następnie uniósł drżącą dłoń i zaczął bazgrać piekącym kikutem po lustrze. Kiedy na tafli pojawiło okropne, ociekające lejącą się czerwienią słowo „ból”, Artur opuścił rękę i wziął kilka głębokich wdechów.

- Jak mam na imię? – Usłyszał ponownie młodzieniec. Ponowne pytanie ścięłoby go z nóg i doprowadziło do łez, ale chłopak był jak w transie. Wiedział co musi zrobić i nie miał opcji ratunku. Zdezorientowany, chcąc ponownie napisać imię kota na lustrze zorientował się, że z okaleczonego palca przestała lecieć krew. Artur spojrzał na odbicie zwierzęcia, w którego jadowitych oczach nie było żadnego śladu współczucia, a jedynie bezlitosne oczekiwanie. Student włożył do ust środkowy palec, który drżąc, obijał się o jego zakrwawione zęby. Ugryzł mocno, zdecydowanie, jednak nie dość mocno. Kość zaprotestowała żalonym jęknięciem, ale nie ustąpiła. Zrozpaczony młodzieniec zacisnął mocniej usta, szarpiąc przy tym dłonią. Krople krwi kapały dookoła groteskową fontanną. Artur przypominał obłąkany zraszacz do trawy, której właściciel stwierdził, że rośliny potrzebują do wzrostu żelaza, najlepiej pochodzenia ludzkiego. Torturowany paliczek przegrał walkę i chłopak wypluł kolejny palec do umywalki. Targany konwulsjami, drżący od przerażenia i bólu, student ponownie napisał na lustrze słowo „Ból”, tym razem z wielkiej litery.

- Jak mam na imię? – Powtórzył kot. Artur gapił się w oczy zwierzęcia, szukając wskazówki lub odpowiedzi. Czuł się jak zając, który zatrzymał się na środku jezdni, wpatrzony w reflektory pędzącego samochodu. Chłopak potrząsnął głową, zachwiał się i spojrzał ponownie na kota. – Jak mam na imię? – Student uniósł okaleczoną rękę. Po chwili warknął, zaskrzeczał

i walnął pięścią w lustro, które zakwitło pajęczyną pęknięć. Młodzieniec zaczął szamotać się przy umywalce, rozmazując krew na gładkiej tafli, rozrzucając przybory toaletowe i rozlewając mydło. Chłopak w dalszym ciągu nie mógł krzyczeć ani wyartykułować żadnego słowa. Z jego ust wydobywały się jedynie niezrozumiałe jęki i gulgoty. W końcu, wycieńczony, Artur osunął się na kolana.

- Dobrze. – Usłyszał za sobą. Student podniósł wzrok do lustra, które bardziej przypominało teraz płótno szaleńca. Odciski trójpalczastej dłoni, niewyraźne i urywane smugi czerwieni, pęknięcia oraz zbląkane krople tworzyły makabryczny obraz, zlewający się w powykręcany, schorzały napis „b ó l”. – Słowa nie mają żadnej wartości, dopóki nie nada się im znaczenia. Jeżeli to miałeś na myśli, nadając mi imię Ból, będę je nosił z radością. – Artur w końcu mógł odwrócić głowę. Spojrzał na czarnego kota, którego pyszczek wykrzywił szeroki od ucha do ucha, przerażająco biały uśmiech.

Artur zerwał się z łóżka, budząc przy tym Ból, który ziewnął i przeciągnął grzbiet. Zdyszany, zlany potem student spojrział na kota, szukając w jego oczach tego jadowego, żółtego okrucieństwa, którego stał się ofiarą w łazience. Zwierzę patrzyło na niego zupełnie normalnie. Chłopak odruchowo złapał się za palce prawej dłoni. Wszystkie były na swoim miejscu. Monitor był czarny, głośniki milczały. Za oknem było już ciemno. Młodzieniec spojrział na zegar na ekranie telefonu. Do imprezy pozostała jedna godzina. Artur usiadł z powrotem na materacu. Po sekundzie wahania wyciągnął dłoń i pogłaskał kota po puchatym łebku.

- Muszę się napić. – Stwierdził student. Ból zamruczał, zgadzając się z tym stwierdzeniem.

## Rozdział 6

Artur uszykował się w piętnaście minut. Umył zęby, spryskał się wybranymi spośród pięciu flakonów perfumami i zmienił czarną, gładką koszulkę na białą z wyobrażonym szkieletem pozbawionym kończyn. Nadruk ten skutecznie odstraszał kobiety. Chłopak był świadomy, że po alkoholu do głosu dochodziła jego uwodzicielska i czarująca strona, a w klubie nigdy nie brakowało chętnych panien. Młodzieniec zabezpieczał się więc przed wyjściem, żeby w chwili upojnej słabości Jej nie zdradzić. Artur brzydził się zdradą. Stawiał ją na równi z morderstwem. W końcu osoba zdradzająca mordowała zaufanie, zarzynała opasłą swinię tuczoną zaangażowaniem i uczuciem, rozlewała wiadra krwi agonizujących wspomnień i otwierała rany rozpacz. Artur traktował zdradę jak morderstwo, bo nie zostawało po niej nic, oprócz nekrologu szczęścia.

Wcześniejsze wyjście z domu i inwestycja w taksówkę skutecznie zapobiegły długiemu czekaniu w kolejce do klubu. Artur już z daleka wypatrzył Krzyśka, który palił papierosa przez wejście, rozmawiając z grupką znajomych. Gdyby ktoś nie znał tych ludzi, mógłby odnieść bardzo realistyczne złudzenie, że naprawdę są zainteresowani sobą nawzajem. Szyte na miarę, przyklejone uśmiechy, wyćwiczone przed lustrem i dopracowane z aktorską starannością gesty, a wszystko to elegancko upakowane w sztywne kołnierzyki skrzepowanej swobody, ustawione na chwiejnych obcasach samozwątpienia i dokładnie ukryte w głębokich dekoltach oraz opinających rękawach. Artur umiał grać w tę grę pozorów, ale szczerze jej nie cierpiał. Nie mógł doczekać się szumu alkoholu w głowie, słodkiego przytępienia myśli, dzięki któremu nie musiał grać, ale dopasowywał się do płynnego otoczenia.

- Elo, Mordo! – Zawołał Krzysiek, dostrzegając szczerzącą się maskę na twarzy kolegi. – Gotowy na najebkę?

- No witam! – Odkrzyknął student, wyciągając papierosa. – Zawsze jestem gotowy.

Jak to zwykle bywało w przypadku Krzyśka, po kurtuazyjnym wstępie zapadała niezręczna cisza, przerywana kąśliwymi uwagami odnośnie zachowania innych, skrzeczącym śmiechem lub obowiązkowym stwierdzeniem, że musi w końcu przestać palić. Młodzieńcy weszli do klubu i zostawili kurtki w szatni, płatnej dwa złote. Pijani studenci, którzy wychodzili w nocy zapalić przepuszczali w tym miejscu istne fortuny. Bez zbędnych ogródek koleżdy podeszli do baru i zamówili dwie wódki, które po sekundzie zastanowienia zamieniły się w cztery. Barman na każdym kieliszku kładł połyskującymi szczypcami cząstkę pomarańczy o aromatycznej skórce.

- No to zdrowko! – Oświadczył Artur, unosząc zimne naczynie.

- Nie stukasz, nie ruchasz! – Dodał Krzysiek i stuknął kieliszkiem o blat. Towarzysz powtórzył rytuał godowy i oboje wypili. Artur poczuł zimno w przelyku, które po chwili zapłonęło czterdziestoprocentowym płomieniem. Słodycz pomarańczy pomogła mu się nie

skrzywić, a wymieszana z alkoholowym jadem, rozlała się po ciele młodzieńca falą, którą nieliczni zgromadzeni w klubie mogli niemal zobaczyć i poczuć. Chłopak uśmiechnął się na myśl o nadchodzącym zawężeniu świadomości. Dryfował teraz w kierunku intelektualnej mielizny. Zbyt wolno. Potrzebował czystego, żytniego wichru w żaglach, które właśnie po kolei stawiał na maszty.

- Jak woda! – Ucieszył się Krzysiek. – To jest mój dzień.

- Dawaj na drugą nóżkę, bo jeszcze mi się ręce trzęsą. – Zakomenderował Artur, chwytając drugi kieliszek i podnosząc go w górę jak osobistą biblię, swój własny kodeks moralny i przewodnik do szczęścia. Po drugiej kolejce studenci zarządzili przerwę na papierosa, póki na dworze nie było na tyle zimno, aby nie dało się wytrzymać bez kurtek. Pogrążeni w kłębach dymu i rozplywających się myślach młodzieńcy zaczęli witać schodzących się małymi grupkami znajomych. Na czele pierwszej z nich szła średniego wzrostu szatynka o ślicznej, przemiłej twarzy i wydatnych, pełnych ustach. Przy każdym kroku kołysała biodrami, co nie umykało uwadze obecnym wokół samcom.

- Cześć chłopcy! – Zawołała Basia.

- Siema, siema. – Odpowiedzieli Artur i Krzysiek, wymieniając z dziewczyną buziaki i uściski.

- Co tam? Piliście już coś? – Zapytała, po czym skrzywiła się wyraźnie. – Ja nie wiem jak wy możecie palić.

- Na coś trzeba umrzeć. – Odparł Krzysiek zaciągając się jeszcze głębiej, na co Basia przewróciła oczami z zażenowaniem.

- Dopiero zaczęliśmy picie. Szybko nadrobisz. – Artur puścił koleżance oczko. Basia należała do najbardziej radosnych osób, jakie znał. Zawsze uśmiechnięta, spontanicznie wybuchająca śmiechem zaraźliwym jak ospa wietrzna, kobieta roztaczała dookoła siebie prawie namacalną aurę dobrego nastroju. Nikt nie mógł oprzeć się temu wpływowi. Nikt, z wyjątkiem Artura.

- Kwitnąco wyglądasz... – Powiedział Krzysiek z szelmowskim uśmiechem.

- Dziękuję! – Rozpromieniła się Basia. – Mam nową...

- ...srałaś? – Dokończył student, szczerząc się głupkowato. Artur przywykł do tych żartów i spokojnie palił dalej. Kiedy dwójka znajomych wchodziła w typowe dla siebie sprzeczki, młodzieniec wypatrzył kilka osób, które znał dość blisko. Uniósł ramię i pomachał znajomym, którzy zaczęli iść w jego stronę.

- Witam, mistrzu! – Zawołał Paweł – bliski przyjaciel Artura od pierwszego roku studiów.

- Siemanko! – Rzucił rozpromieniony Kacper, kolega z grupy dziekańskiej.

- Hej. – Powiedziała Karolina, przechodząc obok i kierując się w stronę drzwi.

- Cześć, cześć. – Odpowiedział Artur, witając się. – Co z nią? – Zapytał nowoprzybyłych.

- Nie wiem, może ma okres. – Wzruszył ramionami Paweł.
- Podobno coś z chłopakiem. – Uśmiechnął się Kacper. – Inaczej już by leciała do niego.
- Masz na myśli jej sponsora? – Dołączył się Krzysiek.
- Czy możemy skupić się na tym, po co przyszliśmy? – Przerwał znajomym Artur. Karolina była znana z tego, że związała się z bogatym mężczyzną na jakiejś egzotycznej wyspie, której nazwy nawet nie starał się zapamiętać. Uczelnia aż wrzała, kiedy wyszło na jaw, że czekoladowoskóry partner ufundował jej powiększanie piersi. Artur uczestniczył w plotkowaniu na temat koleżanki, jednak nie miał do niej prywatnej urazy, zapewne podobnie jak cała reszta szepczących za jej plecami. Chłopak był pewien, że Karolinę dało się lubić, jednak wymagało to pewnego wysiłku, na który nie miał zamiaru się zdobywać.
- Cenna inicjatywa. – Zgodził się Kacper. – Do boju! – Niedopałki pofrunęły na beton chodnika i zostały zdeptane lepkimi podeszwami butów. Znajomi weszli do klubu i, jak przyciągani magnesem, w rytm dudniącej muzyki przeszli do baru.

Z nowymi siłami witalnymi i finansowymi, towarzystwo rozpoczęło zabawę. Wódka lała się bezustannie, barman żonglował kieliszkami wypełniając jedne, zabierając i płuczając drugie. Przezroczysty płyn i pomarańcze znikwały w zastraszającym tempie, padając ofiarami młodzieńczego głodu. Basia, Kacper i Krzysiek udali się na parkiet, podczas gdy Paweł i Artur stali przy ladzie obserwując falujący, jak jakiś prymitywny morski organizm, tłum.

- Jak się trzymasz? – Zapytał Paweł.
- Raz lepiej, raz gorzej, wiesz jak jest. – Odparł Artur. Paweł był jedną z nielicznych osób, które wiedziały o prawdziwym pochodzeniu blizny na nadgarstku młodzieńca. Znał też całą historię pomiędzy nim i Nią. Paweł był niesamowitą osobą. Grał w koszykarskiej drużynie AZS-u, grał na perkusji w dynamicznie rozwijającym się zespole heavymetalowym, ćwiczył na siłowni, na którą zresztą wprowadził Artura i nauczył go wszystkiego, co sam potrafił. Dodatkowo był oddanym, wiernym przyjacielem, gotowym wysłuchać Artura w środku nocy i udzielić jakiejś rady lub chociaż słowa pociechy, które pomagały przetrwać do rana. – Ostatnio jest właściwie... Nijak.
- No rozumiem. Nie masz już żadnych głupich myśli? – Zapytał blondyn, z trudem przekrzykując muzykę, co brzmiało dość zabawnie, bo jednocześnie starał się mówić półgłosem.
- Nie, nie mam. Trzeba jakoś żyć. Nie mogę uzależniać swojego życia od czyjś innego... Nie w takim stopniu.
- Nie możesz. Poza tym, jesteś jednym z najbardziej niesamowitych ludzi, jakich znam. Pamiętasz jak na pierwszym roku siedzieliśmy obok siebie na tym chujowym spotkaniu organizacyjnym?
- Pamiętam. – Uśmiechnął się Artur.

- Usiadłeś i powiedziałeś do mnie: „No i co żeś się tak rozjechał jak Popiełuszko w bagażniku?” Wtedy już wiedziałem, że się dogadamy! – Paweł roześmiał się gromko. Artur nie śmiał się tak mocno. Przypomnił sobie jak tańczył z Nią w tym pomieszczeniu na urodzinach jakiegoś kolegi, należącym chyba do samorządu studenckiego<sup>41</sup>. Pamiętał jak wirowali, trzymając się w ramionach i całując delikatnie, wzbudzając dookoła zażenowane grymasy zazdrości. Byli wtedy, bezsprzecznie, najszcześniejszymi osobami, jakie kiedykolwiek bawiły się w tym klubie.

- Dobrze, że jesteś. – Powiedział do Pawła Artur. – Chodź, stawiam następną.

Brzęczące kieliszki i słodkie pomarańcze. Śmiech, słodkie otępienie. Kacper, czytający SMS-a i krzyczący po chwili z radości.

- Chłopaki! Marta dostała okres! – Krzyczy, a czyste szczęście wylewa się zza jego zamglonych oczu.

- Możesz przepić te trzy kafle z funduszu aborcyjnego! – Drze się Artur.

- Kim jest, kurwa, Marta?! – Wrzeszczy Krzysiek. – Znowu zdradzasz Jagodę! – Unoszą się pięści, ale szybko opadają w kierunku wypełnionych pojednaniem naczyń. Basia wyciąga wszystkich do tańca. Nikt nie protestuje. Artur brnie przez szalejący tłum. Pot, ślina, śmiech, śpiew. Pijane kobiety, wyginające i wdzięczące się do wygłodniałych mężczyzn, gotowych rozszarpać zębami dzielącą ich od zdobyczy cienką, koronkową klatkę. Światła błyskają wszystkimi kolorami. Pomieszczenie pachnie seksem, żądzą i bezwstydnym apetytem, opanowując zmysły w nim obecnych i zmuszając do ociekającego perwersją tarła. Świat wiruje, rozmywa się, głosy zlewają ze sobą ukrywając bardzo głęboko cichy płacz kwaśnego zepsucia, sączącego się przez cały wieczór w każdą pijaną duszę. Artura to nie obchodzi. Tańczy z jakąś dziewczyną. Po chwili z inną. Widzi Basię, Karolinę. Jakąś znajomą twarz. Widzi Krzyśka. Nie, Kacpra. A może Krzyśka... Zimno... Artur stoi przed klubem, w jakiś niewyjaśniony sposób ubrany w swoją własną kurtkę. Chłopak nie może stać. Chwieje się. Pochyla się do przodu i idzie. Pamięta drogę. Potyka się o własne nogi, ale nie upada. Oddycha ciężko. Zapala papierosa. Gdzieś w połowie drogi, chyba na Rondzie Solidarności, zaczyna płakać. Bełkocze, a zniekształcone słowa ulatują w głuchą noc kłębamii dymu. Następny obraz jest już przed furtką. Udaje mu się wpisać kod. Chwała organizmowi za pamięć mięśniową. Dobrze, że w windzie są poręcze. Artur walczy z kluczami do drzwi. Toczy zażartą walkę z zamkiem. Stawka jest wysoka. W końcu wchodzi. Walka powtarza się po drugiej stronie drzwi. Znowu się udało. Jest bezpieczny. Jest u siebie. Jest sam. Nie jest sam. Do jego odrętwiałego ciała, o cudownie znieczulonym umyśle, podchodzi miękki, ciepły kształt. Ból kładzie się u boku Artura i oboje zasypiają, równie zadowoleni z wzajemnej obecności.

## Rozdział 7

Potworny kac znacznie utrudnił Arturowi dotarczenie się na poranne zajęcia. Ból głowy i kwaśna, popielata suchość w ustach, pomimo litra wypitej przed wyjściem wody, przesłaniały świecące Słońce, które oczom innych przechodniów ukazywało subtelne, często niezrozumiałe piękno Łodzi. Student nie dbał o uroki miasta. Obchodziły go jedynie sztorm w żołądku i batalia pod czaszką. Na seminarium połowa grupy Artura również wyglądała jak cienie samych siebie. Podkrążone oczy wciśnięte głęboko w pobladłe twarze nie mogły skupić wzroku na żadnym przedmiocie, gapiąc się gdzieś w przestrzeń, w której czeluściach pogrzebane były strzępki wspomnień ostatniego wieczoru. Niezgrabne, wzbraniające się przed posłuszeństwem dłonie wydawały się drżeniem robić wyrzuty swoim właścicielom, że zostały zmuszone do dostarczania zgubnego płynu do popękanych z odwodnienia ust. Unoszący się w pokoju odór metabolizowanego z trudem alkoholu nie umknął uwadze asystentowi prowadzącemu prelekcję, jednak młody lekarz skwitował stan studentów jedynie uśmiechem, zapewne wracając pamięcią do własnych wybryków sprzed kilku lat. Artur nie miał najmniejszej ochoty słuchać o objawach ostrego odmiedniczkowego zapalenia nerek. Siedział na krześle, owinięty białą pogniecionego fartucha i pozwalał słowom rozbijać się o jego otamowaną świadomość. W pewnym momencie młodzieniec poczuł wibrację na swoim udzie. Wyjął z kieszeni komórkę i odblokował ekran. Kornelia przysłał mu SMS-a. – *Kto to, kurwa, jest Kornelia.* – Zastanawiał się przez chwilę chłopak. W końcu przypomniał sobie seksowną brunetkę, którą poznał... Na jakiejś imprezie? Wycieczce? Przez Internet? Jakoś ją poznał, chyba około roku temu. Dziewczyna była dwa lata młodsza i z jakichś niewiadomych powodów pałała do niego zwierzęcym pożądaniem. Regularnie wysyłała mu swoje nagie zdjęcia podpisane zaproszeniami do Torunia, na wspólne spędzenie weekendu. Artur wielokrotnie miewał ochotę zgodzić się na niezobowiązujący ruchaton, jednak pojawiająca się równocześnie w jego umyśle Ona, skutecznie zapobiegała tym impulsom. Poza tym, Kornelia okupiła fizyczne wdzięki zdolnościami umysłowymi. Była żenująco wręcz głupia, zarówno światopoglądowo, jak i życiowo. Na dodatek była feministką. Artur zawsze kpił z wszelkich haseł na temat jakiegokolwiek równości. Ludzie nigdy nie byli i nie będą równi, w jakimkolwiek sensie czy aspekcie, chyba że ta „humanitarna” i „postępowa” propaganda tak bardzo wymiesza najróżniejsze geny, że wszyscy staną się identycznie głupi. Student odczytał wiadomość.

- Chłopak mnie rzucił. – Ból głowy powstrzymał młodzieńca przed roześmianiem się. Kornelia w ciągu roku ich znajomości była w czterech związkach, z których najdłuższy trwał trzy miesiące. W międzyczasie dziewczyna otwarcie mówiła o swoich jednonocnych przygodach, za każdym razem podkreślając, że teraz kolej Artura na wizytę w jej łóżku. Ewentualnie w jej kuchni, albo salonie. Student nie chciał zwiedzać dziewczyny w żadnym z pomieszczeń, w których każdy możliwy przedmiot oferujący odrobinę płaskiej powierzchni został obficie ochrzczony płynami fizjologicznymi.

- Mówiłem Ci, że wytrzymacie najwyżej dwa miesiące. – Odpisał młodzieniec. Odpowiedz pojawiła się niemal natychmiast.

- Wiem. Jaka ja jestem głupia... Rzucił mnie przez telefon. Faceci to chuje. Muszę znaleźć kogoś porządnego. – Artur nie mógł nigdy wyjść z podziwu dla ludzkiej hipokryzji i ignorancji. Kornelia puszczała się bezustannie do tego stopnia, że musiała przejść operację zszywania ściany pochwy, chodziła na randki z przypadkowymi facetami, którzy zabierali ją do drogich restauracji lub na zakupy. Prezentowała dość dyskusyjną postawę moralną, sama wymagając od innych szlachetności, ciepła i wierności. Trzeba włożyć coś z siebie, aby potem móc coś wyjąć. Dziewczyna prawdopodobnie wyznawała zasadę, że to w nią inni mają wkładać wszystko, co mają do zaoferowania.

- Jesteś, nie przeczę. – Wystukał chłopak na ekranie telefonu. – Powodzenia w poszukiwaniach. – Odpisał jeszcze, zanim nacisnął ikonkę wysłania wiadomości.

- Jesteś okropny. – Oświadczyła komórka zimnymi literami.

- Powinieneś mnie pocieszyć. Przyjeżdż. – Kolejny SMS przyszedł zaraz po poprzednim, a następnie pojawił się MMS. Artur pobrał zdjęcie, na którym Kornelia leżała naga w wannie, ściskając uda i zakrywając przedramieniem sutki obfitych piersi.

- Mam zajęcia. Trzymaj się. – Odpisał chłopak. Brakowało mu cierpliwości, był kompletnie pozbawiony zrozumienia... Choć czasami podejrzewał, że dziewczyna spragniona prawdziwej, romantycznej miłości spotkała się z rzeczywistością, w której taka właśnie miłość już dawno zdechła opluta, wysmiana i obdarta ze skóry przez nowoczesny świat, podporządkowany żądom i perwersyjnym pragnieniom. Świat zmył z siebie prawdziwe uczucia, ubierając się wstydliwie w szaty farbowane wolontariatem i działalnością charytatywną, humanitaryzmem oraz równością, które imitować miały rzeczywistość, rodziną, a przede wszystkim ludzką, a nie społeczną empatię oraz miłość. Tak czy inaczej, Artur nie miał zamiaru pocieszać Kornelii. Zbyt wiele razy próbował skłonić dziewczynę do zmiany jej postępowania. Dalsze porażki nie wchodziły w grę. Zwłaszcza na kacu.

Grupa studentów dotrwała do końca seminarium i wytoczyła się z zatęchłego pokoju, kierując się do kawiarni. Dwadzieścia minut przerwy przed wejściem na oddział zdawało się umęczonym młodym ludziom odpoczynkiem od wiosłowania na niewolniczej galerze. Po zaopatrzeniu się w papierowe kubki z mocną, czarną kawą, towarzystwo usiadło przy okrągłych stolikach, napawając się trzeźwiącym aromatem. Dopiero kilka minut milczenia i parę długich łyków gorącego napoju umożliwiły studentom wydanie z siebie dźwięku innego niż postękiwania i przypadkowe przekleństwa.

- Ja już nie piję. – Odezwał się Krzysiek, którego zwykle blada cera pozieleniała, nadając mu wygląd goblina.

- Zawsze tak mówisz. – Zauważył Artur, masując skronie.

- Tym razem serio! – Krzysiek zaprotestował nieco głośniejszym głosem, co spotkało się z grymasami na otaczających go twarzach.

- Nie drzyj mordy. – Jęknął Kacper. Artur już przed rozpoczęciem zajęć dowiedział się, że on i Basia opuścili klub około piątej. Oboje mieszkali na dalekich obrzeżach Łodzi, nie tak

daleko od siebie, jednak Kacper na jednym ze skrzyżowań po drodze postanowił wysiąść z taksówki ubrany jedynie w koszulę i dokończył podróż pieszo.

- Mama trochę się zdziwiła, jak padłam na łóżko w ciuchach. Jeszcze lepszą miała minę, kiedy wstałam tak, jak wróciłam i wyszłam na zajęcia. – Zachichotała Basia.

- Alkoholicy. – Pokręcił głową Kamil, który nie dołączył do wczorajszej zabawy i irytował innych swoją rzeźkością.

- Następnym razem się nie wymigasz. Będziesz cierpiał z nami. – Oświadczyła Basia, unosząc głowę, jako dumna starościna grupy.

- Lepiej porozmawiajmy o ważniejszych sprawach. Ministerstwo nadal ma w dupie protest głodowy medyków. Musimy w ten weekend jechać do Warszawy na manifestację. Wszyscy! – Powiedział Kamil, uciekając od tematu.

- Pojedziemy, pojedziemy. – Mruknęła grupa, wracając do parujących kubków. – Możemy o tym porozmawiać po zajęciach? Albo jutro? Widzisz, w jakim dziś jesteśmy stanie.

- No dobra, ale nie odpuszczę wam! Manifestacja na Piotrkowskiej się udała, byliśmy tam razem... - Przerwał Kamil, patrząc na Artura. - Ale w Warszawie będzie kilka tysięcy ludzi. Rząd będzie musiał nas wtedy wysłuchać.

Artur już dobrą chwilę wcześniej wyłączył się z rozmowy. Czuł mdłości. Głowa bolała jak wściekła. Młodzieniec miał dziwne poczucie, że jedynie ta sączona przez niego kawa trzyma go przy życiu. Przedłuża jego vegetację. Chłopak podniósł kubek i przycisnął go do piersi. Ciepło rozlało się przyjemnie po jego ciele, zupełnie jak... Student otworzył przymknięte w rozmarzeniu oczy i rozejrzał się. Kompani byli kompletnie zajęci sobą. Artur zamknął więc powieki ponownie. Upił łyk kawy i przytulił naczynie. Rozgrzewający dotyk, zarówno od zewnątrz, jak i od środka, przypomniał mu Jej ciepło. Zawsze była tak cudownie ciepła. Emanowała tą temperaturą tak, że zimą powietrze wokół Niej niemal widocznie wibrowało. W umyśle Artura pojawił się dokładnie widoczny, plastyczny i namacalny moment, kiedy się w Niej zakochał. Wracali z zajęć. On pieszo, Ona tramwajem. Drogę na przystanek pokonywali wspólnie. Padał rześisty, zimny deszcz. Artur pożegnał się z Nią i poszedł w swoją stronę. Z jakiegoś powodu odwrócił się jednak, na ułamek sekundy. Ona również odwróciła głowę. Strugi deszczu na okularach, rozmywające błyszczące oczy, ciężkie od wody kosmyki włosów, przemoczona kurtka... I jedna jedyna kropla, spływająca z Jej nosa. Artur nie wiedział czemu nastąpiło to właśnie wtedy. Być może w tej samotnej kropki deszczu, która zatrzymała się pomiędzy milionami spadających siostr zobaczył refleks przyszłego szczęścia? Może ta drobinka wody, zbłąkana wśród równoległych światów nieba i ziemi, niosła ze sobą wiadomość, była drogowskazem, ostatnią łzą żalu i pragnienia przebaczenia wylaną przez zamęconego, umierającego boga. Czymkolwiek była, sprawiła, że Artur kochał Ją od tamtej właśnie chwili, nieprzerwanie i niezmiennie.

- Obudź się. Idziemy na oddział. – Głos Krzyśka i dźwięk szurających krzeseł wytrącił chłopaka z zadumy.

- Idę, idę. – Powiedział Artur. Po kilku zatrważających snach, młodzieniec znów bał się nocy. Teraz jednak chciał ponownie wrócić do mieszkania, zażyć tabletkę nasenną i położyć się do łóżka.

## Sen 3

Ocknął się w mieszkaniu Niny. Stał przy drzwiach, w przemoczonych butach. Najwyraźniej padało, kiedy tu szedł. Albo jego umysł chciał dodać scenie dramatyzmu. Arturowi się to nie podobało. Chłopak rozebrał się i przeszedł do jej pokoju, otwierając półprzymknięte drzwi. Siedziała na łóżku w jeansach i kanarkowo żółtym sweterku, patrząc w ciemne okno, muskając po drodze wzrokiem liście aloesu w doniczce.

- Cześć Maleństwo. – Zagadnął młodzieniec. Nie odpowiedziała. Artur usiadł obok Niny. Chciał ją przytulić, ale coś go powstrzymało, jakby ten gest był nieodpowiedni. – Wszystko w porządku? – Zapytał niepewnie.

- Dlaczego cię nie było? – Głos dziewczyny był zimny, lodowaciejąc pod wpływem spowijającego go smutku.

- Byłem na imprezie. Po alkoholu nie mam snów. I nie wziąłem tabletki. – Artur nie okłamywał Niny. Zawsze woleli rozmawiać o problemach, niż je ukrywać. Może był to błąd.

- Dobrze wiesz, że jak się upijesz, to nie śnisz. Nie chcesz mnie widzieć? – Chłopak nie odezwał się. Znała odpowiedź. – Tu jest tak pusto i ciemno... Nie chcę być sama. Nie powinnam być sama. Powinnam być wtulona w ciebie, przy butelce wina i filmach z Lesliem Nielsenem. Ale nie przyszedłeś. – Dziewczyna odwróciła gwałtownie twarz, patrząc na studenta wzrokiem pełnym bólu, który momentalnie zalał Artura, wypełnił go po brzegi i napęczniał, jak cierniowe ciasto.

- Nina... Ja potrzebuję czasami przerwy. Odrobiny oddechu...

- Przerwy ode mnie? – Zapytała z wyrzutem.

- Nie, ja...

- Miałeś trzy miesiące przerwy. Teraz, kiedy znowu możemy być razem ty chlejesz i się ode mnie oddalasz. Znowu. – Artur nie mógł wykrztusić słowa. Nie chciał tego mówić. Chciał objąć Ninę, scałować z niej wszystkie troski, wydobyć smutek jak jad z rany. Wiedział jednak, że to nie pomoże. Czuła jego niepokój. Milczenie tylko zwiększało i tak już nieznośne napięcie między nimi.

- Nie wiesz jakie to trudne. – Zaczął.

- Co jest takie trudne?

- Nie wiesz ile wysiłku kosztuje mnie każdy krok w twoją stronę. Nie wiesz jak trudno jest mi cię kochać.

- Dlaczego? – Szept Niny był słaby, dławiący, niemal płaczliwy.

- Bo pomimo wszystkich starań... - Artur zająknął się i wziął głęboki wdech. – Wiem, że jesteś tylko w mojej głowie. Wiem, że wkrótce się obudzę w świecie, w którym cię nie ma. Każde takie przebudzenie to jak jeszcze jeden cios, kolejne kilogramy, które biorę na swoje barki. Budzę się czując w powietrzu twój zapach, twój dotyk na mojej skórze... I wiem, że to wszystko iluzja, że tak naprawdę już nigdy nie będziemy razem. To naprawdę nie jest łatwe.

- To po co wracasz?! – Krzyknęła. Rzadko krzyczała. Właściwie, zdarzyło jej się to w przeszłości tylko jeden raz. – Skoro jestem dla ciebie tylko kłamstwem, jakimś cholernym ciężarem, to dlaczego wracasz?!

- Bo jesteś wszystkim, co mam. – Powiedział stanowczo. Nina zaczęła się delikatnie trząść, jak zawsze, kiedy mówił jej, że ją kocha. – Nie potrafię bez ciebie żyć. Próbowалам. Jedyne, czego wtedy pragnąłem, to śmierć. Trudno jest mi cię kochać, ale tylko ty trzymasz mnie przy życiu. Wolę cierpieć z tobą, niż próbować być szczęśliwy bez ciebie. Wiem, że i tak nie będę. – Chłopak chciał brzmieć zdecydowanie, jednak głos mu drżał i z trudem opuszczał pierś, jak spłoszone zwierzę. Młodzieniec rozluźnił napięte w skupieniu mięśnie, co wyglądało, jakby zmalął i lekko rozlał się po pościeli. Nina odwróciła szklący się wzrok, oparła łokcie na kolanach i podłożyła jedną dłoń pod głowę, obejmując policzek. Zawsze tak robiła, gdy coś ją martwiło. Całe małe ciało napinało się przy tym, koncentrując wszystkie siły na poszukiwaniu rozwiązania problemu. Artur wyciągnął dłoń w kierunku dziewczyny, która spuściła tylko wzrok i pokręciła lekko głową. Młodzieniec wiedział, że pozostało mu jedynie wyjść. Nina musiała pomyśleć, a on nie mógł jej przeszkadzać. Nawet, jeżeli nie była prawdziwa. Nawet, jeżeli była częścią jego umysłu i to właśnie on teraz nieświadomie myślał. Chłopak musiał użyć całej siły woli, sięgnąć w najgłębsze zakamarki umysłu poszukując odpowiedniego bodźca, żeby wstać. Odwrócił się w stronę drzwi, jak skazaniec stojący tyłem do plutonu egzekucyjnego. Nie potrafił zmusić się do kroku. Zrobił go. Nie wiedział, kiedy wstała. Nie zauważył, jak podeszła i objęła go od tyłu, krzyżując przedramiona na jego piersi i chwytając drobnymi dłońmi za barki. Artur ujął ją za ręce chłonąc wytęsknione ciepło, którym tak hojnie emanowała.

- Bardzo cię kocham. – Powiedział. Dziewczyna wbiła paznokcie w jego ciało. Nie dbał o to. Była tak ciepła... Tak gorąca... Chłopak zamknął oczy. Spod dłoni Niny nieśmiało wyrzał pomarańczowy języczek ognia, do którego po chwili dołączyły kolejne, liżąc jej palce. Pokój rozświetlił się, rzucając na ściany tańczące żałobne tango cienie. Wkrótce para płonęła spokojnym płomieniem, który strawił ich oboje, stojących jak posąg postawiony ku czci miłości. Miłości tak bolesnej i tak silnej, że nawet śmierć żałowała swojej decyzji. Ogień w końcu zgasł, a Nina i Artur połączyli się w jedną kupkę gorącego, szarego popiołu.

## Rozdział 8

Po przebudzeniu Artura nawiedziło znajome uczucie. Za każdym razem, gdy zdarzyła mu się z Nią sprzeczka, (bo pokłócili się tylko raz) ogarniał go dziwny, upiorny spokój, a w głowie pojawiał się niezmienny pejzaż. Cudownie fioletowe wrzosowisko, gdzieś w Szkocji, falujące delikatnie na wietrze. Przysadzisty las sztywnych roślin kończył się nagle, jak ucięty tytanicznym nożem, przechodząc w urwisko spadające do morza. Z wodnej kipieli w dole wystawały czubki ostrych skał, przypominając wynurzające się z pianistej paszczy połamane zęby. Młodzieniec stał na krawędzi klifu. Kostki omiały mu gałązki wrzosów. Spokój tego miejsca napawał go przerażeniem skradającym się w zakamarkach serca, jak tygrys szykujący się do ataku na kark nieświadomej zagrożenia ofiary. Artur wiedział, że ten rodzaj spokoju, godnego wyłącznie natury zobojętnienia, występuje tylko przed katastrofą. Bezwietrzna chwila przed burzą, moment flauty przed tsunami, mrożąca krew w żyłach cisza przed apokaliptycznym pomrukiem wulkanu. Chłopak podniósł się gwałtownie z łóżka, płosząc przy tym zaspany Ból. Artur poszedł szybko do łazienki i przemył twarz zimną wodą. Następnie włączył ekspres do kawy, wrzucił nową kapsułkę do komory i podstawił filiżankę pod dyszę, wsypawszy wcześniej dwie łyżeczki cukru do naczynia. Zapach ożywczego napoju nieco uspokoił studenta, który założył płaszcz i wyszedł na balkon. Chłopak wyjął papierosa z papierośnicy i zapalił. Spokój wrzosowiska nie runął. Wiatr się nie zerwał, fale nie roztrzaskały ściany klifu, pozbawiając Artura gruntu pod nogami. Kryzys nie nadszedł. Młodzieniec zaciągnął się głęboko i zaczął rozmyślać nad wydarzeniami minionej nocy. Tęskniła za nim. Chciała, by był blisko. Jednocześnie potrzebowała czasu na rozważenie całej sytuacji, w której się znaleźli. Nie chciał swoją obecnością wpływać na Jej decyzję. Student otworzył szerzej oczy i potrząsnął głową, gorączkowo przystawiając dymiącego papierosa do ust. - *Przecież Ona jest wytworem mojego mózgu. Nie jest odrębnym bytem. Nieważne jak bardzo tego pragnę, Ona nie istnieje samodzielnie. Już nie... Nie potrzebuje czasu na przemyślenia, nie wymaga mojego towarzystwa, bo jest częścią mnie!* - Artur odruchowo przygryzł mały palec prawej ręki. Robił tak czasami, gdy intensywnie myślał. Przez umysł przemknęła mu jednak wizja zakrwawionego lustra i odbicia wyszczerzonego kota w nim. Chłopak pospiesznie wyjął palec z ust. Zastanawiał się czy to jego podświadomość przyjęła Jej postać, żeby coś mu zakomunikować. Było to najrozsądniejsze wytłumaczenie, ale pozbawione logiki. Nad czym miał rozmyślać? Od czasu, kiedy został sam, debatował ze sobą jedynie nad sensem dalszego istnienia i własnego cierpienia. Dopiero te sny wprowadziły trochę światła w mrok, którym się okrył chowając wykrzywioną bolesnym grymasem twarz przed drwiącym z niego światem w kapturze kata. Musiał brać jednak pod uwagę, że ostatnie wydarzenia są objawami postępującego obłądzenia. Próba samobójcza, silniejsza niż kiedykolwiek doszukiwanie się beznadziei rzeczywistości i w konsekwencji stworzenie nowych, lepszych realiów... Chociaż przecież jego sny nigdy nie kończyły się dobrze, a wręcz przeciwnie. Artur zorientował się, że palił już trzeciego papierosa. Błądził myślami w labiryncie, prowadzącym krętymi korytarzami ciągle do punktu początkowego.

- To musi mieć jakieś znaczenie. Takie rzeczy nie dzieją się bez powodu. Przecież to by nie miało żadnego sensu. – Powiedział Artur na głos, aby przekonać samego siebie do własnych słów. W głębi serca nadal wiedział, że on sam starał się nadać znaczenie swojemu szaleństwu.

Chłopak postanowił wykorzystać możliwość nieobecności na jednych zajęciach i wydłużyć swój weekend o piątek. Zdecydował także, że pojedzie do domu rodziców. Zawsze zasypiał tam bez problemów, rzadko miewał też sny, więc była to dobra okazja, żeby Ona mogła spokojnie rozważyć ich wzajemne położenie. Artur, mimo racjonalnych argumentów, wolał traktować ją jako nawiedzającego go ducha, niż jako projekcję własnych pragnień. Tak było po prostu łatwiej. I o wiele przyjemniej. Chciał utrzymać ten punkt widzenia tak długo, jak tylko był w stanie. Młodzieniec krzątał się po domu, pakując niewielką walizkę i plecak. W pewnym momencie, jego wzrok spotkał się z żółtymi oczami Bólu. Artur przyklęknął naprzeciwko kota i pogłaskał go po głowie. Zwierzak pochwalił swojego gospodarza głośnym mruzeniem.

- Chcesz jechać na wycieczkę, kolego? – Zapytał student. Kocur przestał się łaścić, postawił ogon i poszedł do salonu. – Wygląda na to, że nie... - Artur nie do końca rozumiał dlaczego, ale uszanował decyzję kota. Zostawił mu zapas jedzenia i wody w dwóch miskach, a przed wyjściem z mieszkania długo bawił się z Bólem, głaskał go i przytulał, starając się naładować zwierzęciu akumulator pieśczości. Kot poddawał się dłoniom młodzieńca, nie gryzł i nie drapał, ale wyginał się i wdzięczył, aż w końcu położył się obok swojego gospodarza i zasnął. Artur zorientował się, że obecność zwierzaka w mieszkaniu bardzo go uspokajała. Dotyk czarnego futra w jakiś dziwny sposób przeganiał natrętne myśli, uspokajał sztorm świadomości i kołysał umysł studenta w delikatnych objęciach, zupełnie jak...

- Jak Ona... - Szepnął Artur, patrząc nieobecny wzrokiem na przeciwległą ścianę. Młodzieniec potrząsnął głową i spojrzał na zegarek. Musiał wychodzić. Jego pociąg odjeżdżał za czterdzieści minut. Chłopak wstał z kanapy, jednak wrócił się i podrapał Ból za uchem. Kot otworzył leniwie jedno oko. – Muszę iść. Wrócę zanim zdążysz zatęsknić. – Zapewnił student. Ból nie przejął się słowami Artura. Przeciągnął się tylko i ułożył wygodniej na poduszkach. Młodzieniec ubrał się pospiesznie, sprawdził czy zamknięte są wszystkie okna oraz czy zabrał wszystkie niezbędne rzeczy, po czym założył plecak, wziął walizkę i wyszedł z mieszkania. Piętro wyżej ktoś również wychodził, przekręcając hałaśliwie zamek. Drzwi już się zamykały pod dłońią Artura, kiedy chłopak usłyszał śmiech. Szyderczy, chrapliwy, jakby dobiegający z gardła wieloletniego palacza, wydawał się dobiegać z salonu. Młodzieniec zdębiał i chciał zajrzeć do środka, ale zza pleców dobiegł do głoś sąsiada.

- Dzień dobry! Dokąd to się pan wybiera? – Zapytał wysoki, grubawy brunet o nalanej, przyjaznej twarzy.

- Dzień dobry, witam! – Odpowiedział Artur. – Jadę do domu na weekend. – Dodał chłopak i wdał się w rozmowę z sąsiadem, ignorując omam słuchowy, który zostawił za zamkniętymi dokładnie, grubymi drzwiami antywłamaniowymi.

Pociąg z Łodzi Kaliskiej odjechał punktualnie. Wagony, kontrastujące groteskowo żywym błękitem z szarością i brudem miasta, leniwie zaczęły toczyć się po wyslizganych

torach. Artur siedział w jednym z nich, na miejscu przy oknie. Umościwszy się w starannie zaprojektowanym i nadal koszmarne niewygodnym fotelu, włożył słuchawki do uszu i włączył w telefonie listę odtwarzania z dyskografią Slipknota. Długa podróż w beczynności sprzyjała jednoczesnym, uciążliwym wędrówkom myśli, które chłopak już jakiś czas temu nauczył się tłumić muzyką. Agresywne gitary, intensywna perkusja oraz wrzaski wokalisty otulały młodzieńca kokonem dźwięków, izolującym jego wnętrze od zewnątrz i odwrotnie. Artur żył teraz życiem piosenkarza, którego pobrzmiwające krwotokiem gardło, wyrażało swoją nienawiść do żalostnego rodzaju ludzkiego, przy akompaniamencie kija baseballowego, uderzającego w beczkę piwa. Student nie zauważał przechodzących obok ludzi. Nie dostrzegł też dziewczyny, która zajęła miejsce naprzeciwko niego. Pasażerka przez kilka minut wpatrywała się ukradkiem w chłopca, trzepocząc przy tym rzęsami i bawiąc się rąbkami spódniczki. Młodzieniec nie drgnął nawet, zapatrzony w przesuwany się za oknem krajobraz. Kiedy nawet ostentacyjna poprawa miseczek stanika nie wystarczyła do nawiązania konwersacji, dziewczyna wstała z obrażoną miną, zabrała bagaże i przesiadła się. Artur byłby zadowolony ze swojego zwycięstwa nad zwierzęcą stroną człowieka, gdyby nie było mu to tak perfekcyjnie obojętne. Corey Taylor wykrzykiwał właśnie formułę równania, w którym ludzie równali się ekskrementom, kiedy muzykę przerwał SMS. Niezadowolony z nagłej ciszy student spojrzał niecierpliwie na ekran telefonu. Wiadomość pochodziła od Szymona. Artur odczytał ją. „Chcę się zaręczyć.” – Litery uderzyły chłopaka w twarz, jak pięść nasterydowanego kibola. Przez dłuższą chwilę jedynie muzyka wypełniała umysł młodzieńca. Szymon był przyjacielem Artura od czasów gimnazjum. Znali się od podszewki, chociaż spotykali nie częściej niż cztery razy w roku. Znajomość ta jednak była o tyle niezwykła, że kiedy już przyjaciele widzieli się, rozmawiali absolutnie o wszystkim, nadrabiając z nawiązką miesiące milczenia. Przychodzili do siebie ze wszystkimi problemami, każdym zmartwieniem czy sukcesem, śmiali się i marszczyli wspólnie zafrasowane czoła, wypalając kolejne papierosy, by potem nie rozmawiać ze sobą przez pół roku i powtórzyć cały rytuał. Z pewnością skoczyli by za sobą w ogień. Tym bardziej otrzymany SMS dosłownie sparaliżował Artura w fotelu. Chłopak wiedział, że Szymon od czterech lat był w normalnym związku. Normalnym, to znaczy czasami mdłaco szczęśliwym, czasami furiacko irytującym, aczkolwiek trwałym, co imponowało młodzieńcowi. Nie mniej jednak, w czasie ostatnich wakacji przyjaciel odwiedził Artura w Łodzi. Przekroczył granice miasta z twardym zamiarem zaliczenia jakiejś gorącej panny. Oboje bawili się w klubach do upadłego, wódka lała się nieustannie, na parkiecie nie mieli sobie równych... Artur oczywiście miał Ją z tyłu głowy, więc nawet kompletnie pijany kontrolował swój popęd. Szymon natomiast nie kontrolował się wcale. Wieczór skończył się na tym, że oboje uciekali z klubu ile sił w nogach, przed napaloną czterdziestolatką, którą przyjaciel młodzieńca najwyraźniej uznał za niewartą swojego krocza. Z tych powodów student nie mógł zrozumieć jego decyzji. Właściwie, domyślał się jej motywacji. Teraźniejsze związki były budowane na miłości. Współczesnej miłości – złudzenia szczęścia, chwilowej rozkoszy obecności, próżnej satysfakcji i zaspokojonego apetytu. Prędzej czy później, uczucie to skazane było na wypalenie, jak każda świeca, ognisko czy nawet ogromny pożar. Coraz słabsze przywiązanie do drugiej osoby w końcu zaczyna martwić partnera, który, napędzany przywiązaniem i iluzją wiecznej emocji, szuka nowego paliwa dla dogasającego żaru. Decyduje się na zaręczyny. Nowy bodziec rozpala obopólnie uczucia, dodaje „czegoś nowego”, jakiejś nowej podniety,

odkrycia nieznanymi terenami, a także wizji na horyzoncie nieodkrytego ładu odmiennego stanu cywilnego. Połączona tym niezwykłym wydarzeniem, para decyduje się na ślub. Skoro zaręczyny wniosły aż tyle radości i świeżego, naturalnego lubrykantu w łóżku, to ileż wniesie małżeństwo! Z początku faktycznie, instytucja ta działa jak benzyna dolana do ognia, jak napalm zrzucony na wietnamskie pola. Jednak... Co dalej? Państwo i Kościół nie oferują żadnego dalszego sposobu na podtrzymanie z każdym dniem stygnących emocji, jak talerze zupy pomidorowej, oczekujące na powrót męża z niespodziewanych nadgodzin, jak pościel, kiedy żona wstaje wcześniej i nie ma ochoty na poranne przytulanie. Pozostaje wtedy ostatnia linia obrony – dziecko. Jedyna tarcza, ostateczna broń do walki z chłodem codzienności. Również i ten oręż w końcu zawodzi. Dorastający potomek zaczyna sprawiać kłopoty, podsycane przez kołysanki złożone z chórów kłótni i orkiestr tłuczonej zastawy. Do szarej skorupy małżeństwa wkradają się kochankowie, przypominający żonie o zapomnianych pieszczotach jej wciąż ponętnych dźwięków, a mężowi o ekstazie płynącej z seksu oralnego. Teraźniejsze małżeństwa rozpadają się. Rozwody zapewniają nowy start, wejście w nowy, zamknięty cykl, z góry skazany na klęskę i powtórkę do czasu, aż starość odbierze umysłowi pamięć o potrzebach ciała, a zostawi jedynie samotną agonię w świadomości, że dawne błędy spłodziły potomstwo o identycznej mentalności... Przeświadczenie, że skazało się swoją latorośl na cierpienie nie może być wymarżonym sposobem na spędzenie emerytury. Kto jednak przejmował się tym w młodości? Artur tęsknił do dawnej idei małżeństwa. Idei, w której miłość rodziła się w miarę wspólnego życia, godzenia się z wzajemnymi wadami, dostrzeganiem drobnych radości i wynoszenia ich na piedestał, odrzucając złe wspomnienia w niebyt, jak śmieci do młynka w zlewie na amerykańskich filmach familijnych. Takie małżeństwo stawiało na pierwszym miejscu poczucie obowiązku wobec zakładanego od początku potomstwa. Ludzie łączyli się w pary, biorąc pod uwagę liczne czynniki, spychając uczucia na plan drugi, który stanowił jedynie cudowne tło dla życia codziennego, w którym para wspólnie dążyła do wyznaczonego celu, parła wbrew przeciwnościom naprzód, każdą kłótnią wzmacniając się wzajemnie, budując fundament rodziny. Rodziny, w której miłość była jedynie zwieńczeniem, gorejącą ciepłą gwiazdą, koroną na głowie ojca i diademem na skroni matki. Artur tęsknił za starymi zwyczajami i dawnym wychowaniem. Brzydziły go ideały współczesnego świata, pełnego sztucznej równości i kulturowego homogenatu, który równie łatwo było spożyć, jak i go wyrzygać. Chłopak nie potrafił znaleźć odpowiedzi dla Szymona. Błotnisty, zgniłozielony krajobraz za szybą pociągu nie podsuwał żadnego pomysłu. „W takim razie musimy się spotkać. Przyjeżdżam na weekend.” – Napisał w końcu młodzieniec, po czym westchnął ciężko i zatracił się ponownie w muzyce.

## Rozdział 9

Dworzec kolejowy w mieście rodzinnym Artura został niedawno odnowiony, jednak pozostał równie posepny i dziwnie upiorny, jakim pamiętał go sprzed lat. Samotny budynek z nieubłaganie odmierzającą przekłętą czas tarczą zegara, otoczony zimnym chodnikiem, w który wsiąkały hektolitry łez rozstań, ściany pokryte tynkiem, w którego nierównościach brzmiało echo roześmianych powitań i cichych, żałobnych pożegnań. Młodzieniec nie mógł znieść atmosfery tego ambiwalentnego na wszelkie emocje miejsca. Przeszedł szybko przez most nad torowiskiem i zszedł schodami, mijając szybko obojętny budynek. Chłopakowi przez myśl przemknęła idea, że mógłby się przejść do domu. Droga była długa, jednak nie spieszyło mu się. Student rozejrzał się wokół i przypomniał sobie, dlaczego tak bardzo nienawidził tego miasta. Oprócz rodziny, nie trzymało go tutaj zupełnie nic. Nie potrafił wyłuskać ani jednego pozytywnego wspomnienia z identycznych blokowisk, żadnego zastrzyku adrenaliny z zielonych boisk i wyludnionych parków. Czasami Artur postrzegał siebie jako wygnańca, niezdolnego do znalezienia swojego miejsca. Chłopak uwielbiał kiedyś Łódź, tętniącą życiem i emanującą swoistym, patologicznym klimatem, oraz przyjemnym mrokiem. Kiedyś potrafił znaleźć tam schronienie i anonimowość. Z biegiem lat, zorientował się jednak, że na każdej tablicy z nazwą ulic, w każdym muralu i kamienicy, zapisany był fragment jego życia, jakiś element pamięci, patrzący na niego wzrokiem surowego sędziego. Poza tym... Poza tym w Łodzi była kiedyś Ona. Nie było istotne ile radosnych dni i nocy spędził w tamtym mieście, zawsze to jedno Jej wspomnienie rujnowało cały pozorny porządek, spędzało sen z powiek, psuło smak wódki i papierosów oraz przyprawiało o pragnienie cofnięcia czasu do prawdziwie szczęśliwych dni. Artur wzdrygnął się, wyjął komórkę z kieszeni spodni i wybrał numer do swojej mamy.

Dom rodzinny Artura był piętrowym budynkiem, otynkowanym na biało i pokryty brązową dachówką. Niewielki, wypielęgnowany ogródek otaczały ceglane słupki i czarne przęsła płotu ze spiczastymi zwieńczeniami. Duży taras dawał latem ładny widok na niewielkie oczko wodne z kaskadą ułożoną z piaskowca i nakrapianą przysadzystymi roślinami. Wnętrze domu, utrzymane w eleganckim, klasycznym stylu, zawsze było przytulne, pachnące obiadem i czystością. Młodzieniec siedział w stonowanej, czarno-białej kuchni, przy owalnym stole i jadł zupę grzybową, pod czujnym okiem swojej matki, która w mimice syna szukała opinii o swojej potrawie.

- I jak tam w tej Łodzi? – Zapytała.

- Wszystko po staremu. Nic szczególnie ciekawego. Nauka. – Artur bardzo kochał swoich rodziców, ale nigdy nie nauczył się z nimi rozmawiać. Lub oni nie nauczyli się rozmawiać z nim.

- Masz teraz jakieś zaliczenia?

- Nie. Spokój w tej chwili.

- No i dobrze. Przyda ci się trochę spokoju. Chcesz mięso z zupy? Żeberka. Dobrze. – Kobieta uniosła pokrywkę garnka i uzbrojona w chochlę, czekała w gotowości do złowienia drugiego dania w brązowym, aromatycznym wywarze.

- Poproszę. – Chłopak wręczył mamie pusty talerz.

- Jak ręka? – Rodzicielka Artura posiadała niezwykłą zdolność inwigilacji. Rzucała pytania mimochodem, tonem idealnie neutralnym. Chłopak długo uczył się zauważania takich sondujących zdań. Kiedyś mam potrafiła serią takich pozornie nieistotnych pytań wydobyć z syna każdą informację i przejrzeć każde kłamstwo.

- W porządku, goi się. Nie boli już. – Odparł młodzieniec, podwijając rękaw powyżej lewego nadgarstka i unosząc rękę do góry. Mama skrzywiła się na widok blizny i wróciła do polowania na pływające żeberka. Artur zorientował się, że trudno okłamać tę kobietę, a próby jedynie pobudzają jej dociekliwość. Wybierał więc pewne niewinne prawdy, a najczęściej zaledwie ich ułamki i prezentował je z rozbijającą szczerością.

- Dzisiaj piątek... - Powiedziała mam Artura, kładąc przed nim talerz.

- I tak nie pościłem rano. – Odparł chłopak, zabierając się za mięso.

- Co? Nie, nie o to chodzi. Dzisiaj spowiedź w kościele. Jest nowy ksiądz. Podobno ma dość... Filozoficzne podejście do życia. Pomyślałam...

- Dobrze, pójdę. O której? – Artur był przeciwnikiem religii (o czym jego rodzice nie wiedzieli), ale lubił rozmawiać i doszukiwać się braku logiki w rozumowaniu duchownych. Poza tym, zupa i żeberka były pyszne, więc wypadało w podzięce udawać przed mamą choć trochę pobożnego.

Droga do kościoła nie była długa, więc Artur postanowił pójść pieszo, ścieżką prowadzącą wałem przeciwpowodziowym, nad zalewem rzeki. Korzystając z chwili samotności, chłopak zapalił papierosa i skierował swoje kroki w stronę mostu, prowadzącego do starówki. Rzednąca zieleń, przeplatana już gęsto miedzią i brązem, szeleściła na lekkim wietrze po prawej stronie, po lewej zaś nieliczne, zadbane domki wypełniały jakimś nieokreślonym spokojem przechodnia. Oczywiście do czasu, aż zaczął dostrzegać znajome oznaki zepsucia. Puste buteleczki po wódce i denaturacie, zgniecione paczki papierosów i folie po chipsach. Stłumione przez nieszczelne okna pijane krzyki i śmiechy, żalosne ujadanie bitych psów oraz odgłosy dzieci bawiących się na kupach piasku, zmieszanego z gruzem i resztkami cementu. Każde ciche osiedle miało swoje tajemnice. Artur nie oddawał się tym myślom, wchodząc na most i zbliżając się do spadzistego budynku z czerwonej cegły. Gdyby nie wąskie, strzeliste witraże i maleńki krzyż na jego szczycie, kościół ten mógłby równie dobrze pasować na przerośnięty barak dla niewolników. Właściwie, nie było to dalekie od prawdy. Młodzieniec wszedł przez furtę za niski murek, otaczający budynek, a następnie otworzył ładne drewniane drzwi z kolorowymi szybami. Chłód i zgrzybiała wilgoć momentalnie przyprawiły go o gęsią skórę. Parafianie zawsze narzekali na ziąb w kościele, szczególnie dotkliwy w czasie zimy, kiedy podczas mszy białe obłoczki pary, dobywające się z ust śpiewających, z powodzeniem zastępowały kadzidło. Artur ominął wmurowaną w ścianę

betonową misę z wodą święconą, zszedł po trzech schodkach do głównej nawy i skręcił w prawo, w kierunku cichych odgłosów. Kolejka do konfesjonału składała się z jednej starszej kobiety, przesuwałej w trzęsących się dłoniach paciorki różańca. Chłopak zajął miejsce obok niej, na długiej ławie. Student rozejrzył się po znajomym wnętrzu. Ogromne kolumny, pomalowane we wszystkie możliwe kolory, podtrzymywały łukowate sklepienie, ozdobione biblijnymi scenami. Wpadające przez witraże światło popołudnia, kąpało rzędy siedzeń w żywych, soczystych barwach. Artur pochylił głowę, żeby spojrzeć na granitowy ołtarz, za którym wznosiła się drewniana ściana, ozdobiona mnóstwem figur najróżniejszych świętych. Młodzieniec usłyszał ciche pukanie, a następnie poczuł zapach drzewa różanego, kiedy staruszka siedząca przed chwilą obok niego, szurając ocieplanymi butami przeszła w stronę wyjścia. Chłopak zdziwił się odrobinę, jednak momenty oderwania od rzeczywistości i zaburzenia jej postrzegania, zdarzały mu się często, gdy intensywnie myślał lub coś podziwiał. Artur wstał i uklęknął w konfesjonale, wykonując znak krzyża.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. – Powiedział student. Jego nozdrza uderzyła intensywna woń męskich perfum. Prawdopodobnie był to jeden z fantastycznych i bezbożnie drogich produktów Toma Forda.

- Na wieki wieków, amen. – Odpowiedział miły głos zza drewnianej kratki. – Słucham cię, synu.

- Ojciec... Zgrzeszyłem... - Zaczął Artur, starając się przyjąć pokorny ton, w celu nawiązania rozmowy.

- To chyba oczywiste. Inaczej by cię tutaj nie było. – Odparł ksiądz. Riposta nieco zbiła młodzieńca z pantafelku, ale być może była to właśnie szansa na konwersację z kimś o nieco bardziej otwartym umyśle, niż większość duchownych.

- Zważyłem. Nie rozumiem konieczności cierpienia w ludzkim życiu. W moim życiu. To nie ma żadnego sensu. Nie zrobiłem niczego na tyle złego, żeby zasłużyć na to, co mnie spotyka. Nie zasłużyłem na to, co widzę, czego nie mogę zignorować ani zapomnieć. Miłość każe nam chronić kochaną osobę za wszelką cenę. Wątpię... Wątpię, że bóg jest miłością. – Artur zagrał w niemal otwarte karty, starając się wyczuć swojego rozmówcę. Z obecnej pozycji zawsze mógł się wycofać. Chłopak już chciał coś dodać, ponieważ milczenie za kratką zaczynało się dość nieznośnie przedłużać.

- Czy ty w ogóle wierzysz w naszego Ojca? – Zapytał wreszcie głos. Nie było w nim grama złości ani kropli surowości. Pytanie było proste i pozbawione pułapek.

- Nie. Nie wierzę. – Powiedział zdecydowanie młodzieniec.

- Fantastycznie. – Ucieszył się ksiądz, wstając z siedzenia. – W takim razie możemy skończyć z tym pierdoleniem i porozmawiać jak ludzie. – Postać w sutannie mignęła za kratkami, zdejmując fioletową stulę i wieszając ją na haczyku w ścianie konfesjonału. Artur kompletnie zdębiał. Przez moment nie wiedział jak się zachować, jednak absurd całej sytuacji w pewnym sensie mu się podobał. Chłopak wstał z kolan i ujrzał przed sobą wysokiego, stosunkowo przystojnego mężczyznę o długich, kręconych włosach w ciemnym odcieniu brązu.

Spomiędzy chaotycznych kosmyków wyglądały błyszczące, brązowe oczy, które tylko po dłuższym przyjrzeniu się, były kompletnie matowe i puste. – Wyjdźmy na zewnątrz. – Powiedział ksiądz i żwawym krokiem pomknął w stronę zakrystii. Student podążył za nim. W małym pomieszczeniu kapłan rozpiął i zdjął sutannę, zostając w czarnej koszuli z podwiniętymi rękawami i kamizelce w tym samym kolorze. Artur dostrzegł, że mężczyzna ma na dłoniach skórzane rękawiczki bez palców. Dwójka wyszła po schodach na zewnątrz i przeszła wokół kościoła w kierunku plebanii. Tuż przed drzwiami budynku, ksiądz odwrócił się i usiadł na schodach, sięgając do kieszeni kamizelki. Dopiero w tym momencie młodzieniec spojrzął na przedramiona kapłana. Były dokładnie pokryte tatuażami. Prawe, po wewnętrznej stronie zajmowała wyszczerzona czaszka, której kręgosłup owijał się wokół kończyny ciasnym splotem kręgów, znikając pod rękawem. Na lewym zaś, setki, a być może i tysiące wychudzonych, szarych ramion o upazurzonych dłoniach wiło się i plotło, falując od łokcia, aż do dłoni.

- Podobają się? – Zapytał kapłan, wyjmując z ust tłącego się papierosa. W jego lewej dłoni błyszczała srebrna papierośnica, wypełniona złotymi Marlboro. Artur wziął jednego i zapalił. Czuł się nieswojo, odrobinę skrępowany całą tą sceną. – Nie stój tak. Mów z czym przychodzisz do księdza, o czym nie możesz porozmawiać z kimś innym. - Student zaciągnął się głęboko. Miał mętlik w głowie. Siedziała przed nim heavymetalowa wersja kapłana, z fajką w zębach, wpatrzona w niego przenikliwym, ale w pewien sposób przyjaznym wzrokiem. Z jakiegoś powodu to właśnie oczy były najbardziej niezwykle w całej tej oryginalnej postaci. Ich wzrok był gorący, niemal palił, jednak zdecydowanie nie ogniem, a dogasającym, gorejącym w krótkich podmuchach dzikości, żarem. Młodzieniec podjął decyzję już w momencie uklęknienia w konfesjonale. Postanowił się otworzyć, podzielić swoim nowym, szalonym światem, składającym się z niewyobrażalnych snów i przytłaczającej jawy. W końcu kapłana obejmowała tajemnica spowiedzi. – Gdzie moje maniery! – Ksiądz uderzył się w czoło ze śmiechem. – Jestem ojciec Walenty.

Artur długo i szczerze opowiadał duchownemu swoją historię. Opowiadał o Niej, o życiu z Nią i Jej śmierci. Z kolejnych niedopałków kreował świat widziany swoimi oczami, popielatą rzeczywistość w jego głowie. Wyłożył słuchającemu w skupieniu Walentemu wszystkie swoje sny, od czasu próby samobójczej, którą opisał dokładnie. Chłopak nie pominął niczego. Czuł, jakby po raz pierwszy w życiu faktycznie się wyświadczył. Nie bogu, ale człowiekowi. Było w tym coś niezwykle... Odciążającego. Kiedy chłopak skończył mówić i wyjął ostatniego papierosa ze swojej paczki, kapłan bardzo długo się nie odzywał. Siedział ze splecionymi palcami, wpatrzony w czubki skórzanych butów z klamrami. W końcu, mężczyzna zdjął rękawiczki i schował je do kieszeni. Następnie ułożył dłonie tak, że lewy kciuk leżał na prawym. Artur dostrzegł na bliższych palczkach księdza litery. Były one także na bokach kciuków tak, że ściśnięte razem, jeden nad drugim, tworzyły wspólnie z resztą palców napis „Gott ist tot.”

- Teraz ja ci coś opowiem. – Odezwał się Walenty. – Byłem kiedyś lekarzem. Onkologiem. Przez wiele lat starałem się leczyć ludzi, ratować ich z sytuacji dosłownie beznadziejnych. Patrzyłem jak cierpią, pomimo naćpania opioidami. Obserwowałem jak nikną, jak umierają w oczach... I nie mogłem nic zrobić. Medycyna rozwija się tak szybko, a dalej nie ma lekarstwa

na to gównu. Operacje, chemioterapia, radioterapia, eksperymentalne leki, przeciwciała, płataniny rurek, kabli, igły, elektrody, bandaże... Mimo tego wszystkiego, cały oddział cuchnął śmiercią. Pacjenci przyjeżdżali tam, przekraczali próg oddziału i bledli. Nie mam pojęcia w jaki sposób, ale oni czuli, że prawdopodobnie nigdy stamtąd nie wyjdą, lecz zostaną wywiezieni. W workach. Starłem się jak mogłem, zarywałem noce na dyżurach, pompowałem w tych ludzi okropne ilości leków, walczyłem jak mogłem, żeby przedłużyć im życia. Bez skutku. W końcu zauważyłem, że kiedy medycyna staje się bezsilna, staje się jednocześnie okrutna. Nie mogę zapomnieć ile razy przechodziłem koło łóżek, z których wychudzone ręce chwyciły mnie resztkami sił za fartuch i przyciągały do popękanych ust, które szeptały prośby o śmierć. Nie potrafiłem ich zrozumieć. Przecież nie ma nic, poza życiem, prawda? – Walenty przerwał, spoglądając na lewy nadgarstek Artura. – Jednak, kiedy nawet najbliżsi przestawali odwiedzać tych pacjentów, odstraszeni smutkiem, smrodem odleżyn i zagęszczającą się z każdym dniem wonią grobu, zacząłem dostrzegać punkt widzenia tych osób. Oni nie mieli perspektyw. Każdy dzień wypełniała biel sufitu, biel pościeli i brud własnego ciała, które buntowało się przeciwko takiemu życiu, spowijało walczący desperacko mózg zniewalającym bólem, od którego pękały zęby. Najgorsze jest to... Najgorsze jest, że cała ta agonia nie miała najmniejszego sensu czy znaczenia. Ci ludzie nie wychodzili ze szpitala szlachetniejsi. Nie zbawiali nikogo swoim cierpieniem. Niczego nie zmieniali... Próbowałem służyć tym najbardziej cierpiącym jako substytut rodziny, spędzać z nimi czas, oferować słowa pociechy, trzymać ich wątłe dłonie... To pomagało. Jednak najczęściej, widząc we mnie przyjaciela, z jeszcze większą ufnością prosili mnie o zakończenie ich życia. Dystans pomiędzy lekarzem, a pacjentem musi być zachowany. Nie możesz się przywiązywać. Tylko jak się nie przywiązać do maleńkiego dziecka, które przez dwadzieścia godzin na dobę krzyczy z bólu, dwie godziny śpi, a pozostałe dwie, ze łzami w jasnych oczach błaga cię, żeby przestało je boleć. Za wszelką cenę. Nie wytrzymałem. Pękłem. Poddałem się. Podałem jej potas. Kiedy gasła, podziękowała mi ostatnim szeptem. Cisza jaka potem zapadła do dziś huczy mi w uszach. Nadal nie wiem czy zrobiłem to, żeby ulżyć jej, czy sobie... Oczywiście nie mogłem tego zatuszować. Dziecko i tak było nieuleczalnie chore, jednak taka eutanazja to poważne przestępstwo. Skończyło się na tym, że koledzy z Sądu Lekarskiego i Rady Lekarskiej zamietli sprawę pod dywan, patomorfolog sfalszował wyniki sekcji i ostatecznie, zamiast pójść do więzienia, dożyłotnio straciłem prawo wykonywania zawodu. – Artur zaniemówił. Zdał sobie sprawę, że ma przed sobą człowieka dźwigającego na swoich barkach znacznie więcej niż on. Chłopak próbował znaleźć jakieś słowo pociechy lub zrozumienia dla kapłana, jednak szalejąca w jego umyśle burza uniemożliwiała wyłowienie z niej jakiegś elokwentnej myśli.

- Dlaczego kapłaństwo? – Wykrztusił w końcu młodzieniec.

- Bo nie wszyscy są tacy jak ty i ja. Nie wszyscy dostrzegają świat takim, jaki jest – odartym z przejawskrawionych iluzji, przesłaniających gnijącą prawdę. Ludzie potrzebują pociechy, klapek na oczach, obietnicy miłości, przebaczenia i wiecznego życia. Potrzebują sensu, nadanego im z góry, bo sami go nie znajdują. Nie zaakceptują też bezsensu życia. Przychodzą więc do kościoła, żeby zażyć cotygodniową dawkę tego okrągłego anestetyku, przychodzą zrzucić z siebie ciężar grzechów, oczyścić się. Wybielić przed sobą. Ludzie nie rozumieją, że

nie wypenią z siebie zła, nie pozbywając się wcześniej dobra. Dlatego jestem tu dla nich. Pocięszam ich, podaję im przeciwbólowe kazania. Oślepiam ich. Osięgam tutaj lepsze wyniki niż na oddziale. – Zaśmiał się gorzko Walenty.

- Nie wiem co powiedzieć. – Zająknał się Artur. – Moje problemy naprawdę wydają się teraz łahe...

- Nie pierdol. Twoje problemy są najgorsze, spośród wszystkich na całym świecie, bo są twoje i zawsze jesteś z nimi sam. Nie wierzysz w boga, podobnie jak ja, więc nie zadowolisz się garścią kłamstw. Jako kapłan, nie mogę ci pomóc. – Młodzieniec otworzył usta, ale księdz uniósł dłoń w uciszającym geście. – Aczkolwiek, chyba znam sposób, żeby ci nieco ulżyć. Mam jeszcze trochę znajomości wśród lekarskiego grona. Niektórzy po cichu pochwalają moją decyzję... Nie wiem czy to dobrze, bo sam nie jestem z niej dumny. W każdym razie, naltrekson w niskich dawkach ma działanie przeciwdepresyjne. Co ważniejsze jednak, jednym z działań ubocznych są bardzo realistyczne sny. Mam nadzieję, że dość realistyczne, żebyś nie mógł odróżnić Niny wysnionej, od realnej.

- Czy to na pewno dobry pomysł? – Zawahał się Artur. Nie był pewien czy będzie w stanie znieść jeszcze bardziej realistyczne rozstania z Nią.

- Życie to cierpienie. Kiedy ma się tak otwarte oczy, jak ty, ten ból jest nie do zniesienia. W swoich snach znalazłeś odrobinę szczęścia, która każe ci przeć do przodu przez to egzystencjalne bagno. Nie powinieneś odrzucać takiego daru. Niektórzy go nie doświadczyli. – Walenty uśmiechnął się smutno.

- Rozumiem, że będę potrzebował recepty? – Zapytał ostrożnie młodzieniec.

- To nie jest terapia legalna w Polsce. Tabletki będzie robił zaufany farmaceuta. W tajemnicy.

- Rozumiem. – Powiedział student i podał księdzu swój numer telefonu, aby ten mógł się z nim skontaktować, kiedy leki będą gotowe. – Dziękuję bardzo. Kiedyś jakoś się ojcu odwdzięczę.

- Walenty. – Warknął kapłan, po czym zaśmiał się. – Muszę wracać na plebanię. Obowiązki duszpasterza. Gdyby zabrakło ci twoich nasennych, też możesz na mnie liczyć.

- Oczywiście. Jeszcze raz dziękuję. – Artur podniósł się ze schodów i zsunął butem niedopałki do kratki ściekowej. Miał już odchodzić, kiedy zwrócił się do księdza jeszcze raz. – Przepraszam, ale... Dlaczego Walenty? – Mężczyzna lekko odwrócił twarz od drzwi, które zaczął już otwierać.

- Patron szaleńców. – Odparł kapłan i wszedł do budynku.

Po powrocie do domu, Artur zdjął buty i powiesił kurtkę w pięknej, szerokiej szafie z głęboko brązowego drewna, stojącej w przedpokoju. Wsunął stopy w skórzane kapcie i przeszedł do obszernego salonu. Wielki, cieniutki telewizor był wyłączony. Rodzice młodzieńca siedzieli w, rozdzielonych inkrustowaną ławą, wspaniale zdobionych fotelach z wysokimi oparciami. Oboje mieli na nosach okulary i tablety w dłoniach. Od szkieł odbijały

się nagłówki stron internetowych, krytykujące partię rządzącą, komunikujące przełomowe odkrycia w medycynie naturalnej i mieszające z błotem kolejnych celebrytów. Wszystko to gęsto przeplatane jaskrawymi reklamami, pchającymi się co chwila na pierwszy plan ekranów.

- Wróciłem. – Obwieścił oczywistą informację Artur i usiadł na kanapie, pomiędzy swoimi opiekunami.

- Jak było? – Zapytała mama chłopca, odrywając wzrok od urządzenia i zdejmując okulary.

- Sympatycznie. Bardzo cierpliwy kapłan. Dużo zrozumienia. Polecam.

- Dał ci ciężką pokutę?

- Jeszcze czego. On nie ma czasu na pokutę. Uczyć się musi. Sesja niedługo. – Wtrącił tata studenta, nadal wpatrzony w migoczący tablet.

- Dopiero końcówka października... - Zauważyła kobieta.

- Piąty rok to nie przelewki. – Skwitowała głowa rodziny. Mama Artura wzruszyła jedynie ramionami i wróciła do lektury przepisu na supę krem z cukinii. Młodzieniec nie szukał nowego tematu do rozmowy. Nauczył się, że cisza jest dużo lepsza i o wiele mniej męcząca od wymuszonej konwersacji. Włączył więc telewizor, nie patrząc na kanał i dołączył do rodziców w poszukiwaniu niczego w Internecie, z tą różnicą, że na mniejszym ekranie komórki. Odgłosy programu telewizyjnego skutecznie zapewniały przyjemne tło całej trójce, jednak nagły krzyk, dobiegający z głośników urządzenia, wyrwał wszystkich z elektronicznej hipnozy. Na ekranie, w cudownie przejrzystej rozdzielczości, z ogromną dokładnością detali, upośledzona umysłowo, młoda dziewczyna rodziła dziecko w rzece. Zdezorientowany Artur wziął do ręki pilota i sprawdził nazwę transmitowanego obrzydlistwa.

- „Niezwykłe porody” – przeczytał młodzieniec i szybko przełączył na całodobowy kanał informacyjny.

- Coraz głupsza ta telewizja. – Ogłosił tata Artura.

- Dopiero osiemnasta, przecież to mogą oglądać dzieci. – Oburzyła się mama Artura.

- Szkoda gadać. – Zgodził się Artur, po czym rodzina zgodnie wróciła do swoich multimedialnych zabawek. Młodzieniec solidarnie gapił się w ekran smartfona, jednak jego myśli pobłądziły i nie mogły wrócić na spokojne tory. Idiotyczny program przypomniawszy mu wszystkie dni bloku zajęciowego z ginekologii, w trakcie których widział porody. Natychmiast powróciła do niego świadomość, że były to jedne z najbardziej depresyjnych chwil, jakie przeżył. Oczywiście wyobraźni widział bardzo dokładnie cesarskie cięcia, dłonie lekarzy, zagłębiające się w rozciętą macicę i gmerające w jej wnętrzu, szukając miejsca oparcia dla palców na głowie dziecka. Pamiętał to niewinne, czerwono-fioletowe coś, przytwierdzone do wnętrza ciała pacjentki sinym sznurem pępowinowym. Chłopak niemal słyszał ponownie, z początku słaby i niewiarygodnie szybko nabierający mocy, krzyk. Znow miał przed sobą wierzgający w desperackim proteście owoc egoizmu ludzi, którzy nie

potrafili znaleźć lepszego sensu życia, od zwierzęcego powielania się. Student pamiętał również twarze dziewcząt ze swojej grupy, które rozkoszne uśmiechy wykrzywiały tak bardzo, że było to widoczne nawet spod chirurgicznych masek. Widział wtedy w ich oczach, że one również popełnią w przyszłości ten akt okrucieństwa, kierując kolejne niewinne komórki na nieuchronny rozwój do postaci płaczącego nad własnym losem noworodka, skazanego na miliony kolejnych krzyków w ciągu dziesięcioleci rozpoczętego w momencie „cudu narodzin” cierpienia. Nikt nikogo nie pyta czy chce się urodzić, na jakim świecie chciałby żyć, ani czy, rozczarowany zastanym obrazem rzeczywistości, nie chciałby złożyć reklamacji, odebrać zwrotu wylanych łez i zacząć od nowa, na przykład jako pozbawiona abstrakcyjnych trosk szynszyla. - *Życie jest do dupy, niezależnie od tego, jak jest dobre.* – Pomyślał Artur, błędząc kciukiem po dotykowym ekranie komórki i oczekując na zbliżające się spotkanie z tabletką nasenną.

## Sen 4

Znajome osiedle na Widzewie powitało Artura styczniowym mrozem. Noc była jasna, z powodu dwudziestu centymetrów śniegu, który odbijał żółtawe światła lamp. Młodzieniec stał przed blokiem Niny, drżąc i szczękając zębami. Pomimo przejmującego zimna, student wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. Kłęby dymu i obłoki pary wodnej splatały się w przestrzeni przed twarzą zamyślanej postaci, jak dwie pokrewne istoty, z wyglądu niemal identyczne, a o kompletnie odmiennej naturze. Artur zastanawiał się czy Nina będzie chciała z nim rozmawiać, a jeżeli tak, to co będzie miała mu do powiedzenia. Czy powita go pocałunkiem, czy smutnym spojrzeniem, posłanym ze skraju łóżka. Filtr papierosa zaczął parzyć palce studenta, więc niedopałek wylądował w śniegu, wytapiając sobie tunel w kierunku przeznaczonego mu chodnika. Młodzieniec chciał wpisać numer mieszkania na panelu domofonu, jednak kiedy wyciągnął rękę, poczuł na dłoni ciepły powiew i dostrzegł, że drzwi klatki schodowej są lekko uchylone. Artur wszedł do środka i zaczął wspinać się na najwyższą kondygnację. W połowie drogi, chłopaka minęła kobieta. Średniego wieku blondynka schodziła po schodach w wyraźnym pośpiechu, z chustką przyłożoną do nosa i wzrokiem skierowanym w bok, aby uniknąć studenta, jakby ten mógł jednym spojrzeniem odgadnąć powód jej ucieczki. Artur w pierwszej chwili nie przejął się zbytnio, jednak zatrzymał się kilka stopni dalej. Ta kobieta była pierwszą żywą osobą, którą spotkał we śnie, oprócz Niny i tego... Czegoś, które na niego polowało. Chłopak uznał to zjawisko za akcent dodający realizmu temu światu i przyjął je z przelotnym uśmiechem. Zniknął on bardzo szybko, ponieważ na następnym piętrze, przez niedomknięte, drewniane drzwi, dobiegł go płacz dziecka. Młodzieniec nie zwróciłby na ten dźwięk absolutnie żadnej uwagi, gdyby nie to, że nie był to krzyk głodnego lub kapryśnego oseska. Był to płacz bólu i strachu, nieartykułowane błaganie o pomoc bezbronnego stworzenia. Artur wiedział, że to dziecko, ten blok i całe osiedle nie są prawdziwe. Miał bolesną świadomość fałszu swojej lepszej rzeczywistości i nie powinien się przejmować losem wytworu swojej wyobraźni. Przejmował się. Delikatnie, najciszej jak potrafił, chłopak uchylił drzwi na koszmarnie skrzypiących zawiasach. Krzyk nasilił się. Ciemny korytarz przebiegał przez całe mieszkanie, kończąc się pokojem, z którego dobiegało słabe światło. Pozostałe pomieszczenia, po obu stronach, były zamknięte. Młodzieniec zaczął skradać się bardzo powoli, co w ciężkich gładach stanowiło nie lada wyzwanie. W miarę zbliżania się do źródła hałasu, spazmatycznemu płaczowi zaczęły towarzyszyć ciężkie oddechy, sapanie i chrapliwy warkot. Jednocześnie, zza framugi drzwi powoli wyłaniał się rzucany na ścianę cień masywnej postaci, poruszający się rytmicznie. Jego grube ramiona wznosiły się i upadały z obrzydliwym młaśnięciem, jakby ktoś tłukł schabowe na niedzielny obiad. Co i rusz dało się słyszeć także subtelne i rozdzierające, jak chóralne vibrato, chrupnięcie. Artur zorientował się, że jest spocony i ciężko dyszy. Jego ciało stało się ciężkie, ledwo mógł się poruszać. Nie mógł jednak się powstrzymać. Wychylił głowę zza framugi i zobaczył wysokiego, łysego mężczyznę w spodniach od dresu i poplamionym podkoszulku. Stał plecami do studenta, pochylony nad stolikiem, na którym leżały puste strzykawki oraz źródło krzyku, który zaczął przyprawiać młodzieńca o mdłości. Artur gapił się jak zahipnotyzowany na książkowy przykład przemocy

domowej, niezdolny do żadnej czynności. W pewnym momencie, naćpany osiłek uniósł obie ręce i uderzył nimi potężnie, aż intruz przy drzwiach poczuł wibracje podłogi. Płacz ucichł. Oprawca podniósł coś ze stołu, odwrócił się nagle i rzucił trzymany przedmiot. Zapewne celował w ścianę, jednak trafił prosto w twarz Artura. Chłopak cofnął się, równie mocno powodowany szokiem, co uderzeniem. Poczł ciepło na twarzy, a pocisk, który go trafił upadł z głośnym plaśnięciem na podłogę. Młodzieniec spojrzł w dół i pożałował tej decyzji. Czerwono-różowy kształt tylko w luźnych skojarzeniach przypominał dziecko. Siniaki, zakrzepła i świeża krew sklejjająca krótkie jeszcze włoski, nienaturalnie powyginane, spuchnięte kończyny i coś, co powinno być twarzą – wszystko to mieszało się ze sobą w nieprawdopodobne sposoby, próbując nieudolnie stworzyć postać niemowlęcia. Trochę jak polane czerwoną farbą meble z Ikei, składane przez amatorów grzybów halucynogennych. Artur w jednej sekundzie był przy drzwiach mieszkania, w następnej zatrzasnął je za sobą i zaczął gnać w górę schodów. Przyspieszył, słysząc za sobą zbliżające się człapanie skarpet na stopniach. Student przelotnie pomyślał, że w takich chwilach żałuje swojego nikotynizmu, przyprawiającego go właśnie o pogłębiającą się duszność. Na skrzydłach adrenaliny młodzieniec dotarł na najwyższe piętro bloku, dopadł do kłamki mieszkania Niny, która, o dziwo, ustąpiła i zamknął się w środku. Chłopak przez chwilę dyszał, oparty plecami o drzwi, w które ktoś zaczął walić z drugiej strony. Artur przekręcił zamek jeszcze jeden raz i założył łańcuch, po czym cofnął się o trzy kroki. Odgłosy po chwili ustąpiły. Student spojrzł jeszcze przez wizjer, upewniając się, że mężczyzna zaniechał swoich agresywnych działań, a następnie zdjął buty i kurtkę. Chciał już wejść do pokoju Niny, kiedy poczuł lekki dyskomfort na swojej twarzy. Przetarł ją dłonią. Krew dziecka już zdążyła zakrzepnąć na jego czole i nosie. Młodzieniec zmył z siebie resztki niemowlęcia w łazience i udał się na spotkanie z ukochaną.

Wychylając się zza drzwi, Artur nie zobaczył Niny. Nie był w tamtym momencie pewien czy światła w pokoju lekko pociemniały, czy to jego oczy przygasły, zduszone rozczarowaniem. Zamiast ślicznej, szczupłej kobiety, na jej łóżku siedział mężczyzna o prezencji bezdomnego. Długie, siwe włosy opadały mu na ramiona, okryte poczerniałą od brudu i dziurawą marynarką. Pomarszczone i pokryte bliznami dłonie łachmaniarza spoczywały na kolanach w poplamionych brunatną cieczą jeansach. Starzec wyraźnie dygotał, zapatrzony w ścianę. Z jego rozwartych ust dobiegał szeptany bełkot, powtarzający się w kółko zlepek niezrozumiałych dźwięków. Zdezorientowany młodzieniec zbliżył się do dziwnej postaci, która nie reagowała na jego obecność, lub też jej nie zauważała.

- Przepraszam. – Powiedział niepewnie chłopak. – Szukam pewnej kobiety. Nie widział jej pan? – Obszarpaniec odwrócił głowę przerywanym ruchem nienaoliwionej maszyny. Jego kręgi szyjne niemal słyszalnie przy tym zgrzytały. Brązowe oczy starca patrzyły poprzez Artura gdzieś w otchłań, kompletnie nieobecny wzrokiem. – Naprawdę muszę ją znaleźć. Nie widział jej pan? Ma na imię Nina i... - Młodzieniec nie dokończył zdania, ponieważ twarz łachmaniarza wykrzywił grymas cierpienia tak wielkiego, że student aż zadrżał. Mężczyzna załkał przeciągle, po czym zaczął jęczeć, bujając się w przód i w tył, składając ręce w geście jak do modlitwy. W końcu starzec ukrył spływającą łzami twarz w brudnych dłoniach. Artur chciał podejść do rozpaczającej postaci, zapytać dlaczego imię Niny

wywołało taką reakcję, ale obdartus zaorał paznokciami po swoim czole, zostawiając na nim głębokie zadrapania. Karmazynowa krew wielkimi kroplami zaczęła kapać na podłogę. Mężczyzna darł metodycznymi, upartymi ruchami skórę, która zwisała ohydnyimi płatami i wyrywał kawały mięśni, bez drgnięcia zdeterminowanych rąk. Kilkakrotnie jego paznokcie zahaczały o kości, łamiąc się przy tym lub odpadając od palców, całkowicie pokrytych jednolitą czerwienią. Artur patrzył na makabryczną scenę, sparaliżowany grozą sytuacji. Nogi ugięły się pod nim i upadł, starając się jednocześnie odsunąć od powiększającej się powoli kałuży krwi. Starzec okaleczał się nie dłużej niż trzy minuty, jednak nim jego dłonie zawisły bezwładnie, student był przekonany, że minęła co najmniej godzina. W końcu, głowa mężczyzny opadła na pierś. I zaczęła się podnosić. Nienaturalnym, wymuszonym, jakby kompletnie niechcianym i przeciwnym woli ruchem upiornej lalki, twarz starca obróciła się w stronę Artura. Chłopak krzyknął, zerwał się na równe nogi, zrobił trzy wielkie susy, mijając makabryczną postać i rzucił się całym ciężarem ciała w kierunku okna. Szyba ustąpiła i młodzieniec zaczął spadać w kierunku pokrytej zmarzniętym śniegiem ziemi. Zanim uderzenie zakończyło sen, chłopak pomyślał jeszcze raz o twarzy, która spojrzała na niego pomiędzy zakrwawionych, siwych włosów, o twarzy niezmiernego cierpienia i agonii, których źródło nie było fizyczne. O swojej twarzy.

## Rozdział 10

Artur obudził się z krzykiem. Mokra od potu podkoszulka lepiała się do jego drżącego ciała. Obrazy z gwałtownie przerwane snu wdzierały się lepkiem strumieniem do udreżonego umysłu młodzieńca ciężkimi kroplami urwanych wizji, przyprawiając go o torsje przerażenia. Student chwycił się za skronie i skupił głęboko, usiłując uspokoić oddech. Chłopak przestał się trząść. Intensywnie myślał nad sensem pogarszających się koszmarów. Oczywiście było, że stanowiły one projekcje jego lęków, zwłaszcza tego najgłębszego, że do końca swojego nędznego życia będzie Ją oplakiwał, krztusząc się od gęstniejącej tęsknoty i tonąc w bagnach żalu, cuchnących gnijącą nadzieją. Artur rozważał wcześniejsze sny i słowa ojca Walentego. Ważył w duchu szczęście z ponownego Jej spotkania, mając na drugiej szali coraz straszniejsze nocne horrory. Nie mógł tak dalej. Obawiał się, że nie zniesie kolejnego koszmaru i po prostu do reszty oszaleje. Chłopak wstał z łóżka i wygrzebał z plecaka opakowanie tabletek nasennych. Udał się następnie do łazienki i wycisnął ze srebrnych listków pozostałe białe krążki na dłoń. Młodzieniec wahał się. Przez piętnaście wlekących się pogrzebowym korowodem minut Artur stał w ciemności, gapiąc się jak idiota na garść tabletek. – Wybacz mi. – Wyszeptał w końcu, po czym wyrzucił swój ostatni sposób kontaktu z Nią do sedesu i spuścił wodę, która pochłonęła jego ostatnie źródło szczęścia i, być może, największego cierpienia.

Sobotni poranek, wraz ze swoim przyjściem, nie przyniósł nic ekscytującego. Artur zjadł z rodzicami śniadanie, przerywając przeżywanie owsianki zdawkowymi zdaniem, których równie dobrze mogłoby nie być. Do południa młodzieniec przeglądał Facebooka, oglądał telewizję i czytał biografię Vincenta van Gogha. W książce o sławnym malarzu student znajdował wiele podobieństw pomiędzy bohaterem, a sobą samym. Nie były one jednak powodem do dumy, a jedynie źródłem grozy, związanej z prawdopodobieństwem perspektywy tragicznego życia, pełnego rozczarowań i obezwładniającej goryczy. W międzyczasie, Artur umówił się z Szymonem, żeby porozmawiać na temat zaręczyn przyjaciela. Niestety, w sobotę miał on dyżur w karetce, jednak tuż po dwunastej, przysłał koledze SMS-a z informacją, że akurat ma przerwę pomiędzy wezwaniem i mogą się spotkać przy szpitalu. Student pospiesznie zszedł na parter i zaczął się ubierać.

- Idę się spotkać z Szymonem. – Krzyknął Artur w nieokreślonym kierunku.
- Dobrze, o której wrócisz? Niedługo obiad. – Usłyszał głos swojej mamy z kierunku kuchni.
- Nie powinno mi zejść dłużej niż godzinę.
- W porządku. Miłego spotkania, synku.
- Dziękuję. Na razie! – Rzucił młodzieniec, po czym chwycił klucze od domu i wyszedł na zewnątrz, w objęcia wietrznego dnia.

Szpital w rodzinnym mieście Artura znajdował się pół kilometra od jego domu, więc chłopak dotarł tam dość szybko, przemierzając osiedla domów, które różniły się od siebie tak

bardzo, że w całym tym miszmaszu wyglądały kompletnie identycznie. Młodzieniec przeszedł wzdłuż wysokiego muru otaczającego ponury budynek, kryty czerwonawą blachą, a następnie przez bramę wjazdową i skierował się do dyżurki ratowników medycznych. Zbliżając się, wysłał Szymonowi wiadomość, że jest pod szpitalem. Zanim Artur zdążył odpalić papierosa, Przyjaciół wyszedł małymi drzwiami w pomarańczowym uniformie z odblaskowymi paskami i powitał go szerokim uśmiechem.

- No witam! – Krzyknął ratownik, przybijając ze studentem piątkę i miażdżąc w szczerym uścisku.

- Siemanko! Jak tam dzisiaj? Dużo roboty?

- Nie ma tragedii. – Odparł Szymon, również zapalając papierosa. – Przywieźliśmy jedną kobitkę w ciężkim stanie, ale już zeszła, także mam chwilę wolnego.

- Miło z jej strony. – Powiedział młodzieniec, zaciągając się głęboko.

- Całkiem sympatycznie, prawda. – Zgodził się ratownik z lekkim uśmieszkiem. – Co u ciebie? Jak ręka?

- W porządku. Brzydko się zagoiła, ale chociaż nie boli. – Odpowiedział wymijająco student. Artur wprowadził Szymona w okoliczności swojego „wypadku” przez telefon, dzień po jego zajściu. Właściwie, miał wielką ochotę porozmawiać z przyjacielem o swoich snach, koszmarach, pogłębiającej się depresji i ogólnym stanie jego umysłu, jednak oparł się pokusie. Znajomy był zbyt zaferowany swoimi sprawami i choć chłopak wiedział, że zostałyby wysłuchany, nie mógł zostać do końca zrozumiany. Dzisiaj to Szymon potrzebował przyjaciela i słuchacza. – No dobrze, ale nie o tym mieliśmy rozmawiać. Zestresowany? Kiedy ci to w ogóle przyszło do głowy?

- Daj spokój, jaram ostatnio jak smok. Nogi mam jak z waty, ręce mi się trzęsą. Cały jestem obsrany. Wiesz co... Któregoś dnia zacząłem oglądać pierścionki w Internecie i tak pomyślałem, że już długo jestem z Beata, wiele razem przeszliśmy i właściwie, to trzeba się w końcu określić. W jedną, albo w drugą. Wypada się w końcu zalegalizować.

- Jasna sprawa. – Zgodził się Artur. – Generalnie to bardzo się cieszę, że ci się życie układa, ale powiedz mi jedną rzecz, zanim to zrobisz. Jesteś pewien? – Zapytał młodzieniec, patrząc Szymonowi głęboko w oczy. Wzrok ten miał przedzierać się przez nawet nieświadome kłamstwa, wyłapywać wahanie i odsuwać na bok brak powagi. Ratownik dobrze o tym wiedział, jednak wytrzymał to świdrujące spojrzenie.

- Artur... To naprawdę długi czas. Z nikim tyle nie byłem. Wiem, że opowiadałem ci wiele razy jak się kłócimy, jak potrafimy się nie odzywać i tak dalej. Jednak, chyba w każdym związku tak jest. Na pewno w każdym tak jest. Mimo wszystko, jesteśmy razem i nie wygląda na to, żeby coś miało się zmienić. Tak, jestem pewien. – Powiedział stanowczo, ale łagodnie Szymon, wyciągając kolejnego papierosa z paczki.

- Mam nadzieję, że rozumiesz, że ja cię nie chcę sprawdzać czy wpływać na twoją decyzję. Po prostu chcę, żeby wszystko zagrało tak, jak tego chcesz. Wiesz, że jak byłeś u mnie w Łodzi...

- Do niczego przecież nie doszło. – Obruszył się ratownik.

- Wiem, pamiętam. O dziwo. To zero-siedem na wejście zrobiło swoje... Potem jeszcze ta wódka w klubie. – Artur na moment odpłynął w łodzi zadumy, dryfując po gładkiej tafli pamięci, jednak zreflektował się, widząc ponaglający wzrok przyjaciela. – Pamiętam też inne rzeczy. Powiedz mi więc, do niczego nie doszło, dlatego że nie chciałeś, by doszło, czy po prostu ci się nie udało wyciągnąć tej laski z klubu?

Szymon palił przez chwilę w milczeniu, pozwalając kłębowi dymu, żeby otoczyły jego zamyśloną twarz szarym całunem. Artur w międzyczasie zapalił następnego papierosa, dając koledze czas. Nie popędzał go. Wiedział, że i tak powiedział za dużo, mówiąc jednocześnie dokładnie tyle, ile było trzeba.

- W klubie, jak w klubie. To, że mam dziewczynę nie znaczy, że miałem stać jak te widły w gnoju, podierać ściany i patrzeć jak ty się wyginasz na parkiecie. Nic więcej nie zaszło. Nie daje mi to żadnych powodów do wątpliwości. – Młodzieniec wpatrywał się z pewną życzliwością w zaciętą twarz Szymona, który kontynuował swój wywód. – Kocham Beatę, stary. Ja naprawdę ją kocham. To chyba najważniejsze, nie?

Artur uśmiechnął się pod nosem. Nie miał wątpliwości, co do uczuć przyjaciela. Nie miał ich także odnośnie uczuć jego wybranki. Młodzieniec wątpił w uczucia. Szczególnie w miłość. Wszystkie nadużywane na każdym kroku zdania i porzekadła, w stylu „Miłość wszystko zwycięża” lub „Miłość jest najważniejsza” i „Miłość, a reszta jakoś się ułoży”, przysparzały studenta o gorzki, lecz gromki śmiech. Trzeba bardzo wiele zobaczyć i przejść, doświadczyć z otwartymi oczami i bez naiwnych złudzeń, aby przekonać się jak bardzo wątpliwa jest ludzka miłość. Artur głęboko wierzył w rodzicielską odmianę tego uczucia, ponieważ była ona instynktowna, a zatem, w pewnym sensie, zwierzęca. Z wrodzonymi cechami organizmów nie ma sensu się spierać. Z wykształconymi i osobniczo zmiennymi jednak... Młodzieniec zbyt wiele razy słyszał płacz zdradzonych kolegów i koleżanek, za często widział obdukcje i sekcje zwłok zamordowanych małżonków, żeby wierzyć we wszechmocną miłość. Ludzka miłość jest kaleka, słaba i pełna wad. Ugina się pod zazdrością, kaja się przed gniewem i zdycha we własnym gównie, rozszarpana przez strach. Zwłaszcza strach. Jakże często mylimy strach z miłością. To przewracające trzewia przerażenie, które ogarnia nas na myśl o samotności, odrzuceniu i perspektywie poszukiwania kolejnej „drugiej połówki”, która może się nigdy nie znaleźć. Być może z tego powodu część społeczeństwa ucieka w objęcia boga, który to ma być uosobieniem miłości i najdoskonalszą, ostateczną jej formą. Bardziej prawdopodobne jest jednak, że to człowiek, rozczarowany nędzą swojego uczucia, stworzył jego idealny odpowiednik, jasny płomień na niebie w kształcie serca, w którego promieniach mógł ogrzać swoje, drętwe od mrozu rozczarowania, ciało. Skoro boska miłość jest jedynie sztuczną konstrukcją, pocieszającą, a więc fałszywą, ideą, to na tym żalnym świecie, szczytem pozostawała ludzka miłość. Krucha, gasnąca, przytłaczająca, kachektyczna, a

jednak wznoszona na piedestał. – *Dlatego jesteśmy tak beznadziejnie słabi.* – Pomyślał Artur, po czym uśmiechnął się do Szymona i poklepał go po plecach.

- Oczywiście, że to najważniejsze, ziomeczku.

## Rozdział 11

Niedziela w domu rodzinnym Artura, jak zwykle, zaczynała się od mszy o godzinie ósmej. Młodzieniec nie wspominał rodzicom o swoim głębokim ateizmie. Nigdy nie miał ochoty tłumaczyć swoich racji, które i tak nie zostałyby zrozumiane. Poza tym, wzniosłe i pozbawione sensu kazania dostarczały mu kolejnych argumentów za tym, że religia służyła do indoktrynacji spragnionego pocieszenia społeczeństwa. Chłopak siedział więc między swoimi rodzicami w drugim rzędzie drewnianych siedzisk. Przed sobą miał podstarzałe małżeństwo, cuchnące moczem i naftaliną, za sobą zaś parę w średnim wieku, z kwilącym dzieckiem, pięcio lub sześcioletnim. Aranżacja wnętrza kościoła była jedyną ulgą w coraz bardziej doskwierającym studentowi rozdrażnieniu. Ściany i filary pokryto farbą w kolorze świeżej mięty, która ładnie kontrastowała ze złotymi wykończeniami ołtarza i skrzydłami rzeźbionych aniołów. Dość kiczowatym elementem była figura Matki Boskiej, stojącej nad ogromnym tabernakulum. Jej aureolę wykonano z drucianego pierścienia, na który zapleciono choinkowe światełka. Tło za posągami podświetlono lampą ultrafioletową, co pewnie miało imitować niebo, jednak wyglądało tandetnie. W efekcie, Maryja sprawiała wrażenie ekskluzywnej stripteaserki, wyjętej z szyldu reklamującego ponury klub nocny. W kościele zabrzmiały mosiężne dzwoneczki i do ołtarza podszedł ksiądz, przy akompaniamencie organów i kobiecego głosu, który śpiewał psalm „Bliskie jest Królestwo Boże”. Bachor z tyłu oczywiście zaczął drzeć się wniebogłosy. Zebrani wierni, natomiast, podchwycili pieśń, prezentując jeden z najbardziej irytujących elementów nabożeństwa. Z założenia kościół miał być miejscem, w którym ludzie jednoczyli się w modlitwie i adoracji. Już na samym początku mszy stawało się jasne, że była to kolejna patetyczna bujda. Tłum nie potrafił śpiewać w jednym tempie, więc gdy z przodu świątyni zwrotka kończyła się, z tyłu była dopiero w połowie, w środku natomiast ludzie zupełnie przypadkowo podejmowali rytm jednej z rywalizujących stron. Żadna z nich ani myślała przerwać swój pełen fałszu jazgot, żeby dopasować się do pozostałych. Arogancja i upór znany z codziennego życia nie zamierał w chrześcijańskich sercach nawet w obecności Najświętszego Sakramentu. Artur konsekwentnie milczał, nie chcąc dołączyć do chóru hipokrytów, krzywiąc się co i rusz, na dźwięk szczególnie wysoko i nieudolnie wyciągniętego falsetu jakiegoś zapijaczonego prawnika, lub nieumyślnego vibrato euforycznej babciny, która tłukła po rękach nieposłuszne wnuki. – *Na miejscu boga, gdybym to usłyszał, spuściłbym kolejny potop, albo rozpierdolił ten groteskowy grajdołek deszczem ognia i siarki.* – Pomyślał młodzieniec, z ulgą przyjmując koniec psalmu.

- Ofiary zbierane podczas dzisiejszej mszy świętej będą przeznaczone na ogrzewanie naszej wspaniałej świątyni. – Oświadczył uroczyście kapłan, szczękając przy tym zębami spod wysokiego kołnierza grubego polaru. Przy każdym wypowiedzanym słowie, z jego ust wydostawały się obłoki pary, ulatujące ku owalnemu sklepieniu głównej nawy, jak zakłète modlitwy o szybkie nadejście wiosny.

Kazanie rozczarowało Artura. Pomarszczony, w połowie łysy, w połowie siwy ksiądz sepleniał o zepsuciu współczesnego społeczeństwa, powodowanego pornografią, antykoncepcją i aborcją oraz robieniem zakupów w niedziele. Unosił donośnie głos,

ostrzegając, że jedynie powrót w czułe objęcia wyrozumiałego Chrystusa pozwoli przywrócić poprawne moralnie tradycje i dawną kulturę. Głównie jednak, straszył piekłem, które to mniej wyrozumiała część Świętej Trójcy przygotowała dla plugawych grzeszników. Młodzieniec patrzył na pianę toczącą się z ust kapłana, zastanawiając się przy tym, jaką wartość ma dobro czynione ze strachu. Czy można nazwać je jeszcze dobrem, czy już zwykłym tchórzostwem. Oczywiście teoretycznie głównym motywatores chrześcijanina miała być wizja wiekistej nagrody w niebie oraz bezgraniczna miłość do bliźniego, ale Artur nie miał złudzeń, że strach przed potępieniem był o wiele skuteczniejszą incentywą. Swoją drogą, Kościół stosował bardzo sprytną sztuczkę, utożsamiając źródło wszelkiego zła z szatanem. Dawało to ludziom wiarę, że faktycznie grzech nie jest ich integralną częścią, nieodzownym fragmentem każdego człowieczego jestestwa, ale że pochodzi z zewnątrz, z jakichś niewyobrażalnych ognistych czeluści, wypełnionych niemilknącymi jękami legionów straconych dusz. Niezbyt wysublimowane, aczkolwiek skuteczne i zgrabne zabiegi psychologiczne, mające przesłonić oczy rozmodlonych idiotów bielmem iluzorycznego przeznaczenia zbawieniu. Artur tak się zamyślił, że dopiero kościelny szeleszcząc banknotami w tacy, wyrwał go z transu. Student jedynie przelotnie pomyślał ile leków na nadciśnienie i cukrzycę ci durni staruszkowie mogliby kupić za wyrzucone pieniądze. Bardzo szybko doszedł do wniosku, że udar i kwasica ketonowa mogą skutecznie podwyższyć średni iloraz inteligencji... Chociaż współczesna mu młodzież obniżała go jeszcze bardziej. – *Gdyby tylko Hitler obrał za cel idiotów, a nie Żydów...* – Rozmarzył się Artur, dorzucając zmarzniętą dłońią pięć złotych do funduszu grzewczego.

Przez resztę mszy młodzieniec coraz mocniej zaciskał pięści i niemal słyszalnie zgrzytał zębami. Zimno wcale nie zapobiegało rozprzestrzenianiu się smrodu starców z ławki przed nim. W zasadzie, wydawać się mogło, że zaczęli się rozkładać podczas modlitwy „Ojcze nasz”. Przy każdym dźwięku organów dziecko z tyłu prezentowało swój popisowy wrzask. Artur lubił krzyk jako pierwotną formę ekspresji emocji, nieskrępowaną i pełną uczucia, ale bachorowi do Corey’a Taylora wiele brakowało. Chłopak miał wielką ochotę upomnieć rodziców aspirującego wokalisty heavymetalowego, jednak sądząc po ich słodziutkich „Ciііііі” lub „Nie wolno tak krzyczeć w kościółku, Wojtusiu”, byli oni zwolennikami bezstresowego wychowania, czyli braku wychowania w ogóle. Tuż przed udzieleniem komunii, z kolanami na klęczniku, czując się jak zgarbiony w przepaszającym geście murzyn na polu bawełny, Artur usłyszał za sobą jazgotliwy głos małego Wojtusia.

- Tatusiu, a dlaczego ten pan ma takie długie włosy?

- Bo widocznie takie lubi mieć, synku. – Odparł szeptem ojciec dziecka.

- Wygląda jak dziewczynka. – Zawyrokował bachor.

Młodzieniec przez ułamek sekundy był pewien, że chwyci smarkacza za niewyparzoną mordę i rzuci nim prosto w kamienny ołtarz, powracając do starotestamentalnej tradycji składania żywych ofiar. Oczywiście nie mógł tego zrobić. Uspokoił się więc, przepuścił siedzącą po jego prawej stronie mamę, żeby mogła pójść do najświętszego sakramentu. Ku szczęściu Artura, rodzice Wojtusia również udali się w kierunku kapłana ze złotym kielichem. Student odwrócił się szybko i przeszył beczelnego smarkacza wzrokiem, który rezerwował jedynie

na okazji specjalne. Przelewał wtedy w swoje źrenice cały ból, samotne cierpienie i tęsknotę, a także nienawiść do rodzaju ludzkiego z sobą na czele. Wszystko to gotowało się w jego gałkach ocznych, tworząc żrący roztwór, który niczym magiczny eliksir odstraszał nachalnych rozmówców, odwracał ciekawskie spojrzenia i zamykał zbyt rozentuzjasmowane usta. Małego Wojtusia natomiast, przyprawił o grymas przerażenia, a następnie o rozdzierający płacz, z którym malec, usmarkany nieomal po czubki bucików, popędził do rodziców. Artur zaś, usadowił się wygodnie na swoim miejscu. Co prawda nie poprawił harmonii chóru głosów w kościele, jednak przyprawił go o coś faktycznie prawdziwego w tej, doprawdy, tragikomicznej szopce kłamstw i pozorów.

Po skończonej mszy i wizycie na cmentarzu, Artur wraz z rodzicami wrócił do domu. Młodzieniec, tradycyjnie, włączył czajnik elektryczny i sięgnął do szafki przy lodówce, wybierając przy tym odpowiednią herbatę. Mama studenta w tym czasie smażyła jajka sadzone i krzątała się przy nakrywaniu do stołu. Wspólne śniadanie w niedzielny poranek zawsze stanowił swego rodzaju ceremonię w domu Artura. Chłopak zawsze lubił te posiłki. Miały w sobie coś ulotnie przyjemnego, chociaż zwykle spożywane były w milczeniu. Zapach jajek, świeżych bułek i gorącej herbaty zawsze dawał poczucie bezpieczeństwa i rodzinnego ciepła. Atmosfera ta jednak spływała razem z resztkami jedzenia z talerzy, ponieważ zaraz po śniadaniu Artur myślał już o zbliżającej się konieczności powrotu do Łodzi, a tym samym, do wszystkich wspomnień związanych z tym miastem. Perspektywa ta skutecznie pozbawiała młodzieńca zwiewnego uśmiechu, który pojawiał się nieśmiało na jego twarzy, kiedy wspólnie z tatą oglądał telewizję na kanapie w salonie. Student coraz częściej zastanawiał się nad rzuceniem uczelni i wyprawdzą. Problem w tym, że nie potrafił wyobrazić sobie innej przyszłości, niż związanej z zawodem lekarza. Szkoda mu było też lat już poświęconych tym studiom. Przeniesienie się do innego miasta również nie wchodziło w grę, ponieważ Artur uwielbiał Łódź, nawet mimo wszystkich bolesnych myśli, zapisanych w muralach i rozkładach jazdy na przystankach tramwajowych. Byli tam też jego przyjaciele, których nie był w stanie zostawić. Z tych względów, herbata nagle przybrała gorzki smak w ustach studenta, który odniósł pustą szklankę do kuchni i udał się na piętro, żeby zacząć się pakować.

Pociąg odjeżdżał o godzinie piętnastej trzydziści, więc Artura przed wyjazdem czekał jeszcze rodzinny obiad. Świadczyły o tym cudowne aromaty, które ulatniały się z bulgoczących garnków i penetrowały każdy zakamarek domu, kusząc jego mieszkańców i pieszcząc ich nozdrza. Goździki, cynamon i ostra papryka łączyły się z rodzynkami w pachnącym sosie wołowym. Marchewka, pietruszka oraz por i seler z odrobiną lubczyku, zapowiadały rosół. Kilka minut po dwunastej przyjechała babcia Artura.

- Dzień dobry! – Powiedziała starsza kobieta, po czym zachichotała głupkowato, czego młodzieniec szczerze nie cierpiał.

- Cześć, babciu. – Odpowiedział młodzieniec, odbierając futrzany płaszcz i wieszając go szafie. Potem wyjął z dolnej szuflady puchate kaptcie i podał kobiecie.

- I jak tam? Będą cię czymś męczyć w przyszłym tygodniu na tej uczelni? – Zapytała staruszka, przytulnym głosem, jakby zwracała się do głupawego dziecka, lub wyjątkowo małego psa.

- Mam jakieś zaliczenie w piątek. Nic wielkiego, dam radę. Jak zwykle. – Odparł student.

- No wiem, że świetnie sobie radzisz. Dzięki Bogu! – Podsumowała kobieta, nieomal doprowadzając Artura do furii. Jego rodzina miała w zwyczaju dziękować właśnie bogu za sukcesy młodzieńca. Zupełnie, jakby godziny spędzone na zajęciach w szpitalach i noce zarwane przy opasłych podręcznikach nie miały nic wspólnego z uzyskiwaniem wysokiej średniej. Wystarczyło dzień przed egzaminem zmówić paciorek za łatwe pytania albo dobry humor kadry profesorskiej, a Palec Wszzechmogącego naprowadzi długopis w rękach wnuczka na właściwe odpowiedzi. Student nie skomentował tej wypowiedzi i zajął się nakrywaniem do stołu w salonie, żeby zająć czymś ręce, które zaczynały mu drżeć ze złości.

Obiad przebiegał jak zwykle, to znaczy mama Artura uwijała się, biegając pomiędzy kuchnią i salonem, babcia cmokała z zachwytu nad wykwintnymi potrawami, a tata młodzieńca narzekał, że tradycyjne polskie ziemniaki zastąpił jakiś imigrancki kuskus. Student nosił talerze i półmiski, starając się nie myśleć o powtarzalności tej atmosfery, która była znana, swojska i budująca, ale jednocześnie męcząca i dołująca.

- Och, nie musiałaś tyle tego przygotowywać. Kto to wszystko zje? Nie masz nic z tej niedzieli. Od rana tylko przy garnkach! – Ubolewała babcia, chociaż sama, kiedy zapraszała gości, szykowała ilości jedzenia odpowiednie dla drużyny wygłodniałych partyzantów.

- A komu mam gotować, jeśli nie wam? Przecież to sama przyjemność, jak coś zrobię i wam smakuje. – Oponowała mama, nakładając sobie na talerz sałatkę z gruszką.

- No ale w niedzielę powinnaś odpocząć. Cały tydzień praca, a jeszcze dzisiaj gotowanie...

- Dobrze, za tydzień zamówimy pizzę i przestaniesz marudzić. – Ucięła poirytowana gospodyni.

- Nie ma ziemniaków? – Zapytał tata, krojąc apetycznie wyglądający kawałek parującej wołowiny w gęstym sosie.

- Jest kuskus. Nałożyć ci?

- No daj. – Stwierdził mężczyzna z delikatnym grymasem na twarzy.

- Kasza jest zdrowa. Poza tym, mówiłeś, że lubisz kuskus. I pasuje do mięsa. – Ciągnęła mama, racząc męża dużą porcją kaszy.

- No lubię...

- No właśnie.

- ...ale wolałbym ziemniaki. – Burknął tata Artura pod nosem. Młodzieniec próbował stłumić śmiech i zakrztusił się kawałkiem papryki z sałatki. Tak było przy każdym obiedzie. Student

czasami nawet zastanawiał się czy mógłby w jakiś sposób stłumić u siebie odruch kaszlu i udusić się kawałkiem jedzenia w jednej z takich sytuacji. W końcu śmierć ze śmiechu, chociaż mało wzniosła, wydawała się dużo przyjemniejszą perspektywą niż inne opcje, które rozważał.

Po posiłku, babcia przeniosła się na kanapę i czytała jedną z wielu gazet, leżących pod ławą. Artur wraz z mamą przygotowywali deser owocowy, a tata odpowiadał za parzenie kawy. Mężczyzna nie miał zdolności kulinarnych, które wykraczałyby poza położenie plastra żółtego sera na przekrojonej bułkę, lub przyrządzenie mizerii, jednak kawę robił pierwszorzędną. Student wiele razy robił napój w tej samej kawiarni, z tych samych ziaren i w tych samych proporcjach, ale nigdy nie udało mu się osiągnąć takiego efektu. Idealnie mocna, delikatnie gorzkawa, przełamana niewielką ilością cukru i z perfekcyjnie spienionym mlekiem na wierzchu, wychodziła jedynie z twardych jak drewno dłoni jego ojca. Na co dzień zdystansowany i nawet odrobinę chłodny mężczyzna, okazywał swoją głęboko ukrytą, wrażliwą cząstkę właśnie w takich momentach, kiedy w pełnym skupieniu, z ledwie dostrzegalnym uśmiechem robił coś dla przyjemności swojej rodziny. Niosąc tacę z parującymi filiżankami, zawsze promieniał dumą, jakby boski aromat kawy miał stanowić ucieleśnienie jego uczuć, które nie zawsze potrafił wyrazić. Artur wziął łyk naparu, rozkoszując się wyczekiwany smakiem i spojrzał przelotnie na zebranych. Babcia, rozparta w fotelu, patrzyła na jedynego wnuka tym denerwującym, rozmarzonym wzrokiem, jakby widziała go po raz ostatni i chciała zapamiętać każdy szczegół. Mama, z pucharkiem pełnym owocowego musu, zastanawiała się na głos czy nie powinna dodać więcej cukru, zupełnie jakby wysiłek i oddanie, z jakim dbała o najbliższych, nie były dość słodkie. Tata, zapatrzony w transmisję skoków narciarskich w telewizji, częścią myśli zapewne odlatywał w kierunku jutrzejszego dnia, wypełnionego pracą. Młodzieniec nabrał w nozdrza mieszaninę domowych zapachów, z którymi wkrótce miał się pożegnać na kolejne dni. - *Kocham was.* – Powiedział w myślach do swoich najbliższych, nie chcąc mącić tej przyjemnej, gościnnej ciszy.

## Rozdział 12

Z chwilą ruszenia pociągu z dworca, całe poczucie bezpieczeństwa i domowego komfortu opuściły Artura, zostając za drzwiami wagonu. Sceneria za oknem, przesuwaną się coraz szybciej w rytm nasilającego się hałasu, obłana zimnym, jesiennym światłem, była wyjątkowo przygnębiająca. Ogołoczone z liści drzewa zdawały się rozczapierać gałęzie ku niebu w błagalnych gestach, o szybkie nadejście wiosny. Blaknąca zieleń trawy na łąkach również miała w sobie coś dołującego. Świadomość rytmu pór roku zdawała się być bezpodstawnym mitem, jakąś niepewną przesłanką. Świat, na oczach młodzieńca, umierał z braku ciepła i wyglądał zupełnie, jakby miał nigdy się nie odrodzić. Student poczuł jak zalewa go... Właściwie co? Czym było to przyprawiające o dreszcze uczucie? Tęsknota? Artur tęsknił za Nią od dawna i znał bardzo dobrze ten stan udręczonej duszy. Smutek z powodu wyjazdu? To nigdy mu się nie zdarzało. Lubił mieszkać sam, a nieustanna obecność innych osób w zasięgu głosu zawsze zaczynała go w końcu irytować. Melancholia również nie miała wobec młodzieńca ukrytego oblicza. Przez bardzo krótki moment Artur miał ochotę włożyć słuchawki do uszu i zagłuszyć dręczące go myśli, jednak powstrzymał się. Zdawał sobie sprawę, że nie da mu to spokoju i musi się skonfrontować z własnym umysłem. Chłopak czuł... Czuł... Nic. Świadomość, że nie odczuwanie niczego jest najsilniejszym i najstraszniejszym uczuciem, z jakim chłopak się spotkał, uderzyła go z siłą klubowego bramkarza. Młodzieniec wziął kilka głębokich oddechów i uspokoił rozpedzone nagle tętno. Wyrzucił tabletki. Spłukał swój jedyny sposób na spotkania z Nią w kiblu, jak przesycone alkoholem wymiociny. Zachował się jak tchórz, niezdolny do odrobiny poświęcenia, żeby przedrzeć się przez przerażające nocne mary i znaleźć Ją pośród nich. Z drugiej strony... Cóż mógł tak naprawdę zrobić? Życie przeszłością było niemożliwe, a doprowadzające do obłędu próby przemycenia jej do teraźniejszości – po prostu głupie. To było tchórzliwe. Dalsze życie, pochowanie dawnych demonów i próba rozpoczęcia wszystkiego od nowa – tym jest odwaga. - *Chciałaby, żebym nie zatrzymał się razem z Nią.* – skonstatował w duchu Artur. Ta właśnie myśl odrobinę poprawiła humor młodzieńca i pozwoliła mu przez resztę podróży na odrobinę relaksu przy muzyce.

Wysiadając z taksówki przed bramą osiedla, Artur mimowolnie uśmiechnął się. W czasie jazdy z dworca w cuchnącym samochodzie, młodzieniec naprawdę zaczął wierzyć, że może uda mu się pogodzić z Jej odejściem. Po raz pierwszy od wielu miesięcy potrafił pomyśleć o przyszłości, zbliżającej się specjalizacji, miejscu, w którym chciałby wybudować dom. Te, dla większości ludzi, zupełnie codzienne rozterki, dla studenta stanowiły odmianę tak wielką, że wydawały mu się nieomal zupełnie nowe. Napędzany świeżą motywacją, Artur chwycił mocniej walizkę, poprawił ułożenie paska plecaka na ramieniu i pomknął w kierunku swojej klatki schodowej. Drogę na czwarte piętro pokonał pieszo, nie zwracając uwagi na windę. Już w połowie drogi nałogowy palacz z trudem łapał oddech, aczkolwiek nie przeszkodziło mu to w ukradkowym śmiechu, którego nie mógł opanować. W końcu, dyszący i uśmiechnięty, Artur dotarł pod drzwi swojego mieszkania i przekręcił klucz w zamku. Za nimi czekał, siedzący na środku korytarza, Ból.

- Hej! – Zawołał wesoło. – Tęskniłeś za mną? – Dodał, kucając obok kocura i wyciągając ku niemu dłoń.

- Coś ty zrobił? – Zapytał kot spokojnym głosem, w którym wyrzut i gniew były silniejsze od szoku, który ogarnął studenta.

Mieszkanie Artura, na przestrzeni lat, było świadkiem wielu różnorodnych sytuacji. Różnokolorowe ściany poszczególnych pokoi, gdyby zdolne były do artykułowanej mowy, lub jakiegokolwiek innej formy komunikacji, po zapadnięciu zmroku mogłyby godzinami opowiadać o zaobserwowanych perypetiach. Delikatnie oświetlone nieprzyjemnym, pomarańczowym blaskiem ulicznych latarni, szeptałyby w swoim własnym, wygładzonym tynkiem języku, snując opowieści o płomiennych romansach i dramatycznych kłótniach, dzikich studenckich imprezach i smutnych spotkaniach przerażonych przyszłością młodych mężczyzn. Wymieniając te historie, ściany zapewne uznałyby, że w ich obecności wydarzyło się już wszystko. Biorąc pod uwagę, że ich świat był tak mały, nie było to dalekie od prawdy. Tamtego dnia jednak, salon doświadczył sceny zupełnie nowej. Właściciel siedział po turecku na jednym końcu kanapy, a naprzeciwko, na drugim końcu, miejsce zajmował czarny kot. Wpatrzony w siebie postaci rozmawiały, jedna głosem ścisłym i wycofanym, jakby zza niewidzialnej bariery, mającej ją chronić, druga zaś odzywała się pewnie i zdecydowanie, ale przy tym dość łagodnie, jak zdenerwowany, ale wyrozumiały ojciec.

- Postaram się zapomnieć o twoim wybryku. Rozumiem, że jest to dla ciebie szok. – Powiedział kocur, przeciągając się. – Wracając jednak do tematu... Dlaczego to zrobiłeś? – Zapytał Ból, nie spuszczając z Artura przeszywającego wzroku.

- Sny robiły się coraz gorsze. Nie dałbym rady... – Młodzieniec przemawiał z trudem, jakby na krtani usiadł mu spasiony nastolatek, zwany wstydem. – Nie dałbym rady tam wracać wiedząc, co mnie czeka. Ta krew, te obrazy, wspomnienia... Przede wszystkim wspomnienia. To wszystko strasznie bolesne. Oszalałbym.

- Uważasz się więc za osobę w pełnym zdrowiu umysłowym? – Zadrwił kocur, ponownie chichocząc. – Nie mów mi swoim o bólu. Wiem o nim wszystko. Wiem też, że nie boisz się bólu. Boisz się rzeczywistości, która cię otacza. Wszystko co widzisz, z każdym dniem coraz bardziej gnije, rozpada się, toczona ludzką gangreną. Patrzysz z obrzydzeniem na świat zainfekowany najniebezpieczniejszym wirusem, którym jest Homo sapiens. Boisz się, bo nie potrafisz temu zapobiec. Boisz się, bo masz wrażenie, że tylko ty to dostrzegasz, a nie chcesz potulnie maszerować w otchłań z tym potokiem ślepych idiotów. Mimo to, prąd cię porywa. – Ból przerwał tyradę, aby pozwolić Arturowi na przyznanie przed samym sobą, że kot miał absolutną i niezaprzeczną rację. Młodzieńca znów napadły mdłości, a usta wypełnił smak żółci. – Z tego też powodu, jesteś głupi. Kompletnie durny. Jak wyrzuciłeś te tabletki myślałem, że ci twarz rozszarpie, kiedy tu wejdiesz. Naprawdę. Masz ucieczkę. Masz lepszy świat. Lepszy. Świat. To twój mózg. Możesz w nim robić co chcesz. Wszystko! Taki potencjał... – Ton głosu kota, z niemal dostojnego, zaczął się zmieniać w maniacki. Słowa wylewały się z jego pyska obsesyjnie wylewanym potokiem. Ból produkował się, nakręcając coraz bardziej, ale Artur na moment odpłynął myślami kilkanaście minut wstecz. Z jakiegoś powodu widział niedawno minione sceny z perspektywy osoby trzeciej, obserwując siebie

samego, zrywającego się z klęczek w szoku. Patrzył na zdezorientowanego osobnika, który przypominał dziecko, któremu rodzice oznajmili, że Święty Mikołaj nie jest prawdziwy. Podążył za swoją rozedrganą sylwetką na balkon, z lekkim zażenowaniem przyglądając się swoim drżącym rękami, nieudolnie starającym się zapalić papierosa, chwiejącego się pomiędzy suchymi wargami. Kot również towarzyszył młodzieńcowi, wskoczywszy na wąską balustradę. Artur nie potrafił wytłumaczyć, dlaczego postanowił zrzucić stworzenie z czwartego piętra. Prawdopodobnie jego spanikowany umysł uznał to rozwiązanie za najbardziej rozsądne, w obliczu zwierzęcia przemawiającego do niego wielokrotnie złożonymi zdaniami. Niestety, zanim zdążył wychylić się za barierkę balkonu, aby obejrzyć efekty dokonanej zbrodni, Ból siedział już na parapecie za jego plecami, prosząc uprzejmie, a jednocześnie dobitnie, aby więcej nie próbował tak brutalnych rozwiązań wobec zaistniałej sytuacji. Chłopak spojrzął na papierosa, który wypadł mu z ust. Żar uderzył o płytki balkonu, rozpryskując się milionem iskier, które rozjarzyły się czerwono, jak przed chwilą jego nadzieja, że jednak śni i podobnie jak ona, zgasły momentalnie.

Artur błąkał się niespokojnie po pomieszczeniach mieszkania, próbując opanować równie rozbiegane myśli w jego głowie. Ból przechadzał się za nim leniwie, przyglądając się ciekawie i z pewnym rozbawieniem, malującym się na czarnym pyszczku. Chłopak wodził na wprost ślepych wzrokiem po nienaruszonych miskach z jedzeniem dla kota. Nieświadomie dostrzegał brak zadrapań na meblach i firankach. W końcu uświadomił sobie, że zapomniał wyposażyć dom w kuwetę, a mimo tego, nigdzie nie było śladu zabrudzeń. Student zatrzymał swój pijany pochód w salonie i opadł ciężko na sofę. Oszalał. W końcu stracił zmysły, a jego umęczony mózg poddał się halucynacjom. Nie było innego wytłumaczenia i nie było sensu się oszukiwać. Ból wskoczył na siedzenie i z gracją usiadł obok młodzieńca, wlepiając w niego żółte ślepie.

- Odpocznij. Powinieneś się przespać. Przydałyby ci się tabletki...

Wypowiedź kota przerwał odgłos SMS-a. Artur wziął do ręki telefon. Na ekranie wyświetliło się krótkie „Hej, co u Ciebie?“, a nad wiadomością imię „Asia”. Młody mężczyzna poznał tę dziewczynę na imprezie w akademiku. W zasadzie nie była to szczególnie interesująca zabawa, jednak następnego dnia kobieta zaczęła do niego pisać. Nie pamiętał, kiedy podał jej swój numer. Artur bardzo szczątkowo pamiętał wygląd Asi. Kojarzył ciemne włosy i figlarne oczy, wpatrzone w jego twarz, ale niewiele więcej. Reszta zlewała się z wieloma innymi dziewczynami, z którymi tańczył tamtej nocy, zamazywała się i rozpuszczała w alkoholu oraz błyszczących światłach stroboskopu. Nawiązana przez nich wirtualna rozmowa bardzo szybko przyjęła postać flirtu. Student przypominał sobie, że po kilku dniach tej mocno dwuznacznej wymiany zdań, zawładnęły nim wspomnienia o Niej i związane z tym wyrzuty sumienia. Postanowił wtedy urwać kontakt z entuzjastycznie nastawioną dziewczyną. Asia skutecznie ukryła swoje zdziwienie pomieszane z rozczarowaniem, pod wiarygodnym płaszczem zrozumienia. Nie zamienili słowa od tamtej pory. Do dzisiaj.

- Naprawdę powinieneś odpocząć. – Powtórzył Ból. – Dobrze ci to zrobi.

- Odpocząć... - Rzucił gdzieś w przestrzeń Artur, po czym wystukał w polu tekstowym telefonu kilka słów i przez chwilę wpatrywał się w ekran. Po kolejnym dźwięku

powiadomienia, chłopak energicznie wstał z kanapy i poszedł do łazienki. Ból przekrzywił puchaty łepok i przeciągnął się.

- Nieładnie tak ignorować swojego rozmówcę. – Powiedział lekko zirytowany kot. Jedyłą odpowiedzią był szum wody w kranie. – Powinniśmy chyba porozmawiać o całej tej sprawie, nie uważasz? – Nalegał zwierzak. W tym momencie młodzieniec otworzył drzwi, nagi od pasa w górę i pachnący wanilią oraz tytoniem. Zupełnie nie zwracając uwagi na Ból, podszedł do szafy i zaczął szperać w stosach poskładanych równo ubrań. – Wybierasz się gdzieś? – Zapytał nieco głośniejszym głosem kocur. – Hej! Słuchasz mnie? – Milczący Artur otworzył drugie skrzydło szafy i zdjął z wieszaka czerwoną koszulę w kratę. W dalszym ciągu nie zwracając uwagi na prychnące zwierzę, powoli i dokładnie podwinął rękawy ubrania i założył je na siebie, z namaszczeniem zapinając kolejne guziki. – Dokąd idziemy? – Drażył nieco przyjemniejszym głosem Ból. Młody mężczyzna również to pytanie pozostawił bez odpowiedzi. Przejrzał się w lustro, poprawił kołnierzyk i zadowolony z efektu, założył trampki. Chwycił kurtkę i przekręcając klucz w zamku, jeszcze raz usłyszał za sobą kota. – Negowanie mojej obecności nie sprawi, że przestanę istnieć. – Powiedział zupełnie już spokojnie Ból. – Nie możesz wiecznie mnie ignorować.

- Mam zamiar cię zaskoczyć. – Wyszeptał Artur, po czym wyszedł z mieszkania.

## Rozdział 13

Artur palił papierosa przed pubem, w którym umówił się z Asią. Słońce schodziło za dachy poszarzałych kamienic, jak stetryczały starzec, drżąc przy każdym pokonywanym stopniu dachów. Jego złotawy kolor powoli przechodził w niezdrowy pomarańcz, by w końcu skąpać się ledwie widocznym rąbkiem w głębokiej czerwieni. Zahipnotyzowany tym zwyczajnym, a jednocześnie dziwnie przygnębiającym widoku, młodzieniec powrócił myślami do gadającego futrzaka w jego mieszkaniu. Był zmęczony. Przeszłość wdzierала się do jego umysłu wszędobylskimi mackami, które modelowały jego terażniejszość i przekształcały rzeczywistość do postaci tego depresyjnego szaleństwa. Student doszedł do wniosku, że czas z tym skończyć. Wyrzucił tabletki. Zrobił pierwszy krok. Musiał postawić kolejny i wiele następnych, zając się czymś. Lub kimś. Zauroczona jego osobą dziewczyna wydawała się idealnym rozwiązaniem. Stukot obcasów na nierównych, betonowych płytach przyciągnął uwagę Artura. Chłopak wyrzucił peta, przydepnął go butem i uśmiechnął się. Asia, roześmiana szczerze, zmierzała w jego kierunku, ubrana w niezwykle dopasowaną, pistacjową sukienkę oraz krótką skórzaną kurtkę. Czarne szpilki podkreślały kształt jej zgrabnych nóg i dodawały wdzięku jej drobnym, acz zdecydowanym krokom.

- Cześć! – Powiedziała kobieta i ucałowała chłopaka w policzek, zostawiając na nim odcisk różowej szminki.

- Hej. – Odrzekł Artur, mimowolnie wciągając do nozdrzy zapach jej słodkich perfum. – Wchodzimy?

- No jasne! Podobno miałeś postawić mi piwo. – Rzuciła Asia i puściła studentowi oczko. Nie czekając na odpowiedź poszła w kierunku drzwi, kręcąc zalotnie opiętymi materiałem sukienki pośladkami.

W pubie nie było wiele osób. Pojedyncze stoliki, skąpane w przyjemnym półmroku, gościły podпиты studentów i mężczyzn w średnim wieku, pragnących choć odrobiny wytchnienia od klótni w domu i zamętu w pracy. Z głośników sączyły się nie nachalnie znane utwory, głównie rockowe. Para znajomych podeszła do lady baru, spoglądając na listę trunków, rozpisaną kredą na czarnych tablicach. Młody kelner, odstawiwszy wycieraną przez siebie szklanę, uśmiechnął się do nich.

- Co dla was? – Zapytał.

- Piwo. – Powiedziała zdecydowanie Asia.

- Dwa piwa. – Skorygował Artur. Dopiero teraz przyjrzał się dziewczynie. Miała okrągłą twarz, otoczoną aureolą brązowych włosów, które spływając po ramionach, obejmowały również jej dekolt. Mały nos nad wąskimi ustami był leciutko zadarty. Ciemne oczy skierowały się w jego stronę, na moment rozpalając jakąś iskrę w swoich odmętach. Kobiety tej nie można było zaliczyć do tych o niewinnej, dziewczęcej urodzie, określanych zazwyczaj jako „śliczne”. Przymiotnik „piękna” również wydawał się mało adekwatny. Asia należała do

grupy przedstawicielek płci żeńskiej, którą z braku lepszego sformułowania dla subtelnej i mało pociągającej urody, nazywano „uroczymi”. Z jakiegoś jednak powodu dobrze wiedział, co chciał z nią zrobić tamtego wieczoru. Być może były to dwa powody ściśnięte stanikiem, którego falbanki, pozornie przypadkiem, wyglądały zza rąbka sukni lub kolejne dwa, przykuwające jego uwagę, gdy podążał za znajomą do baru. Najprawdopodobniej była to ta osobliwa, kobieca magia - połączone zaklęcia wyzywającego stroju, delikatnego makijażu i afrodyzjaku perfum, tworzące trudny do odparcia urok skradającego się pożądanego. – I dwie ruskie heroiny. – Dodał młodzieniec. Barman uśmiechnął się pod nosem, szykując szklanki i kieliszki.

- Ruskie heroiny? – Zapytała Asia, starając się zachować powagę lecz uśmiechając się kącikiem ust w cieniu ekscytacji.

- Absynt i kahlua. – Zaczął tłumaczyć Artur, przybierając ton wyrozumiałego mentora. – Likier zostaje na dnie, mocny alkohol unosi się wyżej. Jak już dostaniemy kieliszki, trzeba zamoczyć w nim palec wskazujący, potem wypić wszystko na raz i zaciągnąć się oparami z palca, jak papierosem. Spodoba ci się. – Dodał student, puszczając dziewczynie oczko.

- Ojej... Chcesz mnie upić? – Zapytała zalotnie kobieta, opierając się łokciem o ladę i krzyżując nogi w kostkach.

- Ja bym nigdy. – Odrzekł uśmiechnięty młodzieniec. – No to zdrowie. Do dna! – Zarządził, podsuwając Asi jej kieliszek.

- Na zdrowie. – Dodał barman, znając dobrze genezę powstania tego zielonego shota, podobnie jak wszystkich innych wymyślnych drinków. Pracując w swoim zawodzie dowiedział się bardzo szybko, że mężczyznom wystarcza wódka w odpowiednich ilościach. Kolorowe alkohole oraz ich mieszanki zostały stworzone, by łatwiej dostać się do kobiecej bielizny. Etiologia ta towarzyszy większości męskich wynalazków...

- Boże, jakie to jest pyszne! – Zawołała Asia, ocierając łzy i powstrzymując kaszel wywołany trzecią ruską heroiną.

- Mówiłem ci, że nie będziesz żałować tego wieczoru. – Rzucił Artur, czując każdy centymetr przełyku, pokonywanego przez palący płyn. – Mam jeszcze sporo takich ciekawostek do pokazania.

- Chcesz mi coś jeszcze pokazać? – Zapytała dziewczyna, trzepocząc rzęsami nad coraz bardziej mętym wzrokiem.

- Oczywiście! Jest jeszcze palona pigwa, Jägerbomba, terminator... - Ciągnął młodzieniec, odbiegając od tematu i skłaniając towarzyszkę do gonienia go.

- Och, nie o tym mówię! – Zaśmiała się kobieta. Młody mężczyzna poczuł, jak Asia porusza niespokojnie nogami pod blatem stołu.

- No dobrze... Chcesz zobaczyć jeszcze jakiś ciekawy pub, albo... - Wymyślał Artur, patrząc kątem oka na usta dziewczyny, które chciała wykrzywić w grymasie lecz zdołała jedynie nerwowo je oblizać. - ...jakieś miejsce?

- Mam na myśli jedno miejsce, które chciałabym zwiedzić.

- Jakie? Noc jeszcze młoda, zabiorę cię gdzieś. – Ucieszył się młodzieniec.

- Na pewno domyślasz się, o jaki kierunek mi chodzi. – Szepnęła kobieta, podpierając brodę jedną dłonią, drugą zaś wyciągając w kierunku ręki studenta. Nie uciekał przed jej dotykiem. Pozwolił jej gładkim palcom wędrować po jego własnych. Piwo i absynt nadały większej głębi oczom dziewczyny, pogłębiły jej dekolt i ograniczyły realia wypełniającego się pubu do siedzącej przed nim sylwetki. Czuł bijące od niej ciepło, widział swoje łóżko pod jej rozmarzonymi powiekami oraz siebie w nim. Widział ich razem w scenach z najbardziej kontrowersyjnych filmów pornograficznych, spoconych, zdyszanych i do reszty pochłoniętych eksploracją swoich młodych, wygłodniałych ciał. Chciał zaspokoić jej pragnienia, chciał... Chciał, żeby ktoś dzięki niemu poczuł się dobrze.

- Chyba będę musiał zakuć cię w kajdanki. – Odezwał się słodko.

- Myślisz, że jestem niebezpieczna?

- Nie wiem czy niebezpieczna, ale na pewno niegrzeczna.

- Och, ja jestem bardzo grzeczna! – Obruszyła się Asia. – Robię kanapki swojemu chłopakowi! – Roześmiała się.

- Chłopakowi? – Podpitym umysłem młodzieńca informacja ta nie dała rady wstrząsnąć. – Nic nie mówiłaś...

- Nie mówiłam, bo nie warto o tym wspominać. Wróćmy do tematu... - Zarządziła dziewczyna, nachylając się nad blatem stołu. Artur nie protestował. Skoro ona nie przejmowała się swoim partnerem, to dlaczego on miałby to robić? Sekretny romans nie mógł mu zaszkodzić. Właściwie to mógł, ale problemy związane z taką decyzją mogły jedynie odwrócić jego uwagę od innych problemów. Student zaczął zbliżać się do kobiety, centymetr po centymetrze. Ich usta zdążyły ku sobie powoli i ostrożnie, ale zdecydowanie, jak wystraszone zwierzę, przełamujące instynkt samozachowawczy, by chwycić w spragnione pożywienia szczęki kawałek mięsa z ręki człowieka.

- Nazwałbym cię obrzydliwym hipokrytą... - Głos Bólu zadudnił w głowie Artura z taką mocą, że młodzieniec prawie podskoczył na krześle. – Wydaje mi się jednak, że wiem co planujesz. – Chłopak otworzył oczy. Czarny kot siedział na stole wśród pustych kieliszków i szklanek, dokładnie pomiędzy nim, a Asią. Zwierzę przyglądało się dziewczynie, machając nerwowo długim ogonem. – Zdrada. Dużo kiedyś o tym myślałeś, prawda? Zdrada, niewierność, brak oddania. Lekceważenie cudzych uczuć i oddawanie się swoim instynktom, pod wpływem pierwotnego egoizmu. Te prymitywne części ludzkiego mózgu w dalszym ciągu przeważają nad wyższymi ewolucyjnie elementami. Niesamowite... I do reszty

tragiczne. To właśnie sprawia, że ten świat jest tak zepsuty. To sprawia, że jesteś nieszczęśliwy. – Stwierdził Ból, odwracając na Artura wzrok. Młodzieniec rozejrzał się wokół. Cały pub wydawał się zostać zalany jakimś żelem lub zatopiony w parafinie, jak preparat histopatologiczny. Barman z tacą pełną naczyń poruszał się w zwolnionym tempie, jak na tanim filmie akcji. Piwo lało się z kranu leniwym strumieniem, jego złociste krople zdawały się w ogóle nie przemieszczać. Asia zastygła, gotowa do pocałunku, kilka centymetrów od twarzy młodzieńca. Zdezorientowany student powrócił oczami do kocura. – Nie patrz tak na mnie. Ty również się nią brzydzisz. Jest idealnym przykładem bakterii infekującej społeczeństwo. Wiesz, co chcesz zrobić. Wiedziałeś to od momentu, w którym tu weszliście. Widzę to w twoich oczach... - Uśmiechnął się Ból, tym straszliwym, nienaturalnie szerokim uśmiechem. – Widzę to dokładnie. Jak romantycznie idziecie za rękę do twojego mieszkania. Jak chichoczenie i całujecie się szepcząc, co sobie nawzajem zrobicie, kiedy przestaną was ograniczać te przekłete ubrania. Och... Widzę jak przechodzicie koło ciemnych bram. Pełno ich w Łodzi. Cały czas się słyszy o napadach, zwłaszcza na młode kobiety. Prawie czuję jak chwytasz ten nóż... - Artur kompletnie bezwiednie powędrował dłonią do kieszeni kurtki. Jego palce natrafiły na zimny, twardy kształt. Nóż motylkowy. Nagle młodzieniec bardzo wyraźnie przypomniał sobie jak nabył go w jakimś niewytłumaczalnym przyływie zakupoholizmu. Niewytłumaczalnym? Może podświadomie dobrze wiedział, po co go kupuje. Być może właśnie dla tej chwili... - Wiesz, że ma chłopaka. Nikomu nie powiedziała, że idzie się z tobą spotkać. Skłamała, że wychodzi z koleżankami lub wymyśliła inne głupstwo. Nikt cię nie będzie podejrzewał. Możesz ze stoickim spokojem przyprzeć ją do chłodnego muru, wpleść palce w jej pachnące włosy. One tak cudownie pachną... Pocałować jej szyję, nasycić się jej smakiem... I wbić nóż. Głęboko, do tchawicy, żeby nie mogła krzyknąć. Wbić po drugiej stronie szyi, żeby nie ochlapała cię krew z rozciętej tętnicy. Potem możesz ułożyć jej ziębnące ciało na ziemi, zabrać cenne rzeczy z torebki, żeby wyrzucić je gdzieś albo spalić i pójść do domu. – Ból opowiadał, jakby już widział tę sytuację. Jego wzrok był nieobecny, owładnięty rozkoszą i ekstatycznym upojeniem. – Wiem, że tego chcesz. Pragniesz tego. Pragniesz ją...

- Zabić. – Wyszeptał Artur.

- Co powiedziałeś? – Zapytała Asia, lekko zdezorientowana i odrobinę poirytowana brakiem dotyku na jej wilgotnych ustach.

- Przepraszam, ja... Muszę iść do toalety. – Wydusił z siebie młodzieniec, wstając z krzesła.

- Iść z tobą? – Zapytała nadal pełna nadziei dziewczyna.

- Nie, zaraz wracam. – Uśmiechnął się krzywo student, po czym zabrał kurtkę i poszedł w kierunku męskiej łazienki. W połowie drogi, kiedy wyszedł z pola widzenia towarzyszki, zmienił kierunek i wybiegł z pubu prosto w objęcia, czarnej jak futro pewnego psychopatycznego kota, nocy.

## Rozdział 14

Artur wbiegł zdyszany do mieszkania. Wypite drinki delikatnie bujały schodami, które starały się uciec spod jego stóp. Nie zdziwił go widok czarnego kota, siedzącego wyczekująco na kanapie w salonie.

- Dlaczego uciekłeś? - Zapytał Ból - To było bardzo nieeleganckie z twojej strony. Mógł ci się trafić bardzo ciekawy wieczór. - Mruczał kocur, rozciągając się wygodnie na poduszkach.

- Ciekawy wieczór? - Burknął chłopak - Chyba inaczej definiujemy te pojęcia. Morderstwo nie należy do moich rozrywek. - Ciągnął młodzieniec, zdejmując kurtkę i buty.

- Skąd możesz to wiedzieć, skoro nigdy nie zabiłeś? - Zapytał od niechcienia Ból, przewracając się na plecy i wyciągając przed siebie łapki. - Wiem, że wiele razy chciałeś zdusić życie w dłoniach. Nie tylko swoje.

- Każdy czasami ma głupie myśli, zwłaszcza w gniewie. - Usprawiedliwiał się Artur, przechodząc do kuchni, gdzie w roztargnieniu wybierał kubek, spośród ich batalionu w szafce nad zlewem. - Poza tym, nie jesteś prawdziwy i nie widzę dłużej sensu tej rozmowy.

- To dlaczego ją prowadzimy? - Zapytał kot, siedzący nagle na kuchennym blacie - Jestem równie prawdziwy, co ten kubek, który ściskasz niczym opokę realności w świecie iluzji. - Zadrwił zwierzak, ocierając się przy tym całym ciepłym ciałem o dłoń studenta.

Chłopak nie odpowiedział. Nalał wody do naczynia i upił kilka łyków, po czym skierował się do salonu. Nieco chwiejny krok doprowadził go do fotela, w którym usiadł ciężko. Zaledwie podniósł oczy znad trzymanego kubka, Ból leżał już przed nim na blacie ławy. Student westchnął i stłumił beknięcie. Alkohol uderzył mu do głowy, uderzając przyjemnie w cały pokój miękkimi falami otępienia.

- Nie mogę tak po prostu kogoś zabić. - Powiedział chłopak, przymykając oczy. - Nie odpowiadam za osądzanie kogokolwiek, a tym bardziej za wymierzanie kar.

- Dlaczego? - Zapytał kocur, wlepiając w gospodarza jadowite ślepie.

- Nie jestem sędzią, adwokatem ani nawet jebanym strażnikiem miejskim. Nie znam się na kodeksie karnym. - Warknął chłopak, jakby kolejny raz tłumaczył tępemu dziecięciu, dlaczego ogień jest gorący.

- Uważasz, że wymyślone zapiski są naprawdę tak istotne? Jak ma się tusz na papierze do żyjącego organizmu? Te sztuczne regulacje są równie abstrakcyjne, co śmieszne. Kto upoważnił jakiegokolwiek człowieka do dyktowania ci, jak masz żyć?

- Prawo narzucają silni - wybrani przez społeczeństwo przedstawiciele narodu. Na tym polega demokracja. - Odparł młodzieniec, pochylając się w stronę kota. - Bez tego zapanowałby chaos.

- Prawo narzucają bogaci tchórze, by chronić swoje wpływy i pozycje. - Syknął Ból, jeżąc sierść. - Nie są silni, ale zdesperowani, by przetrwać. Niebezpiecznie, owszem, ale bez prawa, którego tak kurczowo się trzymają, nie przeżyliby dnia.

Artur chciał odeprzeć argumenty zwierzaka, ale pozostał milczący. Nie wiedział czy usta zamknął mu alkohol, czy może przebłysk jakiejś anarchicznej logiki w wywodzie kota.

- Wbrew temu, co mówisz, nie każdy ma w sobie żądzę krwi. Ludzie teraz potulnieją, tłamszą swoje wewnętrzne wilki i zamieniają się w owce. Tępe, stadne, mięciutkie kłębki białego homogenatu, przeznaczonego do eksploatacji.

- Nie... Szepnął Artur - Nie mógłbym...

- Mógłbyś. - Mruknął Ból - Jesteś samotny. Głodny. Czujesz swoją wyższość. I jesteś zły. - Kot wyszczerzył białe ząbki, wykrzywiając pyszczek na kształt uśmiechu - Bardzo zły.

- Pomyślałeś o konsekwencjach? - Student potrząsnął energicznie głową - Mogę być ponad innymi, ale na pewno nie będę ponad więzieniem. Tam są dużo gorsze wilki ode mnie.

- Gorsze, ale nawet bardziej tępe niż owce dookoła nich. To bezmyślne bestie. Poza tym, Ty nie umiesz żyć w stadzie. Nie podoba ci się ten świat. Mimo to, odrzuciłeś też świat snów... - Ból przerwał tyradę i syknął, po czym kontynuował - W tej sytuacji, nie widzę innego wyjścia, jak tylko przeżycie na jawie chociaż kilku chwil, według własnych zasad. Bez kompromisów. Jak wilk. - Podsumował kocur, po czym wskoczył Arturowi na kolana, ułożył na nich wygodnie i, mrużąc, zasnął, pozostawiając młodzieńca z biegnącymi wściekłą watahą myślami.

## Rozdział 15

Poranek, dzięki przebłyskom potrzeby nawodnienia, był dla Artura łaskawy. Kiedy się obudził, Ból jeszcze spał i młodzieniec mógł w spokoju milczącej samotności przygotować się do zajęć na uczelni. Podczas parzenia kawy, palenia papierosa i mycia zębów, student starał się nie myśleć o dniu wczorajszym. Asia nie odezwała się przez noc, nic złego się nie wydarzyło, a interwencja kota w pubie powstrzymała Artura przed pogardzaniem sobą bardziej, niż dotychczas. W zasadzie, Ból mógł stanowić radykalny, aczkolwiek skuteczny... System ostrzegawczy. Jeżeli zignorować anarchistyczno-sadystyczne zapędy kocura, jego obecność mogła przynieść sporo korzyści. To pomyślawszy, Artur uśmiechnął się, pogłaskał delikatnie śpiący kłębek czerni i zaczął ubierać się do wyjścia.

Kierując się w stronę szpitala, zmotywowany dobrym humorem chłopak włączył na telefonie "Africa" zespołu Toto. Ponadczasowy klasyk sączył się przyjemnie ze słuchawek do jego uszu, kiedy przechodził przez park. Chłód ogołocił już drzewa z większości liści, ale Artur lubił zimę, więc unosił zachwycony wzrok ku szaremu niebu, poprzecinanemu czarnymi gałęziami kasztanów, nucąc, entuzjazmem. Refren rozbrzmiał w całej swojej kompozycyjnej perfekcji. Student śpiewał teraz na głos, szykując się do kulminacyjnego momentu. Zaczerpnął głębokiego wdechu...

- Aaafricaaaa! - Artur usłyszał w swoich uszach przedzierający się przez muzykę znajomy głos. Rozejrzał się wokół. Ból siedział na ławce, śpiewając dalej. Młodzieniec, niewiele myśląc, dołączył do kota. Po zakończeniu refrenu, zwierzak odezwał się do niego.

- Wyszedełś tak bez "dzień dobry" ani "do widzenia", ani "pocałuj mnie w dupę". Żadnej kawy o poranku. Jestem rozczarowany. - Powiedział przyjaźnie Ból.

- Przepraszam, poprawię się. - Zaśmiał się chłopak. - Chodź, przynajmniej z tobą będę mógł porozmawiać. Może nie zanudzę się na śmierć. - Zarządził. Kocur zeskoczył z ławki i zaczął maszerować koło młodzieńca, mrucząc.

Dotarłszy do szpitala, Artur skierował się do szatni, gdzie czekała już większa część jego grupy. Znajomych nieco zdezorientował dobry humor studenta.

- Co ty się tak cieszysz? - Zapytał z zawiścią Krzysiek, podając mu rękę.

- Cieszysz się, że nie wygląda jak ty. - Powiedział Ból, siadając na ławce oddzielającej szatniarza od studentów.

- Czemu mam się nie cieszyć? - Odparł Artur, tłumiąc chichot. - Przeżyłem weekend, mam dwie ręce i dwie nogi. Widzę was znowu! - Kłamał młodzieniec, starając się nie patrzeć na czarnego kota, którego obecność nie zwracała niczyjej uwagi.

- Jasne. Pewnie ciupciałeś. - Zagadnął Kacper.

- Twoją uroczą mamę i wyuzdaną siostrę. Najpierw na zmianę, potem obie na raz. Mówiły, że jest lepszy od ciebie. - Kocur dobitnie wyrażał swoją dezaprobatę dla poniedziałkowych żartów. Artur nie przejmował się tym. Starał się jedynie nie roześmiać komuś w twarz.

Jak zwykle nudne seminarium minęło Arturowi niezwykle szybko. Obserwował Ból, który przechadzał się po sali wykładowej. Kot z gracją skakał pomiędzy pulpitemi krzeseł, wspinał się na szafki i byстрыm wzrokiem przyglądał gołębiom za oknami. Pozostawał przy tym kompletnie niezauważony przez asystenta oraz studentów, nawet kiedy machał ogonem tuż przed ich oczami. Napawało to Artura dziwną fascynacją. Kilka razy miał nawet wrażenie, że śni, jednak odsuwał od siebie tę myśl. Widzialny jedynie dla niego cyniczny zwierzak był zbyt ciekawą odmianą beznadziejnie monotonnego świata, aby spychać go do sfery nocnych mar. Mimo wszystko, młodzieniec obawiał się, że nagle ktoś potrząśnie nim i powie...

- Obudź się. - Szepnął kocur, wlepiając w chłopca ślepią.

- Obudź się. Idziemy na oddział. - Powiedział Kacper. Artur zadrżał pod dotykiem kolegi, jednak szybko odzyskał rezon, uśmiechnął się i wstał z krzesła.

- Jak się pani nazywa?

- Józefa Kocimska.

- Ile ma pani lat?

- O boże! Będzie zaraz siedemdziesiąt sześć!

- Dobrze pani wygląda, jak na ten wiek! Dlaczego jest pani w szpitalu? - Prowadzenie wywiadu z pacjentami nigdy nie należało do ulubionych zajęć Artura. Zwłaszcza, kiedy na pytania odpowiadały starsze kobiety, które wplatały w wypowiedzi niepotrzebne dygresje oraz nudne uwagi lub wspominały swoje dzieciństwo, kiedy ludzie uczciwie umierali koło czterdziestki i nikt nie słyszał o rakach od chemii w kebabach. Tamtego dnia jednak, student zaangażował się bardzo i z dużą dozą dobrych manier zadawał pani Józefie kolejne pytania.

- Od kiedy ma pani te bóle dłoni? - Dociekał cierpliwie.

- Oj boże... Jak pamięć sięga, to łupało mnie. - Paplała staruszka, szperając myślami w zbiorach wspomnień, gdzieś pomiędzy poletkami kapusty, a cieleniem się krów.

- Wiem, że... - Zaczął student.

- Mogłaby pani opowiedzieć mi ze szczegółami, jak na własne oczy widziała pani erozję glacialną, ale do rzeczy, proszę. - Dokończył Ból, siedzący teraz obok pacjentki i wpatrujący się w nią z przekrzywionym łepkiem.

- No dobrze, a czy bierze pani jakieś leki przeciwbólowe? - Kontynuował student, ignorując kota.

- Doktor coś tam wypisał, ale wzięłam i nie pomogło. A sąsiadka mówiła, że od tego się dziury w brzuchu robią.

- Ile razy pani brała te tabletki?

- No raz. Mówię przecie! - Prychnęła kobieta.

- Raz, to możesz się powiesić, żeby przestało boleć. Chociaż myślę, że i to potrafiłabyś spieprzyć. - Syknął kocur, jeżąc sierść.

- Ciii! - Zganił zwierzaka Artur. Myślał, że zrobił to dyskretnie, jednak kątem oka zauważył skonsternowane miny znajomych.

- Pan jest doktorem? - Zapytała pacjentka z nieufnym wzrokiem.

- Nie. Mówiłem, że jesteśmy studentami i...

- Ja się na nic nie zgadzałam! - Krzyknęła pani Józefa, miętoląc nerwowo kołdrę w chudych palcach. - Miał mnie leczyć doktor! Ja mam swoje lata i wnuki do wychowania! Gospodarstwo na mojej głowie! - Grzmiała pacjentka, trzęsąc obwisłymi policzkami.

- Gdybyś nie była taką spróchniałą egoistką, już dawno byś patriotycznie zdechła i przyjęła rolę kompostu. - Miauczał gniewie czarny kot, przęcając grzbiet.

- Przepraszam panią bardzo. - Wydukał Artur. - Możecie dokończyć? - Zapytał znajomych.

- Wszystko w porządku? - Zapytała Basia.

- Nie. Muszę udawać uprzejmość przed tym starym workiem mięsa na skraju daty przydatności do użycia. W dodatku, jestem otoczony bandą idiotów, których najchętniej bym obdarł ze skóry, poćwiartował i zaserwował w uczelnianej stołówce, dla reszty kretynów. Tobie, chciałbym wyfiletować piersi i zaszyć usta. - Ból syczał, chodząc dookoła dziewczyny. Młodzieniec uśmiechnął się głupawo, spoglądając mimowolnie na usta i dekollet Basii, odwrócił i wyszedł z sali, powstrzymując się od biegu.

Artur szybkim krokiem zmierzał do szatni, bezwiednie wodząc wzrokiem po korytarzu i zaglądając do otwartych sal chorych. Gdziekolwiek spojrzał, tam dostrzegał czarny kontur, podążający za nim.

- Czasami naprawdę niewiele się od nich różnisz. - Mówił Ból, którego głos dzwonił studentowi to w lewym, to w prawym uchu. - Masz w sobie mnóstwo złości i całkowity brak woli do działania.

- Cicho. - Szepnął Artur.

- Nie, nie uciszysz mnie. Miałem. Nadzieję, że wczoraj sobie coś wyjaśniliśmy. Chcę ci pomóc coś zmienić, ale nie zrobię nic za ciebie. Tchórze.

- Cicho bądź! - Powiedział chłopak nieco głośniejszym głosem. Zdziwiony wzrok pielęgniarki niemal wbił go w ścianę.

- Trzeba uratować tych ludzi przed nimi samymi, przed słabością i brakiem cech godnych przekazania. Uratować ciebie przed nimi i ich wpływem. Nawet, jeśli oznacza to wybiórczą eksterminację.

- Jesteś szalony! - Wykrztusił Artur.

- Po prostu nie boję się mówić tego, co myślę. Gdyby wszyscy wyrażali swoje zdanie bez ograniczeń, czy uznałbyś cały świat za szalony? A nawet jeśli... Czy byłbyś daleki od prawdy? - Zapytał Ból, stając na leżance przy ścianie i patrząc prosto na młodzieńca. - Szaleństwo przynajmniej, w jakimś stopniu, usprawiedliwiłoby to, że tkwisz tu bez Niej, beczynnienie.

- Zamknij się! - Ryknął student.

- No, w końcu jakiś ogień w tych oczach! - Ucieszył się kot. - Teraz wytłumacz połowie oddziału, dlaczego krzyczysz na kota. - Artur rozejrzał się dookoła, dostrzegając wpatrzonych w siebie oczy pielęgniarek, pacjentów i jednego znudzonego lekarza. Chłopak szybkim, zdecydowanym krokiem poszedł do szatni, szukając w międzyczasie numeru do ojca Walentego.

## Rozdział 16

- No witam. - W słuchawce odezwał się pogodny głos. - Miałem dziś do ciebie dzwonić. Co słyszać?
- Dzień dobry, proszę... - Artur zawahał się. - Walenty. Nie jest ze mną najlepiej. - Powiedział, idąc wzdłuż zatłoczonej ulicy, spoglądając co chwila na drepczący koło niego Ból. - Możesz rozmawiać?
- Moment. - Odparł ksiądz. Przez chwilę w telefonie słysząc było kroki, spotęgowane echem jakiegoś ciasnego pomieszczenia, zapewne klatki schodowej. Następnie odgłos otwieranych ze zgrzytem drzwi i kilka dużo cichszych kroków. W końcu kapłan wziął głęboki wdech, prawdopodobnie zaciągając się papierosem. - Jestem. Też zapal i opowiadaj. Młodzieniec zastosował się do rady, wypuszczając z płuc kłęby szarego dymu. Zdażył już dojść do parku. Wypatrzył ławkę, na której rano zastał kocura i usiadł na niej, kładąc obok siebie plecak. Ból położył się obok, nadstawiając uszu.
- Nie jest ze mną najlepiej. - Powtórzył student. - Mam wrażenie, jakby ktoś za mną chodził. - Ktoś cię prześladuje? Boisz się?
- Nie, nie boję. - Powiedział Artur, ignorując prychnięcie kota.
- To jakaś osoba? - Dopytywał Walenty.
- Nie do końca. Bardziej... Głos, który podpowiada mi bardzo złe rzeczy. - Głos studenta był niepewny. Zdawał sobie sprawę, że brzmi jak szaleniec. Do kogo jednak miał się zwrócić?
- Ranisz mnie. - Skomentował Ból.
- Słyszysz głos? - Ksiądz był zupełnie poważny. Tak przynajmniej brzmiał. - To jakiś znajomy głos? Możesz go komuś przypisać?
- Nie jest znajomy, ale... Wiem do kogo należy.
- Chyba rozumiem, ale musisz mnie upewnić. Artur, bądź ze mną szczery, to spróbuję ci pomóc. - W głosie Walentego było coś, czemu chciało się zaufać, zawierzyć i dostać w zamian jakąś tajemną prawdę, niosącą pocieszenie. Być może była to zasługa zawodu lekarza, być może kapłaństwa...
- Być może chcesz być jak ci katolicycy durnie. - Zadrwił Ból. - Ale nie jesteś i nigdy nie będziesz.
- Walenty... To kot. - Wykrztusił młodzieniec. - Zobaczyłem go we śnie. Potem znalazłem go na ulicy i przygarnąłem. Od tamtej pory chodzi za mną i... Mówi do mnie. Mam halucynacje.
- Wyznawał, kiedy kocur wdrapał się na jego kolana i ułożył na nich, emanując miękkim ciepłem. - Czy ja zwariowałem?
- Chciałbyś. - Mruknął zwierzak. W słuchawce przez chwilę panowała cisza, którą przerwał odgłos zapalniczki.
- Posłuchaj... - Zaczął kapłan. - Przeżyłeś okropną tragedię. Naturę masz raczej pesymistyczną. Depresja ma naprawdę różne objawy. Twoje nie należą do rzadkości. - Artur miał wrażenie, że głos Walentego drgnął przez ułamek sekundy. Musiało to być złudzenie, ponieważ kontynuował zupełnie spokojnie. - Wiesz, że depresja to choroba i są na nią leki oraz terapie. Wiesz również, że farmakoterapia daje jedynie złudzenie ukojenia. Trochę więcej serotoniny i nagle problemy znikają gdzieś w kłębowisku synaps. Chyba cię to nie

usatysfakcjonuje. Psychoterapeuci zaś...

- To idioci. - Powiedzieli jednocześnie Artur i Ból. Chłopak wyraźnie zadrżał, kiedy po plecach przebiegł mu dreszcz. Kot tylko głośniejszym zamruczał, jakby w zadowoleniu.

- Nie rozumieją cię. - Ciągnął ksiądz. - Wyślą do psychiatry.

- To co mam zrobić? - Zapytał młodzieniec, głaszcząc przerażająco prawdziwe, czarne futerko.

- Jesteś inteligentny. I silny. Mało kto potrafi bez oszukiwania się przyjąć tyle gorzkiej prawdy o życiu. Śmierć ukochanej osoby to kolejna z tych prawd, z którą trzeba się pogodzić. Najwyraźniej, jest z nich najtrudniejsza i twój umęczony umysł chce ją wyprzeć...

- Walenty, co ja mam zrobić?

- Dostałem wiadomość od kuriera, że naltrekson jest już u ciebie w skrzynce.

- Skąd znasz mój adres?

- W dzisiejszych czasach każdego można namierzyć, jeśli się wie jak. - Zaśmiał się ksiądz. - Jak ci mówiłem, ma delikatne działanie przeciwdepresyjne. Oprócz tego, daje realistyczne sny. Myślę, że powinieneś jeszcze na chwilę uciec od bolesnej jawy, spędzić trochę czasu z Niną... I pożegnać się. Może to pomoże ci pogodzić się z Jej odejściem.

- Brzmi jak plan. - Powiedział niepewnie Artur, wspominając poprzednie sny. - Dziękuję ci bardzo.

- Nie ma za co. Daj znać czy tabletki działają i dzwoń, gdybyś czegoś potrzebował. - Podsumował Walenty.

- Dziękuję. Do usłyszenia. - Zakończył młodzieniec i rozłączył się. Schował komórkę do kieszeni i spojrzał w dół. Ból siedział wyprostowany, z pewną niepokojącą ekscytacją w oczach.

- Wracamy. - Powiedział wesoło kot.

## Rozdział 17

Artur z trudem powstrzymał się od pokonania drogi do mieszkania biegiem. Pomógł mu w tym nikotynizm oraz wynikająca z niego fatalna kondycja. Starał się więc iść dostojnie, nie zwracając uwagi na drepczącego obok kota, który nucił ukradkiem „Dreamer” Ozzy’ego Osbourne’a. Student lekko drżącymi palcami wpisał absurdalnie długi kod do klatki schodowej na panelu domofonu i rozpoczął poszukiwania klucza od skrzynki na listy w brzęczącym pęku.

- Zastanawiałeś się co Jej powiesz? – Zapytał Ból, siedzący na skrytkach pocztowych, tuż powyżej głowy Artura. – Jak wytłumaczysz Jej pozbycie się tabletek, schadzkę w pubie...

- Nie zastanawiałem się. – Syknął młodzieniec, desperacko przebierając srebrne kawałki metalu. Nierówne ząbki kluczy zdawały się szczyrzyć szyderczo, rozbawione nieporadnością studenta.

- Ja bym się martwił na twoim miejscu... - Ziewnął kocur.

- Ja na twoim miejscu bym się zamknął. – Warknął Artur, uderzając pięścią w blaszane prostokąty, których uchylne drzwiczki zaskrzyphiały z wyrzutem. – Myślałem, że więcej Jej nie zobaczę. Chciałem uniknąć szaleństwa... Chciałem jakoś żyć. – Jego głos ucichł znacznie. – Okazało się jednak, że już zwariowałem. Skoro tak, to chcę Ją zobaczyć. Choćby jeden raz. Nie wiem co Jej powiem... Czy powiem cokolwiek. Przestań się czepiać. – Dokończył, znajdując wreszcie odpowiedni klucz i otwierając skrzynkę.

- Dobra, po co te nerwy... Strasznie personalnie wszystko postrzegasz. – Skwitował Ból, którego oczy rozbłysły na widok wyciąganej ze skrytki paczki.

Po wejściu do mieszkania Artur otworzył paczkę od ojca Walentego i zaczął oglądać jej zawartość. Na małej karteczce, zygzakowatym, niedbałym pismem zostało nagryzmołone: „Słodkich snów. W.”. – *Jeżeli ksiądz chciałby kiedyś przepisać egzemplarz Wulgaty...* - Pomyślał student.

- ... Powinien poprawić swój lekarski charakter pisma. – Dokończył Ból.

Młodzieniec popatrzył na liżącego łapkę kota, nie mogąc się przyzwyczaić do obcego dostępu do własnych myśli. Wrócił jednak do przesyłki. W bąbelkowej kopercie znalazł foliowy woreczek, a w nim tabletki. Były wielkości dojrzałego owocu borówki amerykańskiej, miały biały kolor i fakturę styropianu. Artur przeliczył je. Trzydzieści sztuk. Trzydzieści nocy z Nią, w realistycznych, niemożliwych do odróżnienia od jawy, snach... Jeżeli Walenty mówił prawdę.

- Weź jedną i zobaczymy co potrafia. – Ekscytował się Ból. – Zaczyna mnie nudzić ten świat.

- Naltrekson nie działa nasennie. – Zaoponował Artur. – Łyknię przed snem. – Dodał, siadając na kanapie w salonie.

- To łknij i idź spać. – Niecierpliwił się kot, wbijając pazurki w poduszki.
- Nie jestem zmęczony. Jak wezmę teraz, to do wieczora większość zmetabolizuję i będę potrzebował następnej. Nie mogę ich tak marnować.
- Twój kalkulacyjny rozsądek jest tak nudny, że dziwię się, że nie jesteś prawiczkim. – Prychnął zwierzak, jeżąc sierść na grzbiecie.
- Z punktu widzenia przetrwania... - Zaczął student.

- Wiem. Wiem! Zdolności predykcyjno – adaptacyjne są cenne ewolucyjnie, więc płęć przeciwna uznaje twoje geny z cenne. – Wyrecytował zażenowany kocur. – Zaczyna mnie irytować fakt, że tak łatwo cię rozgniewać, a tak trudno obrazić. Psujesz zabawę. – Podsumował, zwijając się w czarny kłębek rozczarowania u boku gospodarza.

- Do usług. – Uśmiechnął się Artur, sięgając po paczkę papierosów i zastanawiając nad koncepcją obiadu.

Entuzjazm i zniecierpliwienie kota udzieliły się Arturowi. Godziny wlekły się jak geriatryczna pielgrzymka. W chwili, kiedy słońce zaczęło chować się za szarą kompozycją budynków, rozlewając na błękit nieba złoto i czerwień, student nalał sobie pół szklanki whisky i dopełnił colą. Następnie połknął jedną z tabletek i popił przygotowanym drinkiem, po czym uszykował się do snu. Zanim położył się do łóżka, alkohol delikatnie zakołysał podłogą i zafalował ścianami.

- Czujesz coś? – Zapytał Ból, układając się na kołdrze, obok towarzysza.

- Nie.

- Wiem, że nie. – Burknął zwierzak. – Ale czujesz coś?

Artur zignorował pytanie, starając się wyciszyć, zapraszając sen pod swoje powieki. Ten nie chciał jednak przyjąć zaproszenia, Młodzieniec wiercił się na materacu, kładąc na jednym, to na drugim boku, na plecach, to znów na brzuchu. Na zmianę odkrywał się i przykrywał kołdrą, nie mogąc zdecydować czy jest mu za ciepło, za zimno, czy w sam raz. Ból również był niespokojny.

- Przestań się tarzać po łóżku jak stara dziewica. – Syknął. – Śpij wreszcie!

- Twoje gadanie mi nie pomaga. – Odparł Artur.

- A jak mam ci pomóc? Opowiedzieć bajkę? Zaśpiewać kołysankę? Może zrobić loda na dobranoc?

- Nie masz policzków. – Stwierdził student, wstając. – Pobrudziłbyś pościel. – Podsumował, po czym wyszedł na balkon i zapalił papierosa. Oparty o balustradę, próbował myśleć o wypoczynku i, paradoksalnie, o bezmyślności. Momentalnie do głowy przyszły mu Mazury. Pod wpływem stęsknionej za relaksem wyobraźni, ulice Łodzi stały się kanałami o betonowych brzegach chodników, latarnie masztami jachtów, a trójkątne wiązki żółtego

światła rozpiętymi na nich żaglami. Żeglarstwo chyba od zawsze kojarzyło się Arturowi z umysłowym odprężeniem. Od zawsze, do zeszłego roku... Wzrastająca popularność Wielkich Jezior Mazurskich skutkowałą rozwojem infrastruktury, unowocześnieniem portów... I stopniowym zatracaniem piękna tego rejonu oraz sztuki żeglarskiej. Student wspominał jak wczesnym rankiem wychodził z kabiny jachtu na pokryty warstewką rosy pokład, żeby w aksamitnej, niemal uświęconej ciszy podziwiać pierwsze promienie słońca, które nieśmiałym ciepłem zaczynały otulać ten niewinny, dziecięco spokojny świat. Rano wiatr spał jeszcze w smukłych ramionach trzciny, mwy bezszelestnie poruszały białymi skrzydłami, nawet ryby nie wyskakiwały z wody, jakby nie chcąc zmącić jej tafli, której lustrzana gładź odbijała wszystkie cuda natury, pragnąc podwoić zapierający dech w piersiach obraz i powiększyć majestat ekosystemu. Wszystko to zmieniło się z napływem turystów. Wszędobylscy ludzie znajdowali najbardziej odludne zakamarki niskich brzegów, oblegali przystanie, wypełniając restauracje i stragany. Smród ludzkiej ignorancji i hedonistycznych apetytów coraz silniej przedzierał się przez woń głębokiego szacunku do Mazur, tak jak zapach oleju dominował nad aromatem wody. Bogaci Niemcy, wynajmujący największe jachty motorowe, od których jeziora falowały wściekle w niemym proteście przeciwko spalinowym najeźdźcom. Naćpani Czesi, wynajmujący najwięcej dziwek i imprezujący w przebraniach arabskich szejków. Cwani Polacy, wynajmujący żaglówki bez patentu i powodujący wypadki po pijanemu. Muzyka, alkohol, narkotyki, gofry bąbelkowe, smażone sielawy, kręcone ziemniaki, zawijane lody – wszystko to zalewało Mazury skuteczniej niż woda jezior. Jeżeli ten trend się utrzyma...

- ... Stracisz ostatnie miejsce, w którym możesz o niczym nie myśleć. – Powiedział smutno Ból, siedzący na parapecie. – Tak jak straciłeś Jej ramiona.

Artur nie skomentował. Spojrzał tęsknym wzrokiem na rozmywającą się wizję płynących ulic, które ponownie zastygły w asfalcie, wyrzucił niedopałek i popatrzył na kota.

- Chodźmy się przejść. – Powiedział w końcu z wymuszonym uśmiechem.

Towarzysze wyszli z mieszkania i szybko pokonali schody, docierając na parter. Za drzwiami klatki schodowej rześkie, wieczorne powietrze powitało ich pachnącą wilgocia. Artur skierował się w stronę furtki, zapalając papierosa.

- Tęsknię za Nią. – Szepnął.

- Wiem. – Odpowiedział cicho Ból. – Dlatego chciałbym, żebyś już spał.

- Świeże powietrze mnie uspi. – Zapowiedział student, zaciągając się.

- Świeże... - Zaśmiał się kocur.

Młodzieniec darował sobie ripostę, ale uśmiechnął się ukradkiem. Za furtką postanowił skrócić w prawo i udać się w kierunku dworca Łódź Fabryczna, albo dalej, do ulicy Piotrkowskiej. Mimowolnie zaczął zastanawiać się nad tym, co mu się przydarzyło od czasu... Wypadku. Student pogładził brzydką, przerośniętą bliznę na lewym nadgarstku. Jego myśli błądziły pomiędzy poszczególnymi koszmarami, odbijały się asekuracyjnie od strasznej

postaci w jego ubraniach, oplatały się wokół Jej postaci, by znów płochliwie umykać przed wspomnieniami kaleczącego swoją twarz starca. Dumał nad niesamowitością spotkania ekscentrycznego kapłana o tragicznej przeszłości, o momencie znalezienia czarnego kota, który jeszcze bardziej postawił jego własne życie na głowie. Artur nie mógł powstrzymać wędrujących mu po plecach dreszczy, zapuszczając się w zakamarki pamięci. Tyle okropności już go spotkało, tyle wycierpiał, aby móc jeszcze raz Ją spotkać... I tak okropnie stchórzył. Uciekł od ukochanej, oblekając się wstydliwie w strzępy zdrowego rozsądku, które okazały się fałszywe. Cała ta przedziwna historia doprowadziła go właśnie tutaj, do momentu, w którym starał się znów do Niej wrócić. Dlaczego? Nie wiedział tego do końca. Miał nadzieję, że kolejny sen udzieli mu odpowiedzi.

Kiedy razem z Bólem przechodzili przez jezdnię, zadzwonił telefon Artura. Student wyjął go z kieszeni i spojrzał na ekran. Gwałtownie zatrzymał się, a papieros wypadł mu pomiędzy drżących palców. Wyświetlacz pokazał Jej numer telefonu, opatrzony Jej imieniem. Otępiały Artur popatrzył na równie zdezorientowanego kocura, który zdołał jedynie pokręcić przecząco łebkiem, wlepiając w niego przepełnione strachem ślepie. Sztywnym palcem student odebrał połączenie.

- Arturze? – Usłyszał w słuchawce. W tle rozlegał się szum, ale nie było wątpliwości, że Jej głos, delikatny jak wydyszany nocą szept. – Arturze? – Młodzieniec nie rozumiał nic z tej sytuacji. Stał kompletnie osłupiały na środku jezdni i gapił się na trzymaną w rękę komórkę, opanowany przez jakiś niewyobrażalny stupor. – Arturze! – Nie zasnął przecież. Ona nie żyje. Ból pierwszy raz się czegoś boi. Czy Ona gdzieś jedzie? Skąd ten szum? – ARTURZE! – Artur chciał coś odpowiedzieć, chyba poprosić, żeby nie krzyczała, ale nie zdążył. W ostatniej chwili dostrzegł reflektory pędzącego wprost na niego samochodu. Dobiegł go jeszcze dźwięk tępego uderzenia, jakby młaśnięcie i urwane miauknięcie. Najzabawniejsze było to, że przez ten ułamek sekundy miał wrażenie, że za kierownicą siedziała Ona. I chyba coś krzyczała.

## ???

- Arturze? – Jej głos wciąż dudnił mu w czaszce. Nie dochodził już ze słuchawki, ale skądś bliżej. Z jego wnętrza. Bo skąd indziej? – Arturze? – Słyszał Ją wyraźnie. Jakby czemuś nie dowierzała. Wypowiedane przez Nią imię drżało, tańcząc płochliwie na niepewnych swoich intencji wargach. Artur potrafił dokładnie sobie wyobrazić jak wygląda w czasie tej wypowiedzi. Drobną, lekko bladą, o ogromnych oczach... - Arturze! – Młodzieniec odrobinę zwątpił w zdolności swoich zmysłów. Być może jego mózg ucierpiał w wypadku i doświadczał omamów słuchowych? Czy ten wypadek był w ogóle prawdziwy? Przecież... - ARTURZE! – Zmusił się do rozchylenia powiek, które dziwnie nie chciały go słuchać. Jego oczy poraziła biel niebiańskiego światła... Wszystko wokół było tak cudownie czyste i jasne, że musiał znowu zacisnąć powieki. – *Czyli jednak umarłem.* – Pomyślał. – *Zginąłem stojąc jak idiota na środku ulicy. Pewnie walnął mnie jakiś pijak... Nie takiego końca chciałem, no ale może chociaż Ją spotkam.* – Potok myśli studenta raptownie się zatrzymał, jak przy spotkaniu z ceglanym murem. – *To znaczy, że niebo istnieje?* – Przemknęło mu przez myśl. Artur nie mógł dłużej domyślać się odpowiedzi. Powoli, stopniowo otwierał oczy, przyzwyczajając je do oślepiającej jasności. Jednolita z początku biel zaczęła nabierać delikatnych kształtów, drobnych detali i... Kątów? Młodzieniec powiódł wzrokiem przed sobą, odnajdując cztery nieco ciemniejsze punkty odniesienia. Spojrzał w dół, napotykając spojrzeniem na szafkę, umywalkę, dozownik mydła, pościel, stojak na kroplówkę i...

- Arturze? – Szepnęła Nina, siedząca na łóżku tuż obok niego. Dziewczyna miała łyzy w oczach i niezdecydowany uśmiech na ustach. Jej włosy znajdowały się w stanie kontrolowanego nieładu, jakby bardzo szybko starała się nadrobić długą nieobecność u fryzjera. Przynajmniej jednak, była piękna.

- Nina? – Zdołał wychrypieć Artur. To wystarczyło. Przyłgnęła do niego całym ciałem, szlochając w spazmatycznym płaczu. Czuł jej łyzy, wsiąkające mu w koszulę. Tulił do siebie jej delikatne istnienie, starając się jednocześnie trzymać ją z całych sił tak, aby już nigdy nie mogła zniknąć, jakby była tylko... Student mimowolnie powiódł palcami prawej ręki po lewym nadgarstku, nie przestając tulić kobiety. Pocierał opuszkami, szukając znajomego zgrubienia i delikatnej, gładkiej skóry. Nie znalazł jednak nic. Nie miał blizny. N i e miał blizny.

- Nina, co się stało? – Zapytał zdezorientowany Artur.

- Nie pamiętasz? – Odpowiedziała pytaniem.

- Nie... Niewiele pamiętam. – Odparł asekuracyjnie. Nie wiedział czy śni. Czy tak właśnie działał naltrekson? Kiedy zasnął? Przed wypadkiem? Nie, to niemożliwe... Wypadek też był niemożliwy. Jego dezorientacja dotyczyła nie tylko miejsca, ale także czasu.

- Miałeś wypadek. – Powiedziała Nina, łamiącym się głosem, gładząc go po policzku. – Potrafił cię pijany kierowca, jak wracałeś ode mnie...

- Kiedy? – Dopytywał. Dziewczyna spojrzała na niego z niedowierzaniem.
- Naprawdę nie pamiętasz? Byłeś w sypialni... Przez trzy miesiące. – Do jej oczu napłynęły łzy. – Trzy długie miesiące. Okropnie długie...
- Ale... - Artur nie wiedział co odpowiedzieć. Co ważniejsze, nie wiedział w co wierzyć. Wiedział jedynie, w co chciał wierzyć. – Nie pamiętam tego... Jakie obrażenia?
- Trzy żebra. Trzon lewej kości udowej. Lewy obojczyk. Pęknięta śledziona... - Recytowała Nina, jakby opowiadała to co najmniej kilkudziesięciu znajomym. – Pęknięta czaszka. – Skończyła ze smutkiem.
- Uraz mózgu? – Dociekał młodzieniec. Nie przejmował się doznanymi urazami. Czuł się dobrze. Chciał tylko wiedzieć czy... Miał nadzieję, że...
- Tak. – Kiwnęła głową. – Ale... Lekarze nie potrafili powiedzieć co może być skutkiem. Mówili coś o omamach wzrokowych i słuchowych, ale nie mogli niczego stwierdzić, bo przecież spałeś.
- Miałem sny. – Zaczął Artur, czując jak zalewa go fala uwalniającej się ze smyczy sceptycyzmu radości. – Tak straszne sny... Śniło mi się, że...
- Wiem. – Wtrąciła. Widząc zaniepokojenie na jego twarzy, dodała szybko. – Czasami szarpałeś się w nocy. Kilka razy krzyknąłeś... Ale nie można cię było obudzić. Dawali ci tylko relanium. Tak bardzo tęskniłam. Tęskniłam nawet za twoimi smutnymi oczami. – Nina znów wtuliła się w studenta, sprawiając wrażenie tak bardzo spragnionej jego dotyku, ciepła skóry, oddechu, że chciałyby zespolić ich ciała w jedną całość.
- Ja tęskniłem za swoimi radosnymi oczami. Oczami, których nie pamiętam. – Powiedział, obejmując ją czule i chciwie, nadal nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. Nie wierząc, że skończył się sen. Nie wierząc, że te okropności były tylko złym snem. – Nigdy cię już nie zostawię.
- Wiem. – Szepnęła, po czym pocałowała go. Wtedy już wiedział. To musiała być jawa. Wszystko inne przestało mieć znaczenie. Koszmary, blizna, tabletki, ojciec Walenty i Ból – zniknęły wraz z miękким dotykiem jej ust, z jej oddechem w jego płucach. To musiała być jawa, bo inna nie mogła mieć żadnej wartości, w porównaniu z tą.

Długo leżeli w milczeniu, ciesząc się swoją obecnością. Ciepło ich ciał przenikało się wzajemnie, przekazując bez słów wszystkie niezbędne informacje. Termodynamika zaprzężona w służbie miłości była całkiem romantyczną koncepcją, więc nie było sensu jej obalać. Mieli dużo czasu na rozmowy. Mieli całe życie dla siebie... - *Na pewno?* – Pomyślał młodzieniec. Jeszcze kilka chwil temu wspominał swoje wyindukowane tabletkami nasennymi koszmary, swoją próbę samobójczą, wytatuowanego księdza, handlującego farmaceutykami i gadającego kocura imieniem Ból... Tamta rzeczywistość wydawała mu się niedorzeczna i odrealniona, w porównaniu z tą, jednak tak do niej przywykł, pamiętał ją tak dokładnie, że trudno było kwestionować jej prawdziwość. – *Trzy miesiące.* – Powtarzał w

głowie jak mantrę. Czy naprawdę możliwa była taka życzliwość losu? Jeżeli tak, to mógł zapomnieć o swoim cierpieniu, odrzucić tortury tamtego życia i wrócić do tego, które utracił na tak długo... Nie mógł się jednak powstrzymać przed kwestionowaniem obecnej rzeczywistości. Wyśnione koszmary nauczyły go, że nie mógł do końca wierzyć w to, co widzi, nie mógł do końca ufać swoim zmysłom, bo w przeciwnym razie rozczarowanie uderzało z siłą tarana, rzucając na kolana i z okrutnym śmiechem wydzierając dopiero co zyskane szczęście, jak nowonarodzone dziecko. Młodzieniec wyteżył umysł i zaczął ewaluować to, co usłyszał od dziewczyny. Nie pamiętał żadnego wypadku, prócz tego sprzed momentu i tego, w którym zginęła... Nie. Nie zginęła. Jest tutaj z nim. Nic innego się nie liczy. Przytulił ją mocniej. Nina podniosła głowę z piersi Artura, pocałowała go delikatnie i wstała z łóżka.

- Muszę poinformować lekarzy. – Usprawiedliwiła się, widząc jak nagle poszarzał w śnieżnobiałej pościeli. – Muszę też zadzwonić do twoich rodziców. Oni również tęsknili... Nie masz pojęcia jak płakali... - Młodzieniec przerwał jej gestem ręki. – No ale teraz będą się cieszyć. – Podsumowała wesoło. – Pójdę do pokoju lekarskiego, zadzwonię i za moment wrócę. Nie wstawaj tylko, ciągle jesteś słaby. – Powiedziała z uśmiechem, otwierając drzwi. – A! Jeszcze jedno. – Dodała. – Nie zwracaj uwagi na żadne dziwne... Odgłosy. Na sali obok leży kobieta w ciąży. Jest chora psychicznie, majaczy. Nie wolno ci jej słuchać ani do niej zaglądać, rozumiesz? – Nagłe zdecydowanie w jej głosie, a nawet załazek agresji, nieco zdziwił Artura, jednak pokiwał posłusznie głową. - No, to zaraz wracam! – Powiedziała Nina, posłała mu buziaka i wyszła z pokoju.

Artur leżał przez chwilę, napawając się świadomością, że odzyskał ją. W jednej cudownej chwili odzyskał Ninę, swoje dawne życie i zdrowie psychiczne. Bo chyba odzyskał? Tak, na pewno odzyskał. Coś jednak w tym wszystkim mu nie pasowało. Coś było nie tak. Jakaś rzecz, która zaburzała ten wspaniały obraz, tę wizję perfekcji. To coś uwierało go, jak... Odrzucił kołdrę i zobaczył cewnik wystający mu spod koszuli. Młodzieniec skrzywił się z obrzydzeniem. Chwycił gumową rurkę dłonią, wziął głęboki wdech i pociągnął. Grymas omdlenia i bólu wykręcił mu twarz, zatrzymując rękę. Po kilku głębokich oddechach, kontynuował jednak, by po długiej jak mikcja staruszka chwili, poczuć się w pełni wolnym. Usatysfakcjonowany, z uśmiechem na ustach, Artur opadł na poduszkę. Zadowolenie nie trwało jednak długo. Nagła potrzeba skorzystania z toalety uderzyła go tak silnie, że bez dłuższego zastanowienia student podniósł się z łóżka i pokuśtykał na sztywnej lewej nodze do drzwi. Po otwarciu ich, z ulgą skonstatował, że ubikacja znajduje się naprzeciwko jego sali. Z jakiegoś irracjonalnego powodu rozejrzał się i ruszył do upragnionego pomieszczenia. Już zaczął się zastanawiać, dlaczego przez tak długi okres śpiączki, jego mięśnie nie dotknęła atrofia...

- Obudź się. – Usłyszał i stanął jak wryty. Głos, a właściwie zaledwie szept, dochodził z sali obok. Artur bardzo chciał zignorować ten dźwięk, lub uznać go za omam, ale nie mógł. – Obudź się. – Dobiegło go znów. Ostrożnie, na palcach jak włamywacz, podszedł do drzwi i uchylił je, zaglądając do środka. Na łóżku pod oknem, odwrócona plecami do niego, siedziała wątła postać. Biel koszuli na plecach znaczyły pasma kruczoczarnych włosów, nierównych i nieregularnych, prześwitujących plackami łysiny i dziwnej czerwieni, jakby...

- ... Powyrywane. – Powiedział na głos Artur. Od razu tego pożałował widząc, że postać odwróciła na niego swoje zapadłe głęboko w maskowatej twarzy oczy. Kobieta zaczęła wstawać, prezentując zaokrąglony w zaawansowanej ciąży brzuch, który gładziła dłońmi. Nie były to jednak gesty opiekuńcze i delikatne. Jej ręce błędziły po wypukłości nerwowo i niepewnie, jak po miejscu chorym i obolałym.

- Obudź się. – Powtórzyła. – Ja nie mogę się obudzić. Ja jestem stąd. Ty nie jesteś stąd. – Jej słowa były nieznośnie wyraźne i pewne. Nie kojarzyły się z mową osoby chorej psychicznie, ale osoby dokładnie zorientowanej w swojej sytuacji, niespotykanej pewnej swojego położenia i... Przerażonej. – W brzuchu mam coś, co też nie jest stąd. Mówi mi, że musisz się obudzić. Grozi ci. Grozi ci coś tutaj. Nie możesz już spać. Głuptasie, nie zjesz śniadania. Obudź się. Obudź. – Postać z dziwnym uśmiechem, który prawdopodobnie miał być ciepły, zaczęła zbliżać się do Artura, który odruchowo zaczął się cofać

- Nie. Nie śpię. W końcu nie śpię! To nie jest sen! Jesteś szalona! – Młodzieniec krzyczał, czując chłód ściany na swoich plecach. – Nie podchodź! Słyszysz?!

- Obudź się, proszę. – Kobieta wyciągnęła do niego kościste dłonie o paznokciach brudnych od krwi. – Proszę.

- Nie! – Wrzasnął student, po czym kopnął ją w brzuch. Postać zgięła się w pół, chwytając obojgiem ramion za miejsce uderzenia. Zacharczała nieludzko, kaszlnęła i zawyla, po czym spomiędzy nóg trysnął jej strumień czerwonego płynu. Kobieta osunęła się na kolana i podparła rękami, nie przestając kaszleć.

- Przepraszam. – Bełkotał Artur, nie mogąc ułożyć tej sceny w logiczną całość. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam. – Już chciał podnieść ciężarną i wezwać lekarza, kiedy spostrzegł, przyjrawszy się bliżej, że spomiędzy jej nóg wystaje coś podłużnego. Czarny i lepki od wilgoci koci ogon wił się na białych kafelkach podłogi, jak nienawistna mamba, jak bluźnierstwo przeciwko realizmowi tego świata... Nie, to nie ogon, tylko pętla pępownicy. Tak, na pewno pępownina.

- Obudź się! – Jęknęła rozpaczliwie kobieta, pomiędzy napadami kaszlu. Po szczególnie silnym, który wstrząsnął całym jej ciałem, z ust ciężarnej wyleciał obrzydliwy kłębek czarnej sierści i potoczył się pod nogi młodzieńca, prezentując się w całej, obmierźle niewyobrażalnej okazałości. Nie, nie sierści! Przecież wyrywała sobie włosy! Wyrywała i je jadła! Tak, na pewno włosy! Na pewno! Na pewno.

- Na pewno. Na pewno. Na pewno. – Mamrotał Artur biegnąc korytarzem. Pędził przed siebie do momentu aż czyjeś silne ramiona złapały go i rzuciły na posadzkę. Potem poczuł ukłucie i wszechobecna dotąd biel pociemniała.

## ???

Ukłucie. Kilka ukłuc. Uparte igły niestrudzenie zagłębiały się w jego klatkę piersiową miejsce przy miejscu i raz za razem, rytmicznie. Nie kojarzył żadnej procedury medycznej, której częścią byłoby dżganie pacjenta szeregiem ostrych przedmiotów... Może poza wiejskim sposobem na ratowanie konia z zagrażającymi życiu wzdęciami, który uwzględnił użycie wideł. Po części z ciekawości, po części zaś z rosnącej irytacji, Artur otworzył oczy. W szarej ciemności zażółconej światłem ulicznej lampy, której przejrzały blask wpadał przez okno, dostrzegł Ból, który miętosił łapkami jego tors.

- Nie... - Szepnął boleśnie młodzieniec.

- W końcu się obudziłeś! – Krzyknął kot, zbliżając pyszczek do jego twarzy. – Myślałem, że cię stamtąd nie wyrwę. Wszystko w porządku? – W głosie zwierzaka słyhać było szczere zmartwienie.

- Dlaczego to zrobiłeś? – Zapytał gorzko student, zrzucając z siebie kocura i siadając na łóżku. – Nie chciałem się budzić. – *A może... Nie chciałem zasypiać?* – Pomyślał.

- Nie, nie, nie. Nie! – Zaprotestował Ból. - To był sen, rozumiesz? Sen! Tutaj jest jawa. Tutaj jest życie. Rozumiesz?

- W takim razie jak wytłumaczysz samochód? Walnął mnie, po czym wstałem sobie z ulicy i wróciłem do łóżka? – Zadrwił młodzieniec.

- Potrącił mnie, pamiętam to doskonale. – Syknął kot. – Zdążyłem zapamiętać trzask każdej mojej pękającej kości. Ocknąłem się tutaj. Ty spałeś.

- Czyli zasnąłem, a potem miałem sen we śnie? – Drażył Artur. – Oglądasz za dużo filmów. – Spróbował zażartować, dopiero po chwili zdając sobie sprawę z absurdalności swojego stwierdzenia.

- Myślę, że to te tabletki od księdza. – Kocur zamyślił się, machając nerwowo ogonem. – Spałeś tak mocno, że nie mogłem cię obudzić. Myślę, że nie powinieneś więcej ich brać. To może być niebezpieczne. – Stwierdził.

- Nie mów mi co powinienem, a czego nie. – Warknął student. – Nie wiesz co dla mnie dobre. Nie wiesz co tam widziałem...

- Opowiedz mi więc. Zamieniam się w słuch. – Powiedział wyzywająco zwierzak, siadając na kołdrze i wlepiając w rozmówcę przenikliwe ślepie.

- Ona tam była. – Zaczął po chwili wahania Artur. – Powiedziała, że byłem w śpiączce... Że to wszystko było tylko snem. Była taka prawdziwa, taka cudownie fizyczna, taka...

- Doskonała. – Dokończył Ból.

- Tak. – Przytaknął młodzieniec z uśmiechem. – Wszystko wydawało się realne. Łaskawie namacalne i... Lepsze. – Spojrzał na kota, którego czarne futerko wyraźnie się zjeżyło pod wpływem determinacji w jego oczach. – Muszę tam wrócić.

Kocur mierzył go wzrokiem przez dłuższą chwilę. Sprawiał wrażenie, jakby rozważał, co ma odpowiedzieć, chociaż Artur dobrze wiedział, że jedynie dobiera słowa, które byłyby wystarczająco...

- Rozumiem, że tamta rzeczywistość może wydawać ci się lepsza... - Zaczął delikatnie Ból. – Jednak słabość i uzalanie się nad sobą nie należą do pobudek, które byłbym w stanie uszanować. Jesteś tchórzem, który ze strachu przed światem, którym rządzi sprawiedliwość ślepego losu, wybiera ucieczkę. Uciekasz byle gdzie. Wystarcza ci nikła nadzieja na polepszenie swojej sytuacji bez podejmowania żadnego działania. To żałosne.

- Nic o mnie nie wiesz. – Syknął student, wstając z łóżka i stając nad kotem. – Nie masz pojęcia co czuję, czego pragnę i za czym tęsknię. Żadnego!

- Otóż wyobraź sobie, że mam! Mam pojęcie czy tego chcę, czy nie. Muszę znosić twoje nieutulone płacze, twoje wyrzuty kierowane do wszystkich, oprócz siebie samego. Wiem o tobie wszystko i prawie wszystkiego w tobie nie cierpię. Staram się pokazać ci te kilka silnych, dobrych cech, które w sobie masz, i które tłumisz.

- Nie musisz mi niczego pokazywać. Po prostu zostaw mnie w spokoju, skoro moje towarzystwo ci się nie podoba. Zostaw mnie i daj mi spać! – Krzyknął Artur, po czym odwrócił się i skierował do salonu.

- To tak nie działa! – Odpowiedział wrzaskiem kocur, podążając za nim. – Myślisz, że jestem tu dla przyjemności?! Jestem tutaj, bo nikt inny nie ma cierpliwości do twojego charakteru! Nikt nie chce, żebyś zatruł im życie swoją nienawiścią, pesymizmem i ponuractwem. Ludzie mają cię dość!

- I dobrze! Nie potrzebuję ich. Nie potrzebuję nikogo! Ciebie też!

- Tutaj się mylisz. Potrzebujesz mnie rozpaczliwie i bardziej niż kogokolwiek innego. I lepiej się z tym pogódź, bo po tamtej stronie nie znajdziesz pomocy. Nie znajdziesz jej we mgle swojego popieprzonego umysłu. Możesz być pewien, że tutaj jest jawa. Wiesz dlaczego? – Artur odwrócił się gwałtownie, dysząc ciężko nad prychającym zwierzakiem. – Ten świat jest realny, bo ten świat boli i ma cię głęboko w dupie, podobnie jak wszystkich innych. – Młodzieniec schylił się błyskawicznie, chwycił kładącego gniewnie uszy kocura i cisnął nim o ścianę salonu tak mocno, jak tylko potrafił.

- Pozostaje ci argument siły? – Usłyszał Artur za swoimi plecami. Rozczarowany brakiem odgłosów cierpienia, zawrzał ze wściekłości. Zwróciwszy się w stronę kanapy dostrzegł siedzący na niej Ból i ruszył ku niemu. Podskoczył, celując obiema stopami prosto w łebek kota. Napotkały one jednak tylko miękkie poduszki. – Pewnie, użyj sobie. Ochłoń, łamiąc prawa zwierząt. Przynajmniej ruszyłeś swój zapłakany tyłek! – Perorował kocur ze stolika do kawy, siedząc spokojnie obok doniczki ze storczykiem. Student wrzasnął gniewnie i wznosił

nad siebie obie zaciśnięte pięści. Drobna sylwetka na blacie stanowiła teraz epicentrum jego cierpienia, czarny koncentrat drwin, na które składały się prawidła rządzące ludzkim życiem. Ten przeklęty futrzak był ostateczną kpiną z jego cierpienia. Cierpienie to zaś, w ciągu ostatnich tygodni, stało się wszystkim, co posiadał. Ból go określał, ból kształtował jego dni i noce, ból towarzyszył mu wszędzie i nie opuszczał nigdy. Ból był jedynym, co naprawdę znał i czemu ufał. Ból był... Ból...

- Ból... - Szepnął czując, jak zakłęcie szafu opuszcza jego ciało, razem z siłą. Artur opuścił ręce i opadł ciężko na kanapę. Kocur wskoczył na mebel obok niego i po chwili wahania wdrapał mu na kolana. Zrezygnowany młodzieniec zaczął bezwiednie głaskać zwierzaka, ogarnięty jakimś absolutnie obojętnym odrętwieniem. Gapił się przy tym nieobecny wzrokiem w okno, za którym równie obojętny świat kręcił się w odwiecznym tańcu doskonałej apatii.

- Tutaj naprawdę nie jest tak źle. – Mruknął niepewnie kot. – Bardzo chcę, żebyś to dostrzegł. Wiem, że potrafisz. Masz to w sobie. Chociaż prawie o tym zapomniałeś. – Napotkawszy zimną ścianę milczenia, Ból kontynuował. – Świat jest, jaki jest. Może ci się to nie podobać. Wiem, że ci się to nie podoba. Nie tylko ty masz obiekcje co do stanu rzeczywistości i rodzaju ludzkiego. Aczkolwiek... Nie ma sensu dywagować nad rzeczami, na które i tak nie ma się wpływu. Pogódź się w końcu ze stratą. Miej odwagę walczyć o coś, co się liczy. O jakies miejsce, które mógłbyś nazwać swoim, ujarzmiwszy ściany okropnej codzienności. Nie uważasz, że to warte wysiłku? – Zapytał łagodnie już kot.

- Zawsze miałem wrażenie, że tutaj nie pasuję. – Powiedział obojętnie Artur. – Tak bardzo nie wpisuję się w ramy norm, że wydaje mi się to aż niedorzeczne. To wszystko... Okropne sny po tabletkach, wytatuowany ksiądz, mówiący kot... Przed chwilą, po drugiej stronie... Przecież tamta wersja jest bardziej prawdopodobna niż to, co dzieje się tu... Jeżeli miałbym wybrać...

- Nie masz wybierać. – Przerwał Ból. – Masz wziąć swój los w swoje ręce. Pogodzony z przeszłością, skupiony na teraźniejszości i z odwagą patrzący w przyszłość. Tutaj jest twój świat. Leży u twoich stóp.

- Świat leży u moich stóp... - Mruknął młodzieniec, nadal wpatrzony w okno. – A nie mam dokąd pójść. – Szepnął, głaszcząc Ból na swoich kolanach.

## Rozdział 18

Nina siedziała na skraju szpitalnego łóżka, kiedy z podekscytowaniem i pewnym lękiem uchylił powieki. Kobieta patrzyła w jakiś pojedynczy punkt na białej ścianie. Jej bezruch miał w sobie coś niepokojącego. Wyglądała jak android w trybie energooszczędnym... Chociaż nie, to nie było to. Artur zdał sobie z tego sprawę, kiedy poczuł uderzającą o jego trzewia falę nagłego gorąca. Nina przybrała wyczekującą pozę niezadowolonego rodzica, który miał udzielić nieprzyjemnej reprimendy nieposłusznemu dziecku. Wydawała się w pełnej skupienia ciszy dobierać słowa odpowiednio dosadne, zdolne do wywołania pożądanej reakcji, a jednocześnie pełne troski, mającej nie pozostawiać wątpliwości co do szlachetnych pobudek nadchodzących gromów. Młodzieńca nie pociągała perspektywa nieuchronnej rozmowy, jednak nie zamierzał uciekać z powrotem w objęcia kłamliwego snu.

- Hej, Gamoniu. – Powiedział cicho, opierając się na łokciu. – Odnośnie tego, co się stało... - Zaczął, chcąc jak najszybciej mieć za sobą tę konfrontację.

- Prosiłam cię, żebyś tam nie wchodził. – Przerwała mu. Oprócz ust, nie drgnął jej żaden mięsień. – Mówiłam, że tamta kobieta jest chora psychicznie. W twoim stanie nie powinieneś nadwyreżać swojego umysłu do przetwarzania czyjegoś szaleństwa.

- Tak wiem i przepraszam cię, ale...

- Akurat zaczęła wtedy rodzić. Bardzo dobrze, że wybiegłeś z jej sali, bo pielęgniarki szybko się nią zajęły. Chociaż to i tak nic nie dało...

- Jak to nie dało? Coś jej jest? – Zapytał ostrożnie Artur, w którego umyśle pojawiały się obrazy wymiotującej futrem kobiety z kocim ogonem zwisającym spomiędzy ud.

- Dziecko urodziło się martwe. – Powiedziała beznamiętnie Nina. Student nawet nie drgnął. Nie miał pewności co do prawdziwości swojej stopy, wymierzonej w brzuch obłąkanej ciężarnej, aczkolwiek na wszelki wypadek wołał uniknąć bycia podejrzanym. – Na to nic nie poradzimy. Martwi mnie to, że poród, co prawda dość niezwykły, ale jednak poród, z którym miałeś styczność na studiach, wywołał u ciebie panikę. Dwóch sanitariuszy musiało cię przytrzymać i podać leki uspokajające. Byłeś przerażony... Martwiłam się. – Dokończyła, opuszczając głowę.

- Nina... Przepraszam cię. Masz rację, nie powinienem tam wchodzić. Z drugiej strony, miałbym wyrzuty sumienia, że nie zainterweniowałem. Może i to nie pomogło, ale wiesz...

- Wiem. Powiedzieli, że mogłaby się wykrwawić, gdybyś tam nie wszedł.

- Gdzie teraz jest?

- Nie wiem, ale nie na tym oddziale. – Ucięła sucho kobieta. – Powiedz mi, czy tam się coś stało? Dlaczego wybiegłeś z sali w takich popłochu? Jakbyś zobaczył ducha... - Głos Niny

przepełniony był zmartwieniem godnym ukochanej, którą nosił w sercu. W jej oczach jednak, było coś, co bardziej pasowało do inkwizytora, wyciągającego rękę w kierunku urządzenia do miażdżenia czaszek heretykom.

- Nie. – Odparł stanowczo Artur. Nie mógł okazać swoich wątpliwości, co do fundamentów realizmu. Właściwie... Być może już nie miał wątpliwości. Wybrał swój świat. – Ona zaczęła krwawić. Mocno. Nie miałem nic, czym mógłbym jej pomóc, więc wybiegłem. Poza tym... Niedawno się obudziłem, Gamoni. – Uśmiechnął się. – Nie był to mój wymarzony poranek.

- No dobrze. – Nina odpowiedziała uśmiechem. Chyba uśmiechem? Czymś na kształt uśmiechu. – Najważniejsze, że nic ci się nie stało. – Przyłożyła czule dłoń do jego policzka. – Za chwilę ma przyjść do ciebie neurolog. Lekarze byli zdziwieni, że mięśnie ci nie zanikły, a nawet nie osłabły. Chcą cię zbadać. – Student przypomniał sobie swoje własne myśli odnośnie tego zjawiska. Przecież po trzech miesiącach powinien czuć jakieś zmiany w swoim organizmie. Zwłaszcza po tak poważnym wypadku...

- Nie odpływaj, mój myślicielu. – Zaśmiała się Nina i pocałowała Artura mocno, rozwiewając jego zmartwienia i odsuwając gnębiące go pytania daleko, gdzieś za litą ścianę jej miękkich ust.

Lekarz wszedł do sali bez pukania. Z kieszeni fartucha wystawał mu młoteczek neurologiczny, kilka długopisów i luźnych kartek. Identyfikator przypięty do klapy, był odwrócony tak, że nie widać było na nim danych osobowych. Nie mniej jednak, mężczyzna wydawał się Arturowi znajomy. Miał niemal pewność, że już go kiedyś widział. Może na jakichś zajęciach. Bo przecież chyba miał zajęcia w tym szpitalu...

- Dzień dobry! – Powiedział doktor z lekkim uśmiechem. – Jestem pana lekarzem prowadzącym, więc pewnie domyśla się pan, że cieszę się z tego wybudzenia. Zaczynaliśmy się martwić, że będzie potrzebny książe z bajki, a nie byliśmy pewni czy znajdziemy jakiegoś, zwłaszcza o skłonnościach homoseksualnych. – Młodzieniec nie zaśmiał się. – Mogę prosić panią o wyjście na czas badania? – Lekarz zwrócił się do Niny, która cały czas siedziała koło Artura. – Nie chciałbym, żeby pani obecność wpłynęła na wyniki.

- Oczywiście. – Odpowiedziała kobieta, wstając. – Kocham cię. – Szepnęła do studenta, po czym wyszła z sali, zamykając za sobą cicho drzwi. Jej miejsce zajął doktor. Artur usiadł na łóżku, z jakiegoś powodu zakłopotany bliskością kogoś innego niż Nina.

- Muszę przyznać, że jest pan dla nas swojego rodzaju zagadką. – Zaczął patetycznie doktor, wyciągając z kieszeni spięty spinaczem plik kartek i przeglądając je w zamyśleniu. – W wyniku urazu, poza obrażeniami ciała, które w pana wieku raczej nie są szczególnie groźne, doznał pan pęknięcia czaszki. Co gorsza, zakrwawił pan do mózgu. Krew wywarła ucisk na okolice bruzdy ostrogowej i zakrętu skroniowego poprzecznego, więc...

- ...Mogę mieć problemy ze słuchem i wzrokiem?

- Dokładnie. Przynajmniej takie są nasze przypuszczenia. Oczywiście słuszność tych przypuszczeń zweryfikuje obserwacja. Chcemy także przeprowadzić kontrolną tomografię

komputerową. – Neurolog przerwał i schował dokumenty. – No, ale to później. Teraz chciałbym się zająć badaniem fizykalnym. Widzi pan, zazwyczaj po długotrwałej śpiączce, mięśnie słabną, więc...

- ...Powinienem odczuwać ich słabość. – Wtrącił ponownie Artur. – Pamiętam co nieco z zajęć. – Uśmiechnął się.

- No tak, student medycyny, zapomniałem. – Zaśmiał się lekarz. – W takim razie rozumie pan, że konieczność unieruchomienia pana przez dwóch sanitariuszy nieco nas zdziwiła. Będziemy z pewnością chcieli przeprowadzić elektromiografię, tymczasem jednak, proszę usiąść z nogami spuszczoneymi z łóżka. – Poleciał doktor, wstając. Młodzieniec posłusznie wykonał polecenie. Neurolog wyciągnął kieszonkową latarkę, włączył ją i poświecił Arturowi w oko. Student znał procedurę badania neurologicznego. Znał też uczucie obezwładniającego przerażenia, kiedy zbliżające się reflektory samochodu nakazują natychmiastową ucieczkę, wprowadzając jednocześnie w uniemożliwiające ruch osłupienie. Uczucie sprowadzenia swojego istnienia do zajęcia na środku nocnego asfaltu.

- Proszę teraz wodzić wzrokiem za długopisem. – Powiedział lekarz, przesuwając pomarańczowy przedmiot z boku na bok i z góry do dołu. Student miał wrażenie, że skupiając wzrok na długopisie, jego uwadze umykają dziwne szczegóły tła. Gałki oczne w lewo, jakiś ruch za plecami doktora w prawo... - Proszę teraz otworzyć usta. – Ciągnął badający, świecąc latarką w gardło młodzieńca. Światło wdzierało się do środka gwałcąc prywatność dłońią, której szponiaste paluchy parzyły śluzówki i szarpały migdałki, jakby szukając jakiejś ukrytej ciemności lub tego, co mogło się w niej schronić. – Dobrze, niech mnie pan złapie za dłońie. Mocno. Teraz proszę przyciągnąć... I odepchnąć moje ręce. Dobrze. Teraz to samo z nogami... Świetnie. Zbadam teraz odruchy, proszę się rozluźnić. – Gumowy młoteczek uderzał kolejno w ścięgna Artura, pobudzając jego mięśnie do wymuszonych, niechcianych skurczów. Student czuł się jak marionetka, szmaciana lalka na sznurkach, pociąganych przez... Uniósł ostrożnie głowę, lecz napotkał nad sobą jedynie biel sufitu. Drwiącą biel sufitu. Słyszał przecież śmiech.

- Niesamowite. – Śmiał się neurolog. – Nie ma pan żadnych ubytków w sile mięśniowej, żadnych neurologicznych defektów, żadnych odchyłeń od normy. – Artur popatrzył na ucieszonego lekarza i jego twarz pękła w syntetycznym uśmiechu. – Medycyna osiągnęła tak wiele... No ale najwyraźniej ciało ludzkie, a zwłaszcza układ nerwowy nadal ma przed nami wiele zagadek, których nie chce nam wyjawić. Proszę się cieszyć! Jest pan prawdziwym szczęściarzem. – Doktor poklepał studenta po ramieniu. – Można by pomyśleć, że to zbyt piękne, by było prawdziwe... - Słowa te zmroziły Artura, ale nie pozwolił sobie na okazanie targających nim emocji. – No ale w końcu jest pan na jawie. Prawda? – Zapytał lekarz, patrząc na pacjenta jadowniczymi żółtymi oczami o pionowych źrenicach, po czym odwrócił się w kierunku drzwi. – Przyślemy pielęgniarkę, żeby zabrała pana na tomografię. – Rzucił jeszcze, po czym wyszedł z sali.

Pielęgniarka z wózkiem pojawiła się chwilę później. Niny nie było. Artur podejrzewał, że mogła pójść do kawiarni lub kiosku, żeby zebrać myśli przy kawie albo gdzieś zadzwonić. Kobieta w średnim wieku, ubrana w biały fartuch miała na twarzy uśmiech, który sprawiał

wrażenie dziwnie naturalnego. Zwykle pielęgniarki były zmęczone nadmiarem obowiązków, przygnębione żalną pensją i nawiedzane późnym powrotem do uśpionego domu, w którym mogły, w ciepłych objęciach wina za piętnaście złotych, zapomnieć o codzienności śmierdzącej gównem i odleżynami. Ta kobieta wydawała się pełna życia i energii, emanowała swoistą pasją i poczuciem słuszności... - *Trochę jak rycerze w czasie krucjaty*. – Pomyślał Artur, czując na swoim policzku obmierzły jęzor niepokoju.

- Dzień dobry! Nawet pan nie wie jak się cieszę, że w końcu się pan obudził. – Powiedziała pielęgniarka, popychając wózek do skraju łóżka. – Zabiorę pana na tomografię. – Dodała, po czym pochyliła się nieśmiało w stronę młodzieńca, z rumieńcem podkreślającym jeszcze bardziej jej perlisty uśmiech. – Lekarz powiedział, że jak wyniki będą pomyślne, to niedługo pana wypuszczą. – Szepnęła mu do ucha. – Tylko proszę nie mówić, że się wygadałam. – Zachichotała cichutko.

- Nie, oczywiście, że nie. To będzie tajemnica. – Powiedział sztywno student, jak zwykle zdeorientowany, kiedy ktoś był w stosunku do niego bezinteresownie miły. – Dziękuję bardzo za wiadomość. I za... Opiekę? – Uśmiechnął się.

- Ależ... Nie ma za co. – Rumieniec pielęgniarki zmienił się w żywoczerwony pąs, nadając jej wygląd piwonii. Rozbrajająco uroczej i szczerzej piwonii. – Nie powinniśmy kazać czekać technikom. Usiądzie pan sam? – Kobieta wygładziła fartuch, starając się odzyskać rezon i profesjonalną błądź. Artur spojrział na wózek inwalidzki. Jako dziecko chciał czasami ulec wypadkowi. Wyobrażał sobie ile wspaniałych przywilejów musi dawać niepełnosprawność. Zero ćwiczeń na wychowaniu fizycznym, szczególnie troska rodziców, specjalne windy i podjazdy zamiast schodów... Oczywiście dziecięca głupota została wyparta przez świadomość błogosławieństwa, jakim jest bycie normalnym. Przynajmniej w sensie fizycznym. Normalnym i sprawnym. Gdyby tylko mógł, student posadziłby na siedzeniu wózka jedynie swój kaleki umysł, pozwalając swojemu zidiociałemu ciału oddawać się przyjemności życia. – Pomóc panu? – Ponagliła pielęgniarka.

- Nie, nie. – Powiedział wyrwany z zadumy młodzieniec. – Właściwie, to dam radę dojść do pracowni. – Dodał.

- Nie wątpię. – Uśmiechnęła się pielęgniarka, ukradkiem spoglądając na uda i ramiona swojego pacjenta. – Jednak po urazie takim jak pański, konieczny jest transport. – Artur westchnął i usiadł na wózku inwalidzkim, który kobieta ostrożnie wyprowadziła z sali i zaczęła powoli pchać przez śnieżnobiały korytarz. Starał się nie rozglądać. Oddziały neurologiczne zawsze były miejscem dla osób sparaliżowanych, nieświadomych, cierpiących... Albo świadomych i sparaliżowanych, co było jeszcze gorsze. Niezdolność do ruchu promowała odleżyny, brak władzy nad zwieraczami wymuszał częste zmienianie pieluch lub worków na mocz. Innymi słowy, oddziały te cuchnęły śmiercią. Prawdziwe oblicze śmierci dało się ujrzeć właśnie w szpitalu, gdzie wszystkie jej romantyczne aspekty wędły od wyciskającego łyzy fetoru. Oddział neurologiczny... - *Oddział neurologiczny*. – Pomyślał nagle Artur. – *Dlaczego leżała na nim chora psychicznie ciężarna?*

- Trzy miesiące... Kawał czasu. – Zagadnęła pielęgniarka, najwyraźniej znudzona monotonią korytarza. – Przez trzy miesiące ludzie mogą się kompletnie zmienić. W ich życiu może się tak wiele wydarzyć.

- To prawda. – Pokiwał głową młodzieniec, nie chcąc sprawić kurtuazyjnego zawodu swojej opiekunce. – Wiele może się zmienić nawet, jeśli się leży bez ruchu w łóżku, z pękniętą czaszką. – Zażartował.

- Och tak, zwłaszcza wtedy. – Przytaknęła bez śmiechu. – Ma pan ogromne szczęście. Ta dziewczyna była przy panu codziennie. Nie opuściła ani jednego dnia czuwania przy łóżku. Czytała panu książki. Co prawda jakieś straszne traktaty filozoficzne. Nie wiedziałam jak coś takiego mogłoby panu pomóc. No ale mówiła, że lubi pan takie książki... W każdym razie, była przy panu cały ten straszny i niepewny czas. Musi pana bardzo kochać.

- Tak... Ja też ją bardzo Kocham. – Powiedział Artur, w równym stopniu dumny, co zakłopotany myślą, że prawdopodobnie nigdy nie będzie miał okazji, żeby odplacić Ninie za tę wierność. Nie chciał mieć takiej okazji.

- To wielkie szczęście. – Ciągnęła pielęgniarka. – Widziałam tutaj chorych po udarach, których rodzina opuszczała już po tygodniu. Widziałam ludzi, którzy budzili się ze śpiączki samotnie. Co gorsza, pozostawali samotni. Nikt do nich nie przychodził. Tak bardzo chcieli wrócić do swoich snów... Choćby najgorszych. Wie pan, ja rozumiem, że nikt nie jest doskonały, ale żeby nikt do bliskiej osoby nie przyszedł? Nikt? To straszne. – Westchnęła kobieta.

- Tak, wyrwać się z koszmaru po to, żeby obudzić się w paszczy kolejnego, to musi być coś niewyobrażalnego. – Przytaknął student, wzdychając.

- No, ale pana to nie dotyczy. – Powiedziała wesoło kobieta, kładąc pacjentowi rękę na ramieniu. – Ale ze mnie gapa! – Krzyknęła. – Nie wzięłam pana karty. No nic, wrócę się szybko do sali i zaraz wrócę. Niech pan nigdzie nie idzie. – Zaśmiała się i zablokowała kółka wózka, po czym szybkim krokiem skierowała się z powrotem. Artur skarcił się w myślach za to, że sam nie przypomniał pielęgniarce o dokumentach. Nie mógł sobie przypomnieć, o czym wcześniej myślał, więc mimowolnie zaczął rozglądać się dookoła. Korytarz był kompletnie pusty, a jego nieskazitelną biel mały jedynie skrzydła drzwi, wcinające się w jasny prostokąt niemal zbrodniczą zielenią. Po prawej stronie, tuż obok wózka, na ścianie znajdowała się niewielka plakietka z napisem „POKÓJ LEKARSKI”. Młodzieniec nie zatrzymałby na opisanych drzwiach swojej uwagi, gdyby nie odgłosy, które dochodziły zza nich. Stłumione przez warstwę sklejk westchnienia i ciche, jakby umyślnie powstrzymywane jęki oraz szepty i cmoknięcia nie powinny zaniepokoić Artura. Ale zaniepokoiły. Poczul wzbierający w nim strach, jak falę zanieczyszczonego ropą naftową oceanu. Przez chwilę myślał, że zwymiotuje czarnym, słonym płynem, niosącym ze sobą duszące się ryby. Powstrzymał nudności i wstał z wózka. Ostrożnie zbliżył się do drzwi i pochylił, aby móc przyłożyć oko do dziurki od klucza. Ograniczone pole widzenia jedynie bardziej przyspieszyło rytm już i tak walącego serca studenta. Jego źrenica miotła się nerwowo między brzegami otworu, chwytając monitor komputera, kanapę, fotel obrotowy, sterty

kartek, regał z książkami, puste kubki i... Artur wyprostował się jak rażony prądem. Jego mięśnie zeszywniały, jak w tężycze, a zęby zazgrzytały tak mocno, że obawiał się iż odgłos ten usłyszał cały oddział.

- Coś się stało? – Zapytała pielęgniarka, trzymająca w dłoniach plik kartek. Pograżony w stuporze młodzieniec nie odpowiedział i nie wykonał żadnego ruchu. Wydawać by się mogło, że przestał nawet oddychać. – Mogę zobaczyć? – Zadała kolejne pytanie, po czym nie czekając na pozwolenie, również spojrzała przez dziurkę od klucza. – Ojej... - Powiedziała, zmartwiona. – To straszne. Rozumiem, że musisz się czuć okropnie. Aczkolwiek wiesz, co musisz zrobić w tej sytuacji, czyż nie? – Kobieta położyła dłoń na ramieniu Artura. Jej długie paznokcie ukłuły go, wrywając z paraliżu. Paznokcie... Czy pazury? Student nie spojrzał w jej stronę, aby to sprawdzić. Najciszej jak tylko potrafił, uchylił drzwi pokoju lekarskiego, wślizgnął się do środka i zamknął je za sobą. Stąpając na palcach bosych stóp, jak kot podkraść się od tyłu do neurologa, który niedawno go badał, a który teraz całował namiętnie Ninę, która siedziała z rozłożonymi nogami na biurku. Artur nie wahał się ani sekundy. Sprawnie wsunął swoje prawe ramię pod brodę lekarza i pociągnął go do tyłu, odrywając jego usta od swojej ukochanej. Dłonią drugiego ramienia chwycił za łokieć, dociskając uchwyt mocno, bezlitośnie. Był spokojny. Szarpanie się lekarza nadawało pewności jego rękom, czyniło je zimnymi splotami liny, narzędziami do wykonania zadania. Neurolog drapał przedramiona swojego pacjenta, zostawiając na nich głębokie rany, z których krew strużkami lała mu się na fartuch. Student niemal tego nie poczuł. Doktor desperacko próbował się oswobodzić i odbijając się nogami od blatu biurka pchnął swojego oprawcę do tyłu. Artur poczuł ból w potylicy i na czubku głowy, kiedy książki z regału spadały na niego. To wszystko jednak nie miało znaczenia. Liczyło się tylko słabnące tętno, które czuł na swoim przedramieniu i bicepsie. Przeszedł go dreszcz. Jakieś enigmatyczne uczucie, które wdzierало się do jego mózgu z zakamarków pamięci. Podobny dreszcz przeszedł go, kiedy pierwszy raz uprawiał seks. Było coś intymnego w tej scenie. Wierzgający, wpadający powoli w drgawki lekarz, coraz bardziej niezdarnie próbujący sięgnąć paznokciami do oczu pacjenta oraz zastygły w kamiennej postawie napastnik. Jego twarz, jak wyrzeźbiona z marmuru, jego ręce pewne i silne, jak konary drzew. Krople krwi, kreślące różane wzory na bieli fartucha i rozmazywane na podłodze, jak cudowne obrazy czystej agonii. Artur wyciskał życie z neurologa czując, jak jego własne staje się kompletne. Wrażenia upajającej siły i rozkosznej władzy zalewały jego ciało, wypełniały całego, jak kryształowy kieliszek, spragniony czerwonego wina. W końcu doktor przestał się ruszać. Opadł całym ciężarem w ramionach młodzieńca, który zwolnił uścisk, targnięty nagłym, ekstatycznym orgazmem. Cała ta sytuacja sprawiła, że zapomniał o Ninie. Podniósł wzrok znad zwłok... Znad swojego dzieła. Kobieta patrzyła na niego z uśmiechem, wymachując lekko skrzyżowanymi w kostkach nogami. Gestem zaprosiła go, żeby usiadł koło niej. Posłuchał jej. Jak mógł jej nie posłuchać?

- To straszne, co zrobiłeś. – Powiedziała. – Jesteś potworem. Obrzydliwym zwierzęciem. Wkrótce będzie tutaj policja. Znajdą cię. Nie uciekniesz przed konsekwencjami. Pójdiesz do więzienia. – Nie przestawała się uśmiechać. Właściwie, kąciki jej ust stale się rozszerzały.

- Ale... - Zaczął Artur, ale nie wiedział co powiedzieć. Nie mógł jej przecież powiedzieć, że nie żałował.

- Już jestem, możemy jechać. – Dodała wesoło Nina.

- Co? – Zapytał, kompletnie już zdezorientowany.

- Mam pana kartę! – Powiedziała pielęgniarka, kładąc Arturowi dokumenty na kolanach. – Chyba się pan rozmarzył, kiedy mnie nie było. Pewnie o ukochanej, co?

- Tak... Tak. – Wydukał młodzieniec, gapiąc się na kartki, leżące na jego nogach, które z kolei spoczywały na siedzeniu wózka inwalidzkiego.

Przez resztę drogi do pracowni tomografii, oczekiwania na wejście, a nawet podczas samego badania, Artur był kompletnie nieobecny i machinalnie wykonywał kierowane do niego polecenia, bez żadnego słowa. Pogrzeżył się w myślach, dryfując po ogarniętym sztormem oceanie zadumy, od jednej fali rozważań, do następnej. Jego umysł skoncentrował się na nieoczywistym, biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, zagadnieniu. Mimowolnie wyparł halucynację popełnionego morderstwa. Młodzieniec zastanawiał się nad swoim pokoleniem. Poczucie bycia wyjątkową jednostką, która rozumie świat i rządzące nim prawa, okupującą oświecenie depresją, nie miało silnych fundamentów i, w głębi serca, Artur wiedział, że są miliony takich jak on. Widział ich wszędzie – w mediach społecznościowych, gdzie żarty o depresji i braku woli życia stanowiły połowę postów. Te niesubtelnie zawołane wołania o pomoc irytowały studenta, ponieważ widział w nich swoje odbicie. Z drugiej strony, pozostała połowa wpisów na portalach pochodziła od pięknych, energicznych i przebojowych osób, które udostępniały pejzaże z motywującymi cytatami, zdjęcia wymyślnych potraw lub zachęcały do protestów przeciwko niehumanitarnej hodowli drobiu. Te dwa ekstrema przyciągały pokolenie urodzone w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku jak pożółkłe światło latarni przyciągało puchate ćmy, pozostawiając jedynie nielicznych gdzieś pośrodku. Artur zastanawiał się, dlaczego dzisiejsze społeczeństwo zupełnie nie przypominało starszych pokoleń, które wydawały się nie mieć tak poważnych problemów egzystencjonalnych. Pewną rolę odgrywał z pewnością galopujący jak naćpany Sleipnir postęp technologiczny, który pozbawił współczesne życie wielu niewygód, odsunął liczne trudności i problemy, których zwalczanie nadawało sens przeszłej codzienności. Innym czynnikiem sprawczym musiało być starcie niezliczonych kultur światowych, w wyniku upowszechnienia globalnego transportu. Odmienne etosy moralne, które wyewoluowały w różnych częściach globu, ścierały się ze sobą, każdy mający w zanadrzu setki lat słusznych tradycji oraz argumentów wypracowanych doświadczeniami przodków. Skrajne podejścia do tych samych problemów rodziły pytanie, które jest słuszne, i które powinno zostać przyjęte jako uniwersalne przez mieszkańców „globalnej wioski”. To zjawisko, z kolei, przyczyniło się do powstania dwóch obozów – nihilistów i hedonistów. Ci pierwsi schwyтали sami siebie w pułapce relatywizmu moralnego, który uniemożliwił im znalezienie wartości, które mogliby cenić, skazując ich tym samym na egzystencję w beznadziei, zgorzknieniu i związanej z nimi frustracji oraz pragnieniu zemsty na wszystkim, co radosne, doczesne i, w pewnym sensie, naiwne. Drugi obóz zaś, wobec wszechobecnego chaosu mnożących się ideologii i braku uniwersalnych autorytetów czy zasad, oprócz mdłego homogenatu poprawności politycznej, skłonił się ku korzystaniu z życia w płytkim tego znaczeniu. Podróże, używki, proste ideologie oparte na bezmyślnej tolerancji lub jeszcze

bardziej bezmyślnej nietolerancji... Pozbawione indywidualizmu watahy hipsterów, feministek, neonazistów, ekologów, zielonych, czerwonych i chuj-wie-jakich. Koniec końców, pokolenie Artura potrzebowało czegoś, co by je określiło i wyróżniło wśród rosnącego tłumu kolorowo ubranych cieni. – *Wiesz, że coś jest nie tak, kiedy jedyne co nadaje ci jakiegokolwiek substancji, to weganizm.* – Pomyślał student, leżąc w pierścieniu tomografu komputerowego. Gdzieś w resztkach swojej dziecięcej naiwności miał nadzieję, że urządzenie znajdzie w jego głowie jakąś nieprawidłowość odpowiedzialną za tragedię losu milenialsów.

Nina czekała przy jego łóżku, kiedy pielęgniarka odprowadziła Artura do sali po badaniu. Chłopak przypomniał sobie jej uśmiech, kiedy dusił neurologa i wzdrygnął się niedostrzegalnie. Nie chciał niepokoić dziewczyny, podszedł więc do niej z uśmiechem i pocałował delikatnie, po czym położył się obok.

- Jak było? – Zapytała. – Przyjąłeś promieniowanie jak mężczyzna?

- Tak, prosto na czachę. – Zaśmiał się młodzieniec. – Gdzie byłeś?

- Dzwoniłam do twoich rodziców. – Odparła z szerokim uśmiechem Nina. – Będą tutaj za godzinę. Strasznie się ucieszyli...

- Domyślam się. – Pokiwał głową Artur. Wiedział jak to jest stracić wszystko i nagle to odzyskać. Wiedział nazbyt dobrze.

- Powiedz mi... - Zaczęła nieśmiało.

- Tak? – Student przyciągnął ją do siebie i przytulił mocno. – Co ci powiedzieć?

- Śniło ci się coś? – Zapytała, patrząc mu w oczy. Bardzo chciał ją okłamać, powiedzieć, że był pogrążony w przyjemnej, ciepłej nicości, że te trzy miesiące minęły jak mgnienie oka... Nie mógł jednak być nieszczerzy wobec tych wielkich oczu.

- Tak. – Westchnął. – Śniłem cały czas. W większości, były to okropne rzeczy, o których naprawdę nie chcę ci mówić. Właściwie, to miałem wrażenie, że tam była jawa. I w tej fałszywej jawie też śniłem. Sny we śnie. Tamte były już całkowicie przerażające... Z niektórych... - Artur zawahał się, wspominając tamten nienośny czas. – Z niektórych chciałem uciec tak bardzo, że budziłem się siłą.

- W jakim sensie siłą? – Dociekała Nina.

- Na przykład raz, żeby się obudzić, skoczyłem z okna. – Westchnął młodzieniec. Dziewczyna chwyciła go za włosy, przyciągnęła jego usta do swoich i zmiotła z nich wszelki strach. Kiedy udało im się od siebie oderwać, szepnęła do niego.

- Jeżeli kiedykolwiek jeszcze zabłądzisz w te straszne sny, nie wahaj się uciekać od nich. Do mnie. Kiedy się obudzisz, zawsze będę obok.

## Sen 5

Ciemny, nieskalany światłem ulicznych lamp salon nie zdziwił Artura. Może tylko odrobinę rozczarował. Młodzieniec tęsknił za surrealistycznymi snami, których głównym wątkiem było łożenie nago po supermarkecie, w poszukiwaniu uniwersalnego podłoża do roślin kwitnących. Zamiast skonsternowanych spojrzeń klientów, dwoje kocich oczu wpatrywało się w niego z niekłamanym zaciekawieniem.

- Jak było? – Zapytał siedzący na kolanach studenta Ból. – Twój wymarzony świat jest faktycznie tak idealny? – Dodał drwiąco.

- Ma swoje wady, ale i tak jest lepszy od tego, w którym muszę cię słuchać. – Odgryzł się Artur, zrzucając zwierzaka z kolan.

- Ranisz mnie. – Jęknął teatralnie kocur. – Dobrze, że się obudziłeś, bo zaczynało mi się nudzić. Co będziemy robić?

- Postaram się obudzić, a potem zapaść w jakiś przyjemniejszy sen. – Powiedział młodzieniec wstając, po czym skierował się do kuchni, choć nie wiedział po co. Ból podążył za nim.

- Rozumiem, że może ci nie odpowiadać moje towarzystwo. – Ciągnął kot, niewzruszony złośliwościami swojego rozmówcy. – Aczkolwiek chciałbym zauważyć, jako ktoś w rodzaju twojego terapeuty, że wypieranie faktu realności świata, w którym się znajdujesz, może mieć negatywne skutki na wyniki naszych starań. – Perorował patetycznie.

- Daruj sobie. – Uciał Artur. – Jeżeli uważasz, że twoja wersja realnego świata jest bardziej prawdopodobna niż moja, to raczej miałbyś trudności z ukończeniem kursu psychoterapii. To, co mówisz jest nedorzeczne i daj mi, proszę, spokój. – Zakończył, po czym odwrócił się od stojącego na płytkach podłogi kota, tylko po to, żeby zobaczyć go znów, siedzącego na kuchennym blacie.

- Naprawdę niepokoi mnie twój dzisiejszy brak współpracy. Opowiedz mi o swojej matce. – Ból nie odpuszczał. Młodzieniec nie miał zamiaru dalej dyskutować z wytworem swojej wyobraźni, w związku z czym opuścił kuchnię i skierował się do sypialni. – Nie możesz mnie ignorować. – Głos kocura podążał za nim, pojawiając się w różnych miejscach, to z prawej, to z lewej strony, to bliżej, to trochę dalej. – Nie dam ci spokoju, dopóki nie wyperswadujesz sobie, że chcesz żyć w kłamstwie. Miałeś użyć iluzji do poradzenia sobie z przeszłością, nie do stworzenia z niej pustelni, w której mógłbyś zamieszkać. – Artur nie chciał rozmawiać z natrętnym zwierzakiem, którego rosnąca powoli frustracja zaczynała mu się podobać. – Kiedy skończy mi się cierpliwość, przestanie ci się podobać. – Rozejrzał się po ogarniętym półmrokiem pokoju i dostrzegł na biurku swój telefon komórkowy. Wziął go do ręki i zaczął przeglądać listę kontaktów. – To wysoce niestosowne, żeby gapić się w telefon podczas konwersacji. – Przesuwał palcem po ekranie, obserwując jak kolejne imiona i nazwiska przefruwały z jednego końca wirtualnego niebytu, do drugiego. – Nie znajdziesz zrozumienia u żadnej z tych osób. Ja ci jestem potrzebny, żeby sobie z tym poradzić. – Wzrok Artura

przykuł numer ojca Walentego. Młodzieniec pomyślał, że wytatuowany ksiądz był, paradoksalnie, jednym z najnormalniejszych i najprzyjemniejszych rozmówców w tym śnie. – Serio? Nabijasz się z faktu, że jestem kotem i nie pojmuję koncepcji urządzeń elektronicznych. - Godzina była późna i student zawahał się przez krótki moment, jednak doszedł do wniosku, że w świecie nocnych marzeń wyimaginowani duszpasterze nie muszą wcześniej wstawać na poranne nabożeństwa. Wcisnął więc przycisk nawiązania połączenia.

- Halo? – Odezwał się w słuchawce, po dłuższym czasie, mało znajomy głos.

- Ojciec Walenty? – Zaczął niepewnie Artur.

- Tak. Artur?

- Zgadza się. Nie obudziłem księdza?

- Nie... Nie. Słucham? – Głos po drugiej stronie wydawał się słaby i rozedrgany, jakby wystraszony lub niepewny.

- Wszystko w porządku? Może zadzwonię innym razem? – Sondował zmieszany młodzieniec.

- Nie... Nie trzeba. – Walenty mówił powoli, jak aktor, który czyta z kartki scenariusz, którego zapomniał się nauczyć. – Co u ciebie?

- Jest pijany. – Powiedział pewnie i lodowato spokojnie Ból.

- U mnie wszystko dobrze. Nie mogę spać, a dawno z księdzem nie rozmawiałem i pomyślałem, że zadzwonię. – Improvizował student.

- Rozmawialiśmy przecież. Dzisiaj... Chyba. – Bąknął kapłan. – Nie możesz spać... A wzięłeś te tabletki? – Ton mężczyzny był coraz bardziej niespokojny. Słowa zdawały się trzepotać w jego ustach jak wyjęta z wody ryba.

- Tabletki wzięłem. Właściwie to spałem... Jakiś czas.

- Dwie godziny. – Odpowiedział kocur.

- Chyba dwie godziny. – Powtórzył Artur. – No ale obudziłem się i... - Przerwał, ponieważ w słuchawce rozległ się dziwny dźwięk, jakby jego rozmówca wyszedł na tęgi mróz. Nie było mrozu.

- Szłocha. – Stwierdził Ból.

- Proszę księdza? – Powiedział zbyt ostro młodzieniec, co spotkało się ze spazmem płaczu w odpowiedzi. – Co się stało? Walenty?

- Przepraszam... - Jęczał ksiądz, smarkając i krztusząc się. – Przepraszam cię... Chciałem dobrze. Nie chciałem być sam...

- O czym ty mówisz? Piłeś?

- Ta dziewczynka, o której ci opowiadałem... Którą zabiłem... - Kapłan ledwie składał poszczególne litery w słowa. – Ja nie mogłem tak... Nie mogłem sam. Z tym. Nie mogłem. Nie wiesz jak to jest. – Powoli jego wypowiedzi nabierały pewności i tempa. – Nie mogłem się pogodzić z tym, co zrobiłem. Nie mogłem sobie wybaczyć czegoś takiego. Jako lekarz... Chciałem cofnąć czas, pomóc jej przetrwać ten ból, wytrwać z nią, wesprzeć tak, jak powinien to zrobić prawdziwy lekarz. Prawdziwy mężczyzna. Prawdziwy człowiek... Ale czasu nie da się cofnąć. Nie da! Rozumiesz?

- Tak. – Szepnął Ból. – On brał te tabletki.

- Wpadłem w depresję... Piłem, brałem leki. Nic mi nie pomagało. Nic. Nic! – Krzyczał do słuchawki Walenty. – Wtedy usłyszałem o naltreksonie. Już po pierwszej tabletkce... Ja... Ona tam była. Artur, ona tam była. Codziennie jest ze mną. Rozumiesz? Ona żyje. Dla mnie. Jest zdrowa, jest... Twoja ukochana też żyje, prawda? – Głos kapłana znów osłabł i zaczął drżeć. – Widziałeś ją, prawda? We śnie. Ona tam jest. Dla ciebie. To nie jest kłamstwo. Zobaczysz. Zobaczysz, że to, co tutaj, nie liczy się. Tylko to, co tam... Artur?

- Jesteś tchórzem. Tchórzem i kłamcą. – Syknął Ból.

- Dobrej nocy. – Zdołał wykrztusić z siebie młodzieniec, po czym rozłączył się i odłożył telefon z powrotem na biurko.

Artur przez dłuższą chwilę nie wiedział co ze sobą zrobić. W głowie szalał mu tajfun wrzeszczących myśli, z których żadna nie mogła wybić się ponad ogólną wrzawę, pozostawiając pogrążoną w chaosie pustkę. Czarny kot wskoczył z gracją na biurko i trącił łebkiem dłoń młodzieńca.

- Przykro mi. – Szepnął zwierzak. – Naprawdę mi przykro. Teraz przynajmniej wiesz, jaka jest prawda. – Dodał, ocierając się o rękę gospodarza. Student ledwie go słyszał. Nie wiedział, jaka jest prawda. Był bardziej zdezorientowany, niż kiedykolwiek wcześniej i miał dość. Dość tego straszliwego, niesprawiedliwego świata pełnego tragedii i kłamstw. Miał dość mroku nocy i tego mieszkania. Miał dość tego snu. Chciał się obudzić i...

- Wrócić do niej... - Wyszeptał.

- Jak to wrócić? – Zapytał Ból, ale Artur zignorował go, opuszczając pokój niemal biegiem. Kot rzucił się za nim, miękko i bezszelestnie przebiegając łapkami. – Jak to wrócić?! Co chcesz zrobić? Stój! – Młodzieniec przemknął przez salon i chwycił za firankę, zasłaniającą drzwi balkonowe. Szarpnął zbyt mocno i zamiast odsunąć zasłonkę, zerwał ją z karnisza. Zupełnie niewzruszony tym faktem wyszedł na balkon, chwycił balustradę obiema dłońmi i wychylił się. – Czwarte piętro to trochę nisko. – Skonstatował Ból, siedzący teraz na barierce. Starał się brzmieć spokojnie, ale w jego głosie nie było absolutnie nic spokojnego.

- Chodzi o upadek. – Mruknął młodzieniec. Ton miał nieobecny, jakby jakąś swoją częścią znajdował się już po drugiej stronie ściany iluzji, dzielącej go od ukochanej.

- Skąd ci to przyszło do głowy? – Nie dawał za wygraną kocur. – Dlaczego chcesz popełnić ten sam błąd, co wcześniej? Mało ci prób samobójczych? Chcesz spróbować wszystkich i napisać poradnik?

- Powiedziała mi, że jak znowu będę miał takie straszne sny, to... - Artur dyszał, równie ze strachu, co z ekscytacji. – To mam się nie wahać i uciekać do niej. To jest moja ucieczka. Od wszystkiego. Strzeżona granica, za którą czeka azyl. Żegnaj, Ból. Miło było cię znać. – Zmusił się do krzywego uśmiechu, po czym uniósł wysoko nogę, zaczynając wspinać się na balustradę balkonu. Zwierzak milczał jedynie przez moment, jednak to wystarczyło, żeby student zdążył stanąć obiema nogami na barierce, zapierając się rękami o strop.

- Artur... - Zaczął niepewnie kot. – Posłuchaj mnie przez chwilę. Zdążysz skoczyć. Daj mi tylko coś powiedzieć. – Młodzieniec nie poruszył się, jednak cały czas pozostawał wpatrzony w grunt pod nim. – Artur, ona chce, żebyś się zabił. Odkąd o niej śniesz, to był jej plan. Przez cały czas. Ona chce cię zabić.

- Co ty bredzisz? – Zaśmiał się chłopak krótko, ponieważ nie spodobał mu się brak pewności w swoim głosie.

- Nie bredzę. Wabiła cię do siebie, przypominała minione szczęście, torturując cię wspomnieniami, które przerywała nieznośna codzienność bez niej. Chciała przekonać cię, że twoje sny są jawą. Miałaś uwierzyć w wygodną i przyjemną iluzję, wybrać ją zamiast tęsknoty i trudów prawdziwego życia. Bo życie jest niewypowiedzianie trudne. Kiedy już podjąłeś decyzję o tym, gdzie chcesz żyć, miałeś ostatecznie zerwać z tym drugim światem. – Ból mówił powoli, dawkując słowa jak ratujące życie lekarstwo, które w razie przedawkowania miało katastrofalne skutki.

- Nie... Nie, nie, nie. Nie. Dlaczego miałyby chcieć mnie zabić? – Twarz Artura przybrała głupkowaty wyraz, jak dziecka, które nie chciało przyjąć do wiadomości, że Mikołaj jest jedynie kolejną sztuczką dorosłych, jedną z ich intryg w ochronnym teatrze o ścianach z poduszek. – Przecież jesteśmy tam razem. Ja i ona. Ja ją kocham, ona kocha mnie. Przecież to nie ma sensu. – Mamrotał. – Dlaczego chciałyby mnie zabić... A jeżeli byłaby tylko snem... Istniała w moim umyśle... To dlaczego chciałyby tym samym zabić i siebie?

- A dlaczego ty chciałeś się zabić? – Zapytał Ból, zeskakując z barierki.

- Z samotności. – Odpowiedział bez wahania młodzieniec, a słowa te, wypowiedziane na głos, zwały go z nóg. Osunął się z balustrady na zimne płytki balkonu, upadł na plecy i ukrył twarz w dłoniach.

- Nie możesz wiecznie śnić. Każde nocne spotkanie jest okupione dniem rozstania. Myślę, że ona nie może tego znieść. Nie pozwalasz jej odejść, ale nie możesz z nią naprawdę być. To ją zabija. – Podsumował kot smutno, kładąc się obok swojego gospodarza, który drżał z zimna lub rozpaczy.

- Nie mogę jej znowu stracić. Nie mogę. To zbyt wiele. – Powtarzał w kółko Artur. – Dopiero ją odzyskałem... Dlaczego? Co ja mam zrobić? Czy nie dość wycierpiałem? – Słowa z jego

ust umykały ku rozgwieżdżonemu niebu, jak błagalne modlitwy, które, jak każda modlitwa, miały odbić się od głuchego nieboskłonu i rozbrzmieć echem rozczarowania.

- Nie możesz jej znowu stracić. – Tłumaczył cierpliwie Ból. – Jej już od dawna nie ma. Nie możesz nic zrobić. Pozostaje ci pogodzić się z przeszłością i pochować jej duchy. Inaczej skończysz jak Walenty. – Zwierzak zbliżył się nieco. – Doświadczyłeś cierpienia, o którym niektórzy mogą tylko śnić w koszmarach. Popełniłeś głupstwo, to prawda. Pamiętaj jednak, że tylko ty byłeś wtedy w tamtej sytuacji. To wyłącznie twoje życie i twoje decyzje. I nikt nie ma prawa cię osądzać. Aczkolwiek, nic nie upoważnia cię do popełniania tego samego błędu po raz drugi. - Artur popatrzył na kota oczami, które nie były już zdolne do płaczu. Po raz pierwszy ujrzał w tych jadowitych, żółtych ślepiach kogoś innego niż sarkastycznego cynika. Ujrzał przyjaciela, który go rozumiał i współczuł mu. I chciał mu pomóc. Objął zwierzaka, przytulił do siebie i przez chwilę słuchał przyjemnego, cichego mruczenia, podczas gdy świat dookoła walił się w najlepsze. Całe miasto zdawało się pogrążyć w beznadziei i smutku, aż z całej Łodzi został tylko jeden balkon, chroniony przez wątle ciepło bezinteresownego wsparcia.

Mijały minuty, a student i kot leżeli nadal na dworze, nie zważając na chłód. Ta chwila spokoju, pozbawionego myśli wychnienia, wydawała się Arturowi niemal nierealna. Jednak była realna. Niezaprzeczalnie. I to było cudowne. Student znalazł w końcu jakieś oparcie, fundament, na którym mógł oprzeć swoje cierpienie i odetchnąć. Odpoczynek nie mógł trwać jednak zbyt długo. Młodzieniec miał obowiązek do spełnienia i nie mógł od niego uciec. Zbyt długo już go unikał.

- Muszę się pożegnać. – Powiedział.

- Jesteś tego pewien? – Zapytał zwierzak. – Wiesz jak będzie ci trudno...

- Wiem. – Przerwał mu student. – Dlatego chciałbym, żebyś poszedł ze mną.

- Dobrze. – Zgodził się kot. Oboje wstali i udali się do sypialni, w której Artur przygotował dwie tabletki naltreksonu. - Pamiętaj, w przeciwieństwie do niej, ja zawsze będę z tobą. – Powiedział cicho Ból.

## Sen 6

Obudził się w znajomym mu już łóżku, w pokoju szpitalnym. Nina spała, wtulona w niego jak dziecko. Artur przycisnął ją do siebie mocniej, wdychając jej zapach. Dopiero po chwili zorientował się, że ręce mu drżą. Za chwilę miał odrzucić ją, ten dziwny, osobliwy świat i wrócić do jawy, którą w końcu potrafił określić. Młodzieniec potrząsnął delikatnie dziewczyną.

- Nina? – Szepnęła delikatnie. – Obudź się, Gamoniu. – Otworzyła leniwie oczy i ziewnęła lekko.

- Dzień dobry. – Uśmiechnęła się. – Chyba nie miałeś koszmarów? – Dodała pozornie obojętnie.

- Nie, nie miałem. – Odpowiedział, zmuszając się do uśmiechu. – Dobrze spałaś?

- Tak... Tak. Chyba musimy wstawać, twoi rodzice powinni niedługo przyjechać. – Powiedziała, po czym oswobodziła się z jego objęć i przeciągnęła swoje smukłe ciało. – Zjesz coś?

- Nina... - Zaczął Artur, nie mogąc dobrać odpowiednich słów.

- Kupić ci drożdżówkę? – Zapytała, nie odwracając się do niego. Zdawała się drzeć, chociaż starała się maksymalnie spać i utrzymać nienaganną sylwetkę.

- Ja...

- Może jakieś owoce? Kanapkę? – Pytała dalej, głosem łamiącym się od wzbierających fal płaczu.

- Ja przyszedłem się pożegnać. – Wykrztusił w końcu młodzieniec czując, że do jego oczu również napływają łzy.

- Chcesz mnie zostawić. Znowu. Jak możesz mi to robić... - Szlochała Nina.

- Nie chcę, naprawdę nie chcę, ale... - Student chciał przytulić ją do siebie, ale uniknęła jego rąk, zrywając się z łóżka. Dziewczyna odwróciła się do niego i spojrzała zaczerwienionymi oczami pełnymi bólu i gniewu.

- Gdybyś chciał, zostałbyś ze mną. Albo zrobił już to, co powinienes. Brzydzę się tobą, tchórzu! Uwięziłeś mnie tutaj, ty egoisto. Uwięziłeś jak ptaka w klatce, do której zagładasz, kiedy ci wygodnie. Patrzysz na mnie tylko wtedy, kiedy chcesz. Nie przytuliłeś mnie wtedy, nie pocałowałeś... Nawet nie wyciągnąłeś mnie z tego cholernego samochodu, tylko sprawdziłeś puls i... Nienawidzę cię! – Nina krzyczała, nie gestykułując przy tym, co w jakiś sposób było przerażającym widokiem.

- Nina, proszę cię...

- Nie! To ja cię prosiłam. Prosiłam wiele razy! Skoro ty nie chcesz działać, ja to zrobię. – Powiedziała dziewczyna, a w tym samym momencie drzwi do sali otworzyły się z hukiem. Do pomieszczenia wszedł dobrze Arturowi znany cień, mroczna postać w jego ubraniu, o jadowitych oczach. Młodzieniec nie poruszył się. Czekał na łóżku, aż przerażająca sylwetka podeszła do niego i wyciągnęła rękę w kierunku jego gardła. Nie opierał się. Pozwolił miękkim palcom owinać się wokół jego szyi. Na twarzy Niny wymalował się upiorny uśmiech mściwej satysfakcji. Zniknął jednak szybko, ponieważ cień zatrzęsł się nagle i zafalował, tracąc swój męski wygląd. Postać kurczyła się i malała, jakby implodując, aż pozostała z niej jedynie niewielka, czarna plama na klatce piersiowej Artura. Plama wielkości czarnego kota.

- Dziękuję ci. – Powiedział student. – Dam już sobie radę. – Kocur skinął ze zrozumieniem łebkiem i znów zaczął gubić kontury, przybierając wygląd czarnej, wibrującej chmury, którą Artur wciągnął przez usta do płuc, łącząc się z izolowaną częścią swojej jaźni. Nina patrzyła na ten niezwykle spektakl z szeroko otwartymi oczami, nie mogąc zdobyć się na żaden dźwięk. Młodzieniec wstał, podszedł do niej zdecydowanym krokiem, wziął w ramiona i przytulił do siebie tak mocno, jak tylko potrafił. Nie walczyła już. Odwzajemniła uścisk, bezbronna, pokonana i do resztek wytrzymałości stęskniona.

- Przepraszam cię. – Szepnął Artur. - Tak bardzo za tobą tęskniłem... Jesteś w ciszy wokół mnie... Jesteś wodą w moich płucach... Jesteś w umykającym świetle dnia, kiedy opadam za tobą w ciemność. Nie potrafiłem sobie wyobrazić świata bez ciebie.

- Wiem. – Odpowiedziała szeptem. – Ja bez ciebie też nie. Co nie znaczy, że takie światy nie istnieją. – Dodała.

- Kocham cię.

- Ja ciebie też.

Artur i Nina długo stali w bezruchu. Ich cierpienie i wzajemna miłość były wtedy tak niewinne, jak biel szpitalnej sali. Nie odzywali się już do siebie. Nie potrzebowali słów. Kiedy oboje chłonęli nawzajem swoje jestestwa i zorientowali się, że nigdy nie wystarczy im siebie, udało im się od siebie oderwać. Złapali się za ręce i wyszli z pokoju na korytarz. Znaleźli najbliższą klatkę schodową i zaczęli wspinać się do góry po stopniach niezliczonych, jak dzielone przez nich chwile szczęścia. Na najwyższym piętrze Nina otworzyła drzwi, prowadzące na dach szpitala. Powinny tam prowadzić. Para znalazła się tymczasem na szczycie pokrytego wrzosowiskiem klifu, o którego dalekie brzegi w dole rozbijały się, bez najmniejszego dźwięku, fale. Wiatr owiewał ich twarze, a słońce chyliło się ku zachodowi, kąpiąc horyzont w soczystej czerwieni. Artur wspomniawszy jeszcze dzień, w którym oboje znaleźli to miejsce, kiedyś w poprzednim życiu. Postanowił wtedy, że kiedyś się jej tutaj oświadczy, właśnie w takiej chwili, jak ta. Miała powiedzieć „tak” i rozplakać się ze szczęścia. Płakała. Pocałowali się ostatni raz, obejmując z całych sił. Następnie oboje przechylili się w bok i runęli w przepaść.

## Epilog

Mieszkanie było ciche i puste. Ranek wstawał za oknem przy akompaniamencie porannej orkiestry samochodowych klaksonów, przekleństw i odgłosów przejeżdżających tramwajów. Gdzieś za ścianami sąsiedzi krzatali się w kuchniach, oglądali telewizję śniadaniową, uprawiali seks i ubierali się do pracy. Artur leżał na łóżku. Po przebudzeniu obszedł mieszkanie kilka razy, sprawdził wszystkie szafki i półki. Niny nigdzie nie było. Bólu też nie. Młodzieniec nie myślał o niczym. Nie chciał się rozpraszać ani rozpaczać. Już nie. Nie zastanawiał się nad rozmową z ojcem Walentym, ostatnim spotkaniem z ukochaną czy kłamliwymi zapewnieniami wymagowanego kota, że nigdy go nie opuści. Miał do zrobienia jeszcze jedną rzecz i nie było sensu jej odwlekać. Odkładał ten obowiązek wystarczająco długo. Student podniósł się, starając się strząsnąć z siebie ciężar minionego życia, chociaż doskonale zdawał sobie sprawę, że brzemień pamięci nie opuści go nigdy. Zamierzał jednak ten bagaż okropnych doświadczeń zamknąć dość dokładnie, żeby pozostało z nich tylko wspomnienie lekcji, jakie otrzymał. Wspomnienie, pod postacią blizny na nadgarstku. Artur umył zęby, ogolił się i spryskał perfumami, które trzymał na specjalnej okazji. Ubrał czerwoną koszulę, wpuścił ją w czarne jeansy i narzucił na siebie wełnianą kamizelkę. Wsunął wysokie, skórzane buty oraz założył czarny płaszcz. Szyję owinął czerwonym szalikiem w kratę i, w pełni uszykowany, wyszedł z mieszkania.

Nie miał problemu ze znalezieniem jej grobu. Co prawda nigdy jeszcze go nie odwiedzał, ale wskazówki jak znaleźć mogiłę, udzielane wielokrotnie przez ponaglających młodzieńca znajomych, wyryły mu się w pamięci jak natrętna piosenka. Artur podszedł do nagrobka. Lśniący, czarny marmur tworzył elegancką, ładną mogiłę, której ohydna symbolika przyprawiła młodzieńca o brzydki grymas. Dotknął czarno-białego zdjęcia Niny w szklanej oprawce i usiadł ciężko na kamiennej ławce. Nie miał siły na słowa. Nie miał siły na łzy. Stać go było jedynie na cichy jęk, wydobywający się z trudem spomiędzy jego zaciśniętych na ustach palców. Skalne płyty pozostały zimne i nieubłagane, jednak wydawały się cierpliwie go słuchać. Student długo siedział w milczeniu, bujając się lekko i zdając sobie sprawę z tego, jak żałośnie wygląda i jak bardzo nie chciał, żeby Nina widziała go w takim stanie. W końcu wydobyl z wewnętrznej kieszeni notesik i wieczne pióro.

- Nie zapomnę cię. – Powiedział cicho, przykładając drżącą rękę do papieru. – Uwiecznię cię. Na zawsze. Na papierze. Dla siebie. I dla wszystkich innych. – Szeptał, błądząc stalówką po pustej kartce. – Napiszę o tobie. O nas. O naszej miłości. – Ciągnął Artur, otworzywszy cudzysłów. – Jak tylko wymyślę tytuł. – Zaśmiał się gorzko.

- „Sny o Ninie” – Powiedział Ból, wskazując Arturowi na kolana i układając się na nich wygodnie. – Nazwij to „Sny o Ninie”.

## Koniec